

ski

WED-OR

D.

✓
120

~~No 1145~~

774

NOWE WĘDRÓWKI ORYGINAŁA.

100

NOWE WĘDRÓWKI ORYGINAŁA.

774

POWIEŚĆ

PRZEZ

JÓZEF KORZENIOWSKIEGO.

KSIEGARNIA
MARYI REPER
w Pułtusk.

Tom I.

KSIEGARNIA
S. BRODOWSKI
w Pułtusk.

WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA,

Nowy Świat, Nr. 39.

1883.



120214

Дозволено Цензурою.
Варшава 30 Марта 1883 года.

T e r e s a.

W zachodnio-północnym kącie Galicyi, o dwie mile od granicy rossyjskiej, leży nad Styrem miasteczko Leśniów, należące do rozległego majątku niegdyś Potockich, którego stolicą są Brody. Obszerny i dość piękny klasztor Bernardynów jest całą jego ozdobą, a samo nazwisko pokazuje jego położenie. Jakoż Leśniów leży wśród ogromnych lasów, które go naokoło otaczają. Żaden trakt wielki tamtędy nie prowadzi, żaden handel miejsca tego nie ożywia. Jest to zakąt tak cichy, miejsce tak ustronne, rzeka, która obok przebiega, tak rzeźwa i czysta, lasy wokoło tak głębokie, tak poetycznie szumiące, że, bawiąc tam w r. 1837 przez dni kilka u gwardyana OO. Bernardynów, który jest moim krewnym, i w przechadzkach moich przebiegając ciche ulice i okoliczne bory, nieraz myślałem: co za schronienie dla poważnej medytacyi, lub dla jakiego wielkiego nieśczęścia!

Na samym brzegu tego miasteczka, nad drogą wiodącą do Brodów, jest domek ustronny, pod słomą, o czterech oknach, którego zagroda, niegdyś widać porządna i oznaczająca dobrego gospodarza, przypiera z tyłu do ogrom-

nej puszczy sosnowej. Kilka razy tamtędy przechodziłem i zawsze mię ten dworek zastanawiał oczywistemi śladami upadku i nędzy, która widać zajęła miejsce dawniej zamożności. Ogrodzenie z oryn było stare i w wielu miejscach nie zamykało już dziedzińca. Dach zepsuty świecił na wylot i nie ochraniał pewnie mieszkańców od deszczu. Przyspy obalone okazywały gnijące podwaliny; ściany obdarte, w mnogich miejscach odkrywały klinkowane deski, z których i glina się obsypywała; skrzywiony ganeczek, pobite szyby, to zaklejone papierem, to zatknięte jakąś płachtą — okazywały, że nie ma ręki opierającej się ruinie, która zagartuje wszystko, i wstępnym bojem zdobywa zamki i chatki, jeżeli ciągła czujność i praca oporu jej nie stawia.

Wszakże, mimo tak widocznego opustoszenia, były jeszcze ślady, że pod tym dachem przemieszkiwała jakaś istota, w której piersiach nie zgasła nadzieja ziemskiego szczęścia i która nędzne swe życie jeszcze ozdabiać usiłowała. Z prawej strony ganku było jedno okienko całe, ozdobione białą firaneczką, a przez szyby widać na niém było wazoniki, w których kwitły róże, gwoździki i lewkonie. Przed oknem zaś był ogródek, ogrodzony małym płotkiem brzozowym, a w nim kanapka z darniu, mnóstwo rezedy, kilka krzaków już odkwitłych błękitnego bzu, kilka bukietów floksów, i w kącie, przy rogu domku, jakby gaik z malw wysokich i słoneczników, które się już żółtymi listkami opromieniać zaczynały.

Ile razy jednak zdarzyło mi się mimo tego domku przechodzić, zawsze tam znajdowałem głęboką ciszę, jak gdyby w nim żywa dusza nie mieszkala. Drzwi były zamknięte, w oknach żadna twarz się nie pokazywała, na

dziedzińcu nie widać było żadnego gospodarskiego zachodu, żadnego zwierzęcia, które zwykle ożywia takiego rodzaju zagrody. Czujny piesek nie odstraszał nieproszonych przychodniów, wesołe kury nie grzebały na śmieciach, ze stajni i obory, ciągnącej się po-za domem ku lasowi, nie słychać było ani ryku cielęcia, oczekującego matki z pola, ani jój poważnego głosu, dającego znać ulubionemu dziecku, że już idzie i świeży pokarm w pełnych niesie wymionach. Sosny tylko szumiały w głębokim lesie, a rzeka niedaleko płynąca plaskała o brzegi i szeleściła po wysokiej i szorstkiej trzeinie.

Gdym raz ostatni, mając nazajutrz wyjechać, przechodził pustą ulicą, stanąłem jeszcze przed tym domkiem, i oparłszy się o zagrodę, roilem sobie: czemu tak cicho, dla czego tak opustoszony, czyja to ręka zasadziła te kwiatki i pielęgnuje ten ogródek? Już było dosyć późno i wieczór zaczynał zaciągać szarą zasłonę na miasteczko, któremu okrażające ogromne lasy prędkiej odbierają słońce, niż gdzieindziej na polach i otwartych równinach. Wówczas, w milczącym dotąd dworku dał się słyszeć krzyk przeraźliwy. Drzwi się nagle otwarły i wypadła z nich młoda kobieta, z wyrazem rozpacz i jakby obłąkania w twarzy pięknej i znaczącej. Ubiór jój był prosty i czysty; ale włosy w nieporządku, warkocz wpół rozpleciony, oczy czerwone od płaczu, ręce załamane, jęki głębokie, które wychodziły z głębi piersi, świadczyły, że ją dotknęło jakieś wielkie nieszczęście. Tak biegła prosto ku bramie, i gdy mnie nagle przed sobą obaczyła, zatrzymała się i, odgarnawszy z twarzy włosy, które lży zlepiły, zawołała:

— Panie! panie! dobry panie! ratuj mię. On już

skonał — już mój anioł tam, gdzie mu lepiej: ale ja, ja — o! jam bardzo nieszczęśliwa! — To wypowiedział w głos, który łkanie przerywało, zwinęła się u nóg moich i obejmować je i ścisnąć zaczęła.

Przenikniony do głębi duszy widokiem takiego bólu, podniosłem nieszczęśliwą kobietę i zapytałem, czém jęj pomódz mogę.

— Wszystkiém, wszystkiém, dobry panie! — odpowiedziała z mocą. — Ja potrzebuję miłosierdzia, potrzebuję litości, potrzebuję współczucia, którego mi tu nikt nie udzieli. On skonał, i tak leżeć będzie bez czci ostatniej, bez hołdu, jaki mu należy. Jaby mi chciała wystawić pomnik marmurowy, a tymczasem, biedna sierota, nie mam zaco postawić w głowach jego ubogiej lampy, którą i żebrak umarły dostaje.

— Któż jest ten umarły, moje dziecię? — zapytałem łagodnie, biorąc jęj rękę — czy twój mąż?

— Moje wszystko, mój anioł, mój pocieszyciel, moje światło na ziemi, które mi zgasło, o! na wieki zgasło. Chodź pan — dodała, ciągnąc mnie za rękę — spojrzysz pan na tę twarz piękną i szlachetną, na to czoło, na którym już niema wysokiej myśli, na te usta, na których zamarły słowa pełne duszy i harmonii. O! chodź pan, obacz moje nędzę i zlituj się nade mną!

Ujęty takim żalem, zadziwiony wyrażeniami, które zdawały się wyższe nad jęj stan i pokazywały, że rzeczywiście umarły był jęj światłem na ziemi, rzekłem:

— Pójdź, pójdź, moje dziecię! nie zdołam ci ulgi przynieść w twojem cierpieniu, przyniosę chętnie i z serca.

— O! dziękuję, panie — zawołała w uniesieniu, i rękę moję ucałować chciała. — Tu ludzie tak niemiliosierni!

tu taka pustynia! Pan nie tutejszy, pana Bóg mi zesłał w mojem nieszczęściu.

Weszliśmy do domu. W sieni było pusto, cokolwiek tylko gałęzi połamanych leżało w kącie przy kuchence, na której tlił się niewielki ogień i stał przy nim imbryczek i obok mały garnuszek. Na lewo otwarte były drzwi do dwóch pustych izb, w których było cokolwiek gratów starych i bez użytku. Wszystkie leżały w nieładzie, wszystkie okazywały, że coś kiedyś było, ale dziś, stłuczone i rozerwane, trupieszaje pod ciężką ręką nędzy i opustoszenia. Druga izba była także pusta, tylko przez drzwi otwarte postrzegłem szafę starą i zakurzoną, w której było kilkanaście książek, a na środku stół, na którym kałamarnicz i pióro.

Drżącą ręką biedna kobieta dotknęła klamki drzwi na prawo, i otworzywszy je, z głuchym jękiem i zakrytą twarzą poszła na przód. Przeszła szybko przez pierwszy pokój, i w drugim pokoiku upadłszy na kolana przy łóżku umarłego, z serdecznym płaczem rękę jego całować zaczęła.

Stałem we drzwiach tego pokoju, w którym właśnie było to okno z firaneczką i owe wazoniki z kwiatami, co mnie niedawno intrygowały. Był on czysty i przystrojony ostatniem ochędóstwem biednej ale kochającej kobiety. Oparty o odzwieriek, rzuciłem wzrok smutny na bladą i wynędznioną twarz umarłego. Rysy jego były bardzo piękne i regularne. Chociaż skronie zapadły, czoło jednak nie straciło tej formy okazałej, jaką kiedyś jaśnić musiało. Ciemne brwi rysowały się kształtnie nad zapadłemi oczami. Czarne rzęsy leżały szerokim półłukiem na marmurowej twarzy; lekko zarosła zwierzchnia

warga i broda silnie odbijały od bladego lica, a gęste puki czarnych włosów spadały na ramię i na poduszkę. Koszula otwarta okazywała szyję wycieńczoną i piersi wychudłe, na których leżała prawa ręka, — piękna, jakby ręka posągu. Widać było, że go suchoty dobiły, i że życie w nim zwolna i stopniami wygasło. Ale jeszcze twarz ta mówiła, jeszcze snadź dusza unosiła się nad swym dawnym mieszkaniem i z żalem je opuszczała.

Przy łóżku stał stolik, na którym było kilka książek i filiżanka z napojem. Parę krzesełek pod ścianą, — przy oknie, gdzie były kwiatki, stolik mały i prosty z robotą kobiecą, — oto był cały sprzęt tego ubogiego schronienia, które może niedawno zdobiły miłość, nauka i poświęcenie bez granic, a które dziś śmierć i rozpacz zamieszkały.

Gdym tak, pogrążony w smutnych myślach, przypatrywał się temu widokowi, z kąta pierwszej izby, osłoniętego obdartym i starym parawanikiem, odezwał się głos chrypliwy, wychodzący widać z piersi stariej i zniecierpliwioniej:

— Tereso! Tereso! o mój Boże! zapomniała o mnie zupełnie.

Gdy Teresa, obarczona bólem, nie usłyszała tego wołania, powtórzył się głos i wkrótce z za parawana wyszła, szukając drogi laseczką, stara i ślepa kobieta. Koszula na niej była czysta, ale dziurawa, na ramiona zarzucona nieporządnie jakaś ciemna i wytarta chustka, głowa obwinięta także kolorową, spłowiałą płachtą, z pod której wisały kosmykami długie siwe włosy i spadały na twarz żółtą i pomarszczoną. Wzrost wysoki, plecy wypukłe, rysy twarzy ostre i niemiłe, spodnia warga zwieszona i drżąca od gniewu, chód prędko a niepewny, niecierpliwe

szukanie i macanie lewą ręką, wszystko to dało jęj postać jakąś straszną i przykrém przejęło mnie wrażeniem. Usunąłem się w głęb' pokoju, czekając, dokąd pójdzie i co przedsięweźmie.

Natrafwszy na drzwi, stanęła w nich, podniosła głowę, jakby chcąc obejrzyć, czy jest kto w izbie, a słysząc przytłumione łkanie Teresy, zawołała:

— A, jesteś tu? szlochasz tam, a nie pamiętasz o mnie. Tereso! głodnam. Od wczoraj nic w gębie nie miałam. Daj mi kawy.

Biedna Teresa obejrzała się, załamała ręce, i tak przez chwilę klęcząc, zdawała się ostatnich sił dobywać. Po niejakiem czasie otarła łzy, wzięła zwolna zwieszoną rękę umarłego, położyła ją na jego piersiach, potém, popatrzywszy jeszcze na tę twarz, głęboko widać w sercu jęj wyrytą, pocałowała go w czoło i, zwracając się do staręj kobiety, rzekła:

— Wybacz, matko! zapomniałam.

— Zapomniałaś, że matka stara, ślepa, i że ją głód męczy. Gdzie moja kawa? on już pewnie nie głodny.

— Cicho, matko! on już nie głodny, on już nie potrzebuje, już ciebie nie słyszy, on już skonał.

— Skonał? ha! to cóż robić! — rzekła stara obojętnie — powrócę do swojej izby, z której dla niego ustąpiłam, żeby tobie dogodzić! Skonał! hm! teraz będziesz więcej o mnie dbała.

— O matko! miej choć dziś litość nade mną! Czyż ja kiedy nie dbałam o ciebie? — To powiedziawszy, biedna Teresa padła przy jęj nogach, całując je z pokorą.

Obraz ten okropny przeniknął mnie do gruntu serca. Litość niewypowiedziana przejęła mnie na widok tęg

nieszczęśliwej i pięknej dziewczyny, w której bólu i rozpacz było jakieś wzniosłe mocowanie się z nieszczęściem, jakaś szlachetność, okazująca duszę wysoką i rozwiniętą. Przystąpiłem więc bliżej i, wzięwszy starą za rękę, rzekłem:

— Kobieto! nie dręcz w tej chwili nieszczęśliwej córki niewczesnemi wymówkami.

— Nieszczęśliwa! hm! zapewne, że nieszczęśliwa.

— Dla czegoż nie ma pociechy od własnej matki — odpowiedziałem głośniejszym, surowo.

— Któż tu do mnie tak mówi? — rzekła, drżąc i cofając rękę. — Mówiłaś, że on skonał.

— Tamten skonał — odezwałem się — ja jestem obcy, przypadkiem tu zaszedłem. Chcę dać pomoc córce twojej w jej nieszczęściu. Uspokój się, biedna kobieto! nie dobijaj swego dziecka, kiedy je niebo tak ciężko dotknęło.

— Czy pan jesteś ksiądz? — rzekła spokojniej — i przyszedłeś go chować?... To przedźnij go już tam wynieście, bo mnie tu źle w tej izbie. Tereso! gdzie ty?

— Jestem matko! — zawołała, powstając z ziemi, blada i znekana.

— Zaprowadź mnie napowrót i daj mi kawy; dziś na obiad nie mi nie dałaś.

— Ach! matko — rzekła Teresa, całując jej rękę — on był tak chory, on konał i męczył się, zapomniałam o obiedzie.

— Hm! zapomniałaś? bo może i nie było co zgotować. Dajże mi choć kawy.

— Zaraz, matko! usiądź tu przy oknie — i odprowadziła matkę do stołka, stojącego przy oknie. Tam posadziwszy ją, pobiegła do sieni. Po chwili przyniosła ka-

wę i podała ją matce. Wzięła stara filiżankę do rąk i gdy łyżeczki drewnianej dotknęła, rzekła:

— Drewniana? a gdzie srebrna? jeszcze była wczoraj.

— Zastawiłam ją, matko! — odpowiedziała córka z bólem i wstydem.

— Zastawiłaś? wszystko, co było lepsze, pozostawiałaś dla niego.

— Matko! zlituj się nade mną — odpowiedziała nieszczęśliwa, składając ręce, jak gdyby stara egoistka widzieć ją mogła — zastawiłam łyżeczkę, bo nie było za co kawy dla ciebie kupić.

— A jutro za cóż kupisz? — rzekła stara — jutro już nie będzie co zastawić. Przynajmniej niech go prędkiej wyniosą. Tam mi lepiej będzie w tamtej izbie, choć będę głodna.

— Nie będziesz głodna, kobieto! tylko się uspokój i nie dręcz córki — rzekłem, przenikniony do głębi duszy stanem tej biednej dziewczyny, której opłakane położenie, której piękność, której uczucia i wyraz twarzy najmocniej mnie zajęły.

— Tereso! — rzekła stara ciszej — to nie musi być ksiądz.

— Nie, matko! to jakiś nietutejszy pan, którego mi Bóg zesłał w mojem nieszczęściu.

— Widać, że nietutejszy, bo obiecuje pomoc. Podziękuj mu, Tereso, i niech każe wynieść prędkiej trupa; mnie z nim straszno, ja chcę przejść do swojej izdebki, tam mi będzie lepiej.

— Bądź cierpliwa, matko! jutro już go nie będzie, już jutro wyniosą go na cmentarz. Tam i jemu będzie

lepiej, niż było na ziemi, gdzie nie miał nikogo, tylko mnie jedną.

— Jutro? — odpowiedziała stara, oddając płaczącej córce filiżankę — dobrze, to jeszcze dziś tu przenocuję. Ale pamiętaj, żebym miała jutro co zjeść, bom bardzo głodna; wczoraj prosiłam cię o jaką strawę, nie mi nie dałaś. Przynajmniej rano daj mi szklankę mleka i bułkę.

— Dobrze, matko, będziesz miała wszystko — odpowiedziała córka, patrząc na mnie. — Kiwnąłem głową na znak potwierdzenia, a Teresa pobiegła ku mnie, i pochwyciwszy moją rękę, całować zaczęła. Objąłem głowę nieszczęśliwej dziewczyny i przytuliłem ją do piersi.

— O! niech panu Bóg płaci — rzekła wówczas; potem ukazując ręką na ciało umarłego, dodała: — pewnie dusza tego anioła wyprosiła u Stwórcy tę łaskę dla mnie, że mi pana zesłał, bo ja na to nie zasłużyłam, nie. Ja umiałam tylko kochać, ale nieszczęścia tak wielkiego może-bym była nie zniosła. Gdybyś mi pan ręki nie podał, dziś byłabyś już może na dnie rzeki, i ten trup został-by bez pogrzebu, a ta stara, niedołężna kobieta, bez opieki i pomocy! Oh! to okropnie! — i zakrywwszy twarz rękami, położyła głowę na moich piersiach i gorzko płakała.

Nigdy tak mocno nie czułem wartości dostatku, jak w obliczu tej głębokiej nędzy, którą mogłem odwrócić i zniweczyć całe jej wyteżenie. Zdawało mi się, że mnie ona wyzwala do walki i pokazała się niespodzianie oczom moim w całej swjej okropności i potędze, aby mnie ustraszyć, aby doświadczyć, czy też ustąpię jej pola i dozwolę przywieść do ostatniej rozpacz ofiarę, którą wybrała. Ale postanowienie moje prędko było zrobione. O! są chwile, gdzie i bogaty może być dumny.

— Tereso! — rzekłem, biorąc jej rękę — strata twoja wielka i stan okropny, ale bądź mężną i nie zapominaj, że ci zostaje jeszcze święty obowiązek dziecka dla matki starój i niedołężnej. Ja ci pomogę do wypełnienia go, a Bóg ci pomoże do zniesienia ciosu, którym cię dotknął. Otrzyj łzy, moje dziecię, i weźmy się do dzieła. Miałem jutro jechać, ale zostanę jeszcze, abyś nie była samą na ziemi, aby ta wiara, że Opatrzność czuwa nad nami, ugruntowała się w tobie. Ukrzep się, moja droga, modlitwą i staraniem około matki. Ja sam zajmę się tym umarłym i ciało jego oddam ziemi.

Słuchała słów moich Teresa z niejakiem podziwieniem. Tarła ręką czoło, jakby nie wierzyła sama sobie, że słyszy słowa pociechy i uspokojenia, kiedy się od nikogo spodziewać ich nie mogła. Po chwili, głęboko westchnąwszy, otarła łzy, a porwawszy moją rękę, przycisnęła ją do ust i rzekła:

— O, dziękuję panu! Tak, tak, masz pan rację, modlitwa i matka, to są obowiązki moje na ziemi.

Potém zbliżyła się z wolna do staruszki, która, po wysileniu gwałtowném gniewu i niecierpliwości, uspokoiwszy się, oparła się na lasce i drzémac zaczęła.

— Matko! — rzekła, biorąc ją delikatnie za rękę — chodź, połóż się, jutro będziesz miała swój pokój i rano dobrą kawę.

Kiwnęła ręką stara, jakby niedowierzając, ale niesprzeciwiała się córce, i milcząc dała się zaprowadzić do łóżka.

Gdy Teresa wyszła z za parawana, zawołałem ją do sieni.

— Moje dziecię — rzekłem — trzeba ten pokój z téj strony uprzątnąć i tam złożymy jego ciało. Oto masz

pieniądze, przyjmij sobie służę, bo sama wszystkiemu nie wydołasz. Nie wzbraniaj się, moja droga, i nie rachuj; mnie to nic nie kosztuje, jestem bogatym, a dla siebie potrzebuję bardzo mało. Pójdź, Tereso! jeszcze zapewne sklepiki wasze nie zamknięte, dostaniesz wszystkiego, co dla matki na jutro potrzebne. Jój głowa równie osłabiona, jak ciało, z nią jak z dzieckiem postępować trzeba. Kup jój jaką chustkę na głowę i łyżeczkę jój wydobać z zastawu. Śpiesz, śpiesz, moje dziecko, ja tu zaraz wrócę i zajmę się resztą.

To powiedziawszy, poszedłem. Gdym się od wrót odwrócił, widziałem, że Teresa stała na progu i tarła ręką czoło i oczy, jakby się ze snu przebudzić chciała.

W kwadrans potem wszystkie dzwony ogłosiły miasteczku zgon umarłego. Co było tylko sług w klasztorze, wszystkich mi Ks. gwardyan musiał oddać do mojej dyspozycji. Trzej braciszczowie klasztorni, zakrystyan i organista pomogli mi także, i wkrótce porządny katafalk, najparadniejsze lichtarze i rześiste światło, były już na dziedzińcu biednego domku. Odgłosem dzwonów wywołani mieszkańcy przede drzwiami swoich mieszkań, widzieli, dokąd tyle ludzi i tak gorliwie znosi te przybory, a sądząc, że stara umarła, szeptali i medytować między sobą zaczęli, zkąd ich stanie na taki paradny pogrzeb, na jaki się zanosiło. Lotem błyskawicy pogłoska o śmierci i pogrzebie rozniosła się po miasteczku, i wkrótce kilkanaście głów ciekawych zaglądało na dziedziniec biednej Teresy, to przypatrując się ogromnemu czarnemu nakryciu z białymi galonami, którym miał być osłonięty katafalk, to rachując lichtarze i świece, które go otaczać miały.

Wśród tego tłumu przeszła Teresa, wracająca z mia-

sta z zapasem na jutro dla matki, i z jakąś kobietą, którą sobie tymczasowo do pomocy najęła. Ale widok wielkiego bólu, który wryty był w jej twarzy pięknej i okazałej, powstrzymał ciekawość i nikt jej o nie zapytać nie śmiał.

Przyjąłem ją we drzwiach, patrząc z podziwieniem na to, co się działo. Przechodząc koło mnie, wzięła moją rękę, przycisnęła do czoła i do ust, i nie mówiąc, weszła cicho do izby matczynej.

Tymczasem wszystkie graty zniesione już były do tej izby, gdzie stała szafa z książkami. Oprzątnięto i wymieniono pierwszy pokój; katafalk postawiono na środku, spadające z niego czarne sukno rozłożyło się prawie na całą podłogę. Białą kapą i świeżo nawleczoną poduszką kazałem zasłać to łóże, zawsze ciche i dla każdego wygodne, i postawiwszy w głowach wielki krzyż srebrny, najbogatszy klejnot klasztoru, kazałem obstawić katafalk wszystkimi lichtarzami, jakie tylko zebrać można było.

Wszedłem potem cicho do izby na prawo. Staruszka chrapała za parawanem, a Teresa, na progu drugiego pokoju klęcząc, cicho się modliła.

— Już wszystko gotowe, moje dziecię — rzekłem łagodnie. — Trzeba ciało przenieść na drugą stronę. Czy jest je w co ubrać?

Kiwnęła głową na znak potwierdzenia i poszła do kuferka, który stał pod ścianą. Ztamtąd wydobyła odzienie z cienkiego sukna, ale już wytarte, koszulę także cienką i starannie wypraną i oddała mi, milcząc.

— Wyjdź ztąd, moje dziecię — rzekłem, przenikniony jej bólem, któremu już słów i płaczu nie stało. — Ja sam zajmę się wszystkiem.

— Dokądże pójde? — odpowiedziała cicho, zaciskając wargi.

— Idź, usiądź na téj kanapce darniowej, którąś pewnie dla niego przyrzędziła.

— To on dla mnie ją zrobił, i to już nad siły. Raz zemdlął przy téj robocie, biedny Adam! ale jemu tam lepiej... Dobrze, mój dobry panie, pójde, tam przesiedzę do jutra.— Spojrzała raz jeszcze na kochaną twarz umarłego i z wolna poszła.

Poleciłem kobiecie, wziętój do usługi, wyjść za nią i mieć ją na oku z daleka, a zawoławszy zakrystyana i braciszków, kazałem im wziąć się do ubrania ciała.

Gdy zdjęto trupa z pościeli i położono na ziemi, postrzegłem kilka ćwiartek papieru rozmaitej wielkości, zapisanych ołówkiem, które widać chował przed czuwającą nad nim Teresą. Na jednych były wiersze, na innych proza, wszystko pozaczynane, przemazywane i niewyraźne. Nie mogłem tak łatwo decyfrować tych szpargałów, drżącą widać, schorowaną ręką i ukradkiem pisanych, ale z kilku miejsc energicznych, kilku myśli pełnych mocy i prawdy, spostrzegłem, że to była głowa silnie uorganizowana i talent dojrzały i niepospolity. Któż był ten nieszczęśliwy? jakim sposobem znalazł się w tym głuchym zakęcie? czemu nie miał od nikogo pomocy? czemu imię jego nieznane? O tém wszystkiem nie mogłem się dowiedzieć z tego, com znalazł, i zachowawszy ciekawość na później, tém gorliwiej zająłem się oddaniem czci ostatniej człowiekowi, którego zapewne społeczność nasza zwykłą sobie obojętnością od siebie zraziła, i który znalazł przytułek pod dachem nędzy, a pociechę i ocenienie tylko w sercu sieroty bez chleba i przyszłości.

Gdy już ciało leżało na katafalku, i kilkanaście świec zapalonych rzuciło blask ponury na bladą, ale okazałą twarz umarłego, oznaczyłem kolej między braciszkami do odbywania modlitw przez całą noc i dzień następny, i odprawiawszy resztę sług klasztornych do domu, usiadłem przy Teresie, spokojnie i w milczeniu patrząc w niebo.

— Pójdź, połóż się, moje dziecię — rzekłem, biorąc jej rękę. — Pokrzep się snem; zapewne od kilku dni nie spałaś.

— Gdybym wiedziała, że się jutro nie zbudzę, o! chętniebym pana usłuchała; ale cóż mi to pomoże? We śnie obaczę go żywym może, zdrowym i wesołym, a gdy oczy otworzę, usłyszę takie same śpiewanie księdza przy jego marach. Wolę się nie łudzić darmo i pokonywać będąc sen, póki zdołam. Czy mogę teraz pójść obaczyć go? Płakać już nie będę, nie bój się pan, ale usiądę na chwilę z daleka i pomodłę się.

Gdy weszła do sieni i przez drzwi otwarte rzuciła okiem na pokój, wzięła moją rękę, i ściskając ją w swoich dłoniach, rzekła:

— Któż pan jesteś, żeś tak zgadł moją myśl, moją chęć ostatnią dla niego? O! gdybyś pan był jaką nadludzką istotą, tobyś mi go wskrzesił, aleś pan tylko widzę człowiek dobroczynny i wspaniały. Większego dobrodziejstwa nie mogłeś mi zrobić, jak oddając mu tak wspaniale cześć ostatnią. Niestety! jabym się była na nie zdobyć nie mogła. Byłby zginął, jak żył, odrzucony i zapomniany, on, co tak kochał swoich braci, w którego sercu był dla nich źródło prawdy i pociechy.

— Pomówimy o tém później, moje dziecię. Bo ja ztąd nie tak prędko wyjadę. Ponieważ Bóg tak zrządził,

zem się właśnie znalazł, aby ochronić serce two od rozpacz i grzesznego postanowienia, chcę zrozumieć całkiem Jego świętą wolę i nie odstąpię cię, póki się dusza twoja nie uspokoi. Twój los, twoja przyszłość do mnie należą. Teraz powiedz mi, moja droga, czy będziesz miała dość siły pójść za trumną jego i odprowadzić go na cmentarz?

— Czyż to nie jest moim obowiązkiem? czyż on nie był dla mnie wszystkiem, a ja wszystkiem dla niego? I owszem, chciałabym pokazać całemu światu, że się nie wstydzę płakać za człowiekiem, który rzucił światło na moję duszę ciemną i niewiadomą. On ujmował sobie życia, abym ja więcej widziała, i kosztem dni swoich zdejmował ślepotę z moich oczu. O! gdybym miała suknię żałobną, odziała-bym się nią, aby każde oko tém łatwiej poznać mogło wdowę po jego duszy i sierotę po jego myśli. Ale już późno, idź pan odpocząć. Dobranoc panu.

To powiedziawszy, weszła do izby, przystąpiła do katafalku, i zdjawszy z siebie krzyżyk, włożyła go w ręce umarłego. Potém odeszła na bok, usiadła na ławeczce przy piecu i modlić się zaczęła. Tak ją zostawiłem, a polecivszy nowęj słudze, aby czuwała nad wszystkiem, aby rano przyrządziła kawę dla staruszki i jaki zasilek dla Teresy, obiecavszy oraz nagrodę, jeżeli będzie czujną i jeżeli z niej będę kontent, udałem się do klasztoru.

Nazajutrz, ledwie dzień się robił, już byłem na drodze do Brodów, o dwie niewielkie mile od Leśniowa odległych. Chciałem mojęj nowęj pupilce, która mnie tak dziwnie zajęła, miłą zrobić siurpryzę i przywieźć suknię żałobną z czarnym woalem, aby w niej szła za trumną, kupić oraz czarnego aksamitu, galonów i innych przyborów, potrzebnych do ozdobienia tego ostatniego domku człowieka.

Nie umiem wyrazić, jak mnie to zajmowało, aby ten pogrzeb był paradnym, aby to była prawdziwa cześć, którą dwoje ludzi oddawało zdolnościom nieuznanym, obojętnie i bez współczucia przyjętym. Wprawdzie nie było nikogo w tém biedném miasteczku, który-by się poznał na tém późném oddaniu sprawiedliwości talentowi i zasłudze, ale ja chciałem ucieszyć biedne serce Teresy, której w obecnej chwili innéj i lepszej pociechy ofiarować nie mogłem.

Po zrobieniu sprawunków, zdjęciu miary na suknię z panienki podobnego wzrostu i talii, jaką w tymże domu, gdzie stanął, znalazłem, udałem się do banku Hausnera, dla złożenia tam pewnej summy i wzięcia weksłów na imię mojej pupilli, które-by jej byt i niezależność zapewniły, nim-by los zdarzył jej jakie postanowienie, lub nim-bym sam dla niej czegoś stanowczego nie obmyślił.

Gdym wracał do stancyi, przed jedną z najpierwszych oberży w Brodach postrzegłem kilka powozów, świeżo widać przybyłych. Z nich wysiadały damy i mężczyźni, wchodzili do oberży i grupowali się pod bramą podjazdową, której podłoga wyłożona była dywanami, a boki i schody na górę, ile dojrzyć mogłem, ubrane wazonami, pełnemi najpiękniejszych kwiatów. Niektórzy z panów, okazali z miny i stroju, krzątali się tam i wydawali rozkazy, jako gospodarze przygotowującej się uroczystości, a na wszystkich twarzach widać było radość i jakieś niecierpliwe oczekiwanie. Tłum na ulicy coraz się powiększał, coraz to nowy podjeżdżał powóz i wyrzucał po kilka pań wystrojonych, a massa żydów, coraz mocniej charkoczących pomiędzy sobą, zaczęła napływać od rynku, i rada zjazdowi, już spekulowała w myśli i rachowała przyszłe swe zyski.

Stałem przypadkiem koło jednego pana, którego postać czysto galicyjska jaśniała całą starannością, odznaczającą niegdyś tę prowincję. Odłączył się on od grupy dam, i wzięwszy na bok żyda faktora, wydawał mu dyspozycje. Gdy skończył, zatrzymałem go, i skłoniwszy się grzecznie, zapytałem :

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja, czy mogę zapytać, kogo to państwo oczekujecie z takim przyjęciem? — Spojrzał na mnie ów pan tak, jak się u nas zwykle spoziera na człowieka w szaraczkowym surducie i białym kaszkieciku, który śmie pierwszy zagadać do właściciela kilku wiosek.

— To pan nie wiesz? — rzekł. — Ale prawda, cóżby to pana obchodzić mogło — dodał jeszcze raz, zmierzwszy mnie okiem.

— Niech-no pan będzie łaskaw powie mi, to może mnie to i obejdzie — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Jest to, mój jegomość — rzekł poglądając na mnie ironicznie, i umyślnie używając tego wyrażenia, którem widać traktował swego ekonoma — jest to zdarzenie niepospolite, które honor przynosi krajowi.

— Aj! zmiłuj się pan — rzekłem z zajęciem — właśnie takie zdarzenia, które honor przynoszą krajowi, nieźmiernie mnie obchodzą, gdyż ich bardzo mało. — Spojrzał na mnie panicz z zastanowieniem, a ja dodałem : — Czy to państwo oczekujecie jakiego udzielnego książęcia?

— Ale gdzież tam, mój panie! oczekujemy na wielką znakomitość, na talent nieporównany, na kobietę, która całą Europę oczarowała.

— Czy Polka? — rzekłem dobrodusznie.

Mój pan parsknął ze śmiechu, odwrócił się i poszedł.

W kwadrans potém dowiedziałem się, że to sławna śpiewaczka przejeżdża z Wiednia do Rossyi, że ją gdzieniegdzie po drodze damy nasze i panowie fetują, aby wiedziała, jak umiemy cenić talenta, jaki hołd składamy wszelkiej wyższości.

Nie miałem nic przeciwko temu, będąc sam admiratorem wielkich zdolności; nie czekałem wprowadzie na przejazd upragnionego gościa, ale, wróciwszy do stancyi, posłałem po sutsze jeszcze galony do trumny zgasłego w Leśniowie rodaka, i obstałowałem wielką marmurową tablicę do pomnika, który miałem chęć postawić na jego grobie, z napisem... Lecz cóż to kogo obchodzi? Kto pójdzie do Leśniowa czytać ten napis?

Już późnym wieczorem przejeżdżałem koło domku, z którego okien świeciły światła przy zwłokach, i z kąd wychodzili i wchodzili dla ich odwiedzenia biedni miasteczka mieszkańcy. Gdym wszedł do sieni, Teresa wyszła naprzeciwko mnie, ścisnęła moje ręce i zawołała uradowana:

— Ach! mój dobry panie! myślałam, żeś mnie opuścił, żeś pojechał, że już nigdy nie obaczę mojego dobroczyńcy. O! wierz mi pan, gdybyś mnie obsypał złotem i klejnotami obłożył, nie uważałabym tego za takie dobrodziejstwo, jak to wszystko, coś tu dla mnie zrobił.

— Cóżem ja takiego zrobił dla ciebie, moje dziecko?

— O mój Boże! — odpowiedziała — z łaski pana mam dwie najdroższe rzeczy: pocałowanie i dobre obejście od matki spokojnej, niegłodnej, a zatém i lepszej dla mnie, i cześć taką dla téj kochanej głowy, która tak cicho tam leży. Już tu dziś całe miasteczko było, już od rana dzwony ogłosiły ludziom jakąś wielką uroczystość. O je-

denastój przysłał do mnie ks. gwardyan braciszka, że się odbędzie żałobna msza za duszę Adama. Pobiegłam; dużo było ludzi w kościele, wszyscy ustępowali mi miejsca, jak gdybym to ja niegodna była tam pierwszą osobą, jak gdyby ta msza odbywała się dla tego, żeby się Bóg zmiłował nad mojem sercem i utulił je w wielkim żalu. Gdy ks. gwardyan zaśpiewał requiem, mocno płakać zaczęłam; przychodzili do mnie ludzie, pocieszali mnie, nawet te kobiety, co dawniej na mnie patrzeć nie chciały, przystąpiły do mnie i w ich głosie, i w ich oczach widziałam żal i litość nad biedną sierotą. Cóżby ze mną było, gdyby nie pan?

Przycisnąłem jój głowę do piersi, i umocniwszy kilkoma słowami, zostawiłem ją choć téj smutnej radości, jaką mieć mogła. Oplakany stan! dziwne położenie! kiedy żałobna msza jest pociechą, a pogrzeb największym dobrodziejstwem.

Nazajutrz o godzinie czwartój wszystko było gotowe do ostatniego obrzędu. Zakonnicy ze wszystkimi chorągwiami klasztoru, ubogie cechy miasteczka i zgromadzony zewsząd lud, zebrały się przed biednym domkiem. Kazałem rozdać świece obecnym, ile ich tylko dostać można było. Słudzy kościelni, w czarne kapy odziani, nieśli trumnę, której aksamit i kwasty srebrne zadziwiały przytomnych. Tuż za nią postępowała Teresa w żałobnej sukni, z czarnym woalem, spadającym do ziemi. Jój postać, wyraz téj bladój i pięknej twarzy, wrażały poszanowanie, cześć i litość. Ci prości ludzie nie mogli pojąć, co tak nagle zmieniło tę dziewczynę, niegdyś taką, jak i oni, i czemu dziś nie im złego na myśl nie przychodzi, owszem żalują jój, kiedy niedawno i to i owo o niej myśleli i mó-

wili. Bo i oko ciemne umie czytać wielką boleść w twarzy bliźniego, a głowy ludzi prostych nachylają się chętnie i z poszanowaniem przed majestatem wielkiego nieśczęścia.

Na cmentarzu, ozdobnym tylko drewnianemi krzyżami, złożyliśmy zwłoki w mogile ustronnej, pod wielką lipą, która samotnie stała na tém ostatniem zbiegowisku ludzi. Teresa klęczała póty nad brzegiem dołu, póki jeszcze ziemia, rzucana ręką pobożnych ludzi, stukiała o deski trumny. Gdy grabarze zaczęli już łopatami zsuwać ją i grób szybko zapełniać się począł, powstała, odeszła na bok i, zbliżywszy się do mnie, rzekła z powagą :

— Już.... i na wieki. — Po chwili, potarłszy ręką czoło, dodała: — Jak to dobrze, że właśnie to miejsce dla niego obrano. Ta lipa ocieniać będzie jego mogiłę. On tak lubił wielkie drzewa, tak swobodnie pod niemi oddychał. I ja będę miała o co oprzeć głowę, jak tu przyjdę.

— Czemu nie płaczesz, Tereso? — rzekłem, biorąc jój rękę.

— Nie mogę — odpowiedziała. — Wczoraj podobno ostatnie już łzy wypłakałam w kościele, gdy ks. gwardyan śpiewał requiem. Ale patrz pan — dodała, ukazując na rozchodzący się lud i oddalających się księży — już dopełnili wszystkiego, pójdą wszyscy i jutro już zapomną. Idź i pan, mój dobry panie! i nie przychodź pan do mnie, aż za dwa dni. Ja tu jeszcze zostanę.

To powiedziawszy, oddaliła się ode mnie — i gdy na cmentarzu już było pusto, uklękła na świeżej mogile. Ja usiadłem z daleka przy furcie, żeby jój nie przeszkadzać i samój nie zostawić.

II.

Trzeciego dnia, koło godziny dziesiątej, gdym właśnie zbierał się odwiedzić Teresę, odebrałem od niej list następujący :

„Szanowny Panie! Obie te noce i dzień wczorajszy nie odpoczywałam. Na tém samém miejscu, gdzie biedny mój Adam kilkanaście godzin przeleżał bez ruchu, w głębokim pokoju, siedziałam, płacząc, i pisałam. Zdawało mi się, że mój anioł przede mną, że dyktuje tę serdeczną spowiedź, którą tu przesyłam. Winnam ją była panu, nieznanomemu i wspaniałemu dobroczyńcy, któryś ani wzrokiem, ani słowem nie zapytał, czym warta łaski, jaką mi świadczysz. O! przeczytaj pan cierpliwie to zeznanie biednej dziewczyny, którą niebo poddało ciężkiej próbie, której naznaczyło surową pokutę za oddanie serca i duszy człowiekowi, którego los i niesprawiedliwość ludzi przygnała do jej progu, a którego już złożyła w ziemi — na wieki. Wszystko, co po nim pozostało, com ochronić mogła, przesyłam panu także. Przejrzyj pan ten rękopism. Pierwszy to rzut nieforemny, niewyroblony, kreślony często o głodzie, często wśród cierpień gasnącego ciała. Przeczytawszy to, może pan nie będziesz żałował, żeś uzczył po grzebem człowieka, który zasługiwał na miłość i szacunek ziomków, a doznał od nich tylko obojętności, a podobno i wzgardy. Niestety! to jedno tylko dzieło, może najmniej malujące jego szlachetną duszę i myśl wysoką, ocalić mogłam. Resztę spalił i z gorzkim uśmiechem i śmiertelną bladością stał przy ogniu, i zagartywał niedopalone resztki, aż póki wszystko, co przez lat wiele przemyślał, nad czém

tyle nocy przesiedział, w co część kosztownego życia włożył, nie zamieniło się w biały popiół. Nadeszłam właśnie, gdy już ofiara dopełnioną została. Ten brulion, który panu posyłam, był pod moim kluczem. Wyprosiłam go, nie dałam, uparłam się, i moje łzy i prośby ocaliły go. Miał go poprawić, wykończyć (bo nie był już w stanie nic nowego zaczynać); i mieliśmy go razem przeczytać i potem spalić. Przrzekłam, że wtenczas dopełnię jego woli. Niestety! nie miał czasu zajrzeć do tych porozrzucanych i pomazanych kartek. Choroba schwyciła go silnie i wkrótce śmierć porwała. Nie wiem, czy pan co dojdiesz. Starałam się jednak ponumerować je, jak mogłam najporządniej — i dziś rozstaję się z tym ostatnim moim skarbem, z ostatnią po nim pamiątką. Jeżeli mi ją pan później zwrócisz, będę to uważać za nowe dobrodziejstwo. Rada-bym jeszcze widzieć pana i ucałować rękę, która mnie utrzymała w najboleśniejszej chwili mego życia.

Teresa.“

Przy tym liście był spory pakiet, zamykający rękopism, złożony z arkuszy, éwiartek i świstków, ułożonych dosyć porządnie, opatrzonych numerami i odsyłaczami. Ale charakter był niezbyt wyraźny i w wielu miejscach wiersz na wierszu zajmował dodatki i poprawki. Na pierwszym arkuszu znajdował się tytuł: *Kandydat na djabła* — ale ten był przemazany, a pod spodem był drugi: *Pieniądze bez pracy*. I z tego widać autor nie był kontent, bo także był przemazany, a pod spodem było *Twar...* niedokończone i niewyraźne. Czy to miał być Twardowski, czy inne jakie nazwisko, domyślić się trudno. Odłożywszy na bok cały ten rękopism, wziąłem się najprzód do od czytania spowiedzi biednej mojej Teresy, którą z góry

usprawiedliwiłem we wszystkim, i dla której najwyższą przejęty byłem sympatją. Spowiedź ta spisana była w osobnym seksterniczku, a w wielu miejscach ślady łez zacierały słowa, drżącą ręką skreślone. Ktoby się spodziewał, że takie serce biło, że taka głowa marzyła w tym głuchym zakęcie, gdzie na piaskach, wśród sosnowej puszczy, było kilka karczem i kilkanaście domków bednarzy, kołodziejów i innych rzemieślników, którym głębokie lasy tamtejsze dostarczały materiałów do przerabiania na rozmaite naczynia i narzędzia gospodarskie. Ale jak czasem wiatr kapryśny zanieś owocowe ziarneczko na rozwaloną wieżę i na złomkach zbutwiałych murów posieje, tak i tu przypadek zaniósł nasienie myśli i uczuć, które trafiło na głowę i serce, gdzie się przyjąć i rozzielenie mogło. To mnie nauczyło nie pogardzać żadnym zakątem, gdzie gromadka ludzi żyje i cierpi. Bo myśl, jak powietrze, jest wszędzie. I jeżeli wielkie miasto, zbliżenie większe mas, ruch konieczny, jakiego i jednostki od téj wielkiej fali doznają, prędzej ją rozwija, rozmaiciéj kształci: — za to, gdy w samotności, w ciemnym i nieznanym zakęcie, odbierze ona jakieś niespodziane pchnięcie, gdy do niej zabłąkany promień zapadnie, jaśniej i żywiej oświetlona, puszcza się śmielój, samoistniej, i jak skowronek z opuszczonego pola wyżej pod niebo podlatuje.

Może te zeznania kochającój dziewczyny, których tu czytelnikom moim udzielam, nie zrobią na nich takiego wrażenia, jakiego sam doznałem, i powyższe uwagi moje wydadzą się im niestosownemi; ale niech sobie przypomną, że ja, czytając ten obraz, pełen prostoty i szczerości, miałem przed oczyma interesującą twarz téj, co go kreśliła, i cały ogrom nieszczęścia, z którym mocowała się jéj

dusza. Nie jest to dla ludzi *wysoko wykształconych*, jakim uznał siebie pewien recenzent poznański, pisząc o autorze, którego mi wcale nie żal i za którym ujmować się nie myślę; . niema tu nic takiego, nad czém potrzeba-by *łamać sobie głowę*; niema owych apokaliptycznych pomysłów, jakich dziś ludzie tak wysoko wykształceni wymagają; bo Teresa pisała to dla mnie, który téj pretensyi nie mam, bo wiedziała, że ją sądzić będę myślą jasną i zdrową, i sercem umiejącém podzielać cudzą niedolę. Takich, jak ja, czytelników proszę, niech to zeznanie jój przeczytają. Ludzie zaś wysoko wykształceni mogą je pominąć i zająć się dałszém i wyższém jeszcze wykształceniem, z czego i oni, i my skorzystamy.

Tak się zaczyna spowiedź mojej biednej Teresy:

„Zacny, dobry mój panie! Mam lat dwadzieścia dwa, a już mi się zdaje, że w wieku i latach więcej nie postąpię, zem już stanęła u granicy życia i przy zamkniętej dla mnie bramie ziemskiej przyszłości. Tam tylko widzę jeszcze przed sobą długą, nieskończoną drogę, gdzie mam iść po śladach Adama. Poczyna się ona od téj lipy, pod którą wczoraj na świeżej mogile klęczałam, i ciągnie się przez wieczność. Wszakże nie o tém mam panu pisać, co będzie, ale o tych dwudziestu dwóch latach, które już przeżyłam, i w których zamyka się cały skarb uciech, całe wyteżenie biedy i cierpienia, jakie mi na ziemi przeznaczoném było.

„Urodziłam się na prostą dziewczynę, która miała przeskakać dzieciństwo, pasąc matczyne krowy, prześpiewać młodość z towarzyszkami przy kądzieli, na grządce, lub błakając się w niedzielę po naszych borach i zbierając wesoło kwiatki i jagody. Chłopka bogata, córka prze-

myślnego i zamożnego rzemieślnika, byłam zapewne przeznaczona do tego szczęścia, jakie jest udziałem dzieci naszego stanu, jeżeli rodzice pracowici, trzeźwi i staranni. Ale mój ojciec umarł, gdym miała ledwie lat dwa; zostałam sierotą, i ten pierwszy przypadek wyprowadził mnie z ciasnych granic życia wieśniaczego i odebrał mu używanie, poziome wprowadzie, lecz pełne siły i trwałości. Moja matka, zostawszy wdową, utrzymywała, jak mogła, gospodarstwo, które ojciec zostawił. I było koło czego pochodzić. Dworek nasz był wówczas nowy; zapas materiałów, z których mój ojciec wyrabiał rozmaite naczynia, i które co miesiąc kilkoma furami do Brodów wywoził, był wielki; krów moja matka miała kilkanaście, koni czworo, czeladzi i sług dosyć. Wszystko to potrzebowało starania i dozoru, przechodzącego możność i siły kobiety. Jakoż wkrótce postrzegła, że się wiele rzeczy marnuje, że przemysł upada i gospodarstwo nie przynosi dawnych korzyści; postanowiła więc drugi raz pójść za mąż, sądząc, że dawną pomysłność odzyska i uwolni się od kłopotów, którym wydostać nie mogła. Nietrudny był wybór. Przystojna, jeszcze młoda i, jak na nasz stan, majątna wdowa, łatwo mogła znaleźć wieśniaka i rzemieślnika z przemysłem i chęcią do pracy. Ale Bóg zrządził inaczej.

„W majątku tutejszym był oficjalista, któremu się służba nie wiodła, może z jego własnej winy. Przypadkiem dostawszy obowiązek, którego nie lubił, więcej zajmował się książkami, marzeniem, a nawet pisaniem, niż browarem i gorzelnią, których był pisarzem. Znudzony częstym strofowaniem, które za łada niedbałość odbierał, i podobno zagrożony utratą miejsca, postanowił sam się oddalić, nim-by go z pokrzywdzeniem może usunięto.

Znał się on z moją matką i słyszał częste jej ubolewania na trudności stanu wdowiego i na kłopoty gospodarskie. Czy mu się ona rzeczywiście podobała, czy chciał tylko zapewnić sobie spokojny kawałek chleba i niezależność, tego nie wiem; ale wkrótce zaczął częściej przychodzić i nareszcie podziękował za służbę i z moją matką się ożenił.

„Takim sposobem, mój dobry panie, dostałam ojczyzna, za którego modłę się codziennie. Nie uszczęśliwił on wprawdzie ani mojej matki, ani siebie, ale otworzył świat przed moją duszą i postawił mnie na drodze wiadomości i myślenia, po której mnie mój Adam dalej poprowadził. Droga to cierniowa, każdy krok na niej oznaczam śladami krwi i bólu, a przecież z wdzięcznością wspominam pamięć człowieka, który mi ją zrobił dostępną, i za nie w świecie z niej zejść i do raję niewiadomości wróciłbym nie chciała.

„Nowy ten związek nie pomnożył naszej rodziny. Zostałam jedynaczką, jak byłam; i mój ojczym, który coraz więcej zaczynał potrzebować pociechy, który coraz bardziej poczuwał niestosowność swego małżeństwa i stracił poetyczne illuzye swobody, niezależności i dostatku, przywiązał się do mnie całym sercem i pokochał najszczerzej, ojcowskim przywiązaniem. Moja matka nie rozumiała go zupełnie, nie mogła z nim rozmawiać o niczym, chyba o tym, co się tyczyło gospodarstwa i zysku, czego on nawzajem nie lubił. Zawiedziona więc także w swoich nadziejach, widząc, że nie ma tego wyręczenia, jakiego się spodziewała, że wszystko idzie równie źle, jak szło, gdy była samą, gniewała się, gderała i zniechęcała tym bardziej męża od siebie i domu.

„W takim stanie rzeczy ja byłam jedyną pociechą te-

go dobrego człowieka. Nie odstępowałam go nigdy, lubiłam z nim przechadzać się, o wszystko co mię uderzało pytać, słuchać, gdy mi różne rzeczy opowiadał, powtarzać bajeczki Krasickiego, z początku w treści, a potem wiersz w wiersz, z całą dokładnością i deklamacją, która go niezmiernie cieszyła. Tym sposobem postrzegłszy, że mnie Bóg obdarzył ładną pojętnością i wyborną pamięcią, wziął się seryo do uczenia mnie czytać i pisać. Miałam wówczas lat siedm, gdy się edukacya moja rozpoczęła. We dwa lata już umiałam czytać bardzo dobrze i pisałam nieźle. Matka gniewała się, narzekała na czas stracony, nieraz zbiła mnie okrutnie, gdym od wrzeciona lub grządkci uciekała do książki. Ale nic mnie zniechęcić nie mogło. Owszem zapal mój podwajał się przeszkodą, groźbą i surowością. Nieraz, pamiętam, z oczami zapuchłemi, z rękami, na których były sińce od różeg, siadałam do pisania. Ojczym płakał nade mną, całował ślady tych mąk, które tak mężnie znosiłam, i z tém większą oboje pracowaliśmy ochotą. Tak przeszło lat kilka. Co tylko mój ojczym wiedział, już i ja to wiedziałam przez ciągłą rozmowę, przez pilne słuchanie, przez powtarzanie z nim i wypytywanie go niezmordowane. Niewiele mieliśmy książek, ale z jakąż uwagą, z jaką rozkoszą, jak wielokrotnie przeczytane były te, któreśmy dostać mogli. Krasickiego umiałam prawie na pamięć, śpiewałam Psalmy Kochanowskiego, i nieraz rzewnemi łzami oblałam jego Treny. Już mi było lat czternaście, gdy jakiś dawny znajomy przysłał ojczymowi memu Jerozolimę wyzwoloną. Zdołamże wypowiedzieć, ile chwil rozkosznych dało mi czytanie tej książki? Niestety! tam nauczyłam się marzyć, tam nauczyłam się wyobrażać sobie istoty, których nie mogłam

znaleźć koło siebie, tam pierwszy raz i tak wcześniej zaczęłam już kochać, sama nie wiedząc kogo. I gdy mnie siedzącą gdzie w kącie z Tassem w ręku znalazła matka, gdy jej słowa proste i grube łajania skrzyżowały się z harmonijnymi wierszami Piotra Kochanowskiego; gdy bijąc mnie, marzącą o ofierze Olinda i Sofronii, o miłości Herminii i Tankreda, pędziła do krów, do garnków, wtenczas serce bolało mnie gorzej niż plecy i przychodziło mi na myśl uciec z domu, gdzie mnie katowano za to, co ja uważałam za najwyższe szczęście na ziemi.

„Daruj mi pan te szczegóły. Są one dla mnie i miłym i bolesnym wspomnieniem, a wytłómaczą panu moje późniejsze uczucia i obecne położenie. Jeżeli byłam wówczas złą córką, jeśli nie niosłam matce takiej pomocy, jaką w miarę sił nieść mogłam, może to i nie moja wina. Takie widać było moje przeznaczenie, aby ciągle łaknąć nauki, dowiedzenia się czegoś, wyjścia z ciasnego obrębu tego życia, w którym mnie los postawił. Dziś, przebywszy tyle prób ciężkich i czując, że mimo bólu, który mi dojmuję, jeszczebym chętnie tą drogą poszła, gdybym ją rozpocząć miała, uważam to usposobienie mego umysłu i serca za krzyż, który mi dźwigać dano, i który powinnam donieść aż do tego miejsca, gdzie duch mój czuwać przestanie.

„W tym czasie interesa rodziców moich coraz się pogorszały. Ojczym coraz więcej zniechęcony, dręczony okrutnymi wymówkami, do niczego się nie wtrącał, unikał domu, nawet przede mną się chował. Z początku nie wiedziałam, czemu to ostatnie przypisać; ale wkrótce narzekania, klątwy i łzy matki nauczyły mnie, że się nasza niedola dopełnia. Mój ojczym zaczął pić. Z razu mnie

się wstydził — ale wkrótce z taką furyą oddał się temu nałogowi, że nawet moje prośby i przewaga, jaką nad nim miałam, nic nie pomogły. Nie będę panu opisywać scen okropnych, jakich byłam świadkiem. Dość powiedzieć, że biedna moja matka doświadczała nieraz brutalskiego odwetu siły męskiej, nie kierowanej rozumem, która wreszcie przełamała długą niewolę i wszelkie zerwała wędzidła. Stan ten trwał blisko lat dwa, w ciągu których dojrzałam więcej łzami, więcej przypatrywaniem się ostatecznym krańcom niedoli ludzkiej, niż swobodnym myśleniem. Nareszcie choroba i śmierć dopełniły reszty. Matka, po długich wycierpianych męczarniach na głowę, oslepła, ojczym umarł, i ja, szesnastoletnia dziewczyna, zostałam gospodynią tego domu nędzy i opustoszenia.

„Bóg jednak dodał mi siły. Nie upadłam pod tym okropnym ciężarem, który mię przygniótł. Obowiązki córki stanęły przed moją duszą w całej swojej świętości, i chociaż moja matka nie ma w charakterze swoim tej miękkości kobiecej, która się łatwo rozczula, choć z natury surowa i twarda, nieraz jednak, tuląc mię do łona, błogosławiła mię za moje około niej starania i przepraszała za te razy, które mi dawniej ręka jej zadawała.

„Pan, człowiek szlachetny i pojmujący serce ludzkie, uwierzysz zapewne, gdy powiem, że tych chwil mego sieroctwa nie uważam za najnieszcześniejsze momenta mego życia. Owszem, z niejaką dumą zwracam się ku nim i obraz ten pracy, poświęcenia bez granic, tajonego nieraz głodu, czuwania nad potrzebami, nad zdrowiem matki, względem której czułam się winną i której złamaną nie-
szczęściami wolę szanowałam, jak głos z nieba, staje przed



mojemi oczami, jako zasługa, która mi wyjedna prędkie koniec i długie wychnienie.

„Żyliśmy, jakeśmy mogły. Ze znacznego gospodarstwa kilka tylko krów pozostało, ogród i mała sianożęć nad Styrem. Rzemiosło mego ojca, dawno już zarzucone, leżało odłogiem i nie przynosiło korzyści. Pomagałam więc sobie ręczną robotą i uczeniem kilku dziewcząt, które mi ks. gwardyan nastręczył. Nędzną mi to przynosiło pomoc, ale zawsze miałam za co dogodzić matce, przywykłej do wygody, i wymagającej jęj ode mnie, często z całą niewyrozumiałością ludzi chorych i niedołęztwem uderzonych.

„Pomiędzy dziewczátkami, które się u mnie uczyły czytać i pisać, była córeczka jednego zamożnego bednarza. Dawniej rywalizował on z moim ojcem i nie lubili się wzajemnie. Ale gdy mój ojciec umarł, gdy przemysł jego upadać zaczął, a nareszcie zupełnie ustał, nasz współzawodnik, tém większe ciągnąc zyski, czuł się niejako obowiązany względem nas i czasem nam pomagał. On-to najpierwszy i chętnie uległ namowom ks. gwardyana i córkę mi swoją powierzywszy, dał przykład i innym. Dziecię to przyprowadzał do mnie często brat jęj starszy, chłopak mający wówczas rok dwudziesty, czerstwy, wesoły, z twarzą ujmującą i nie bez wyrazu. Nic on nie umiał, oprócz swego rzemiosła, którym się zajmował chętnie i gorliwie, ale zdrowy rozsądek i dobroć serca, przytém dostatek domowy i niemyślenie o jutrze, nadawały całej jęj osobie pewną swobodę, jakiej nie mają zwykle chłopcy naszego stanu.

„Lubiłam z nim czasem pogadać, bo był wesoły, żywy w ruchach i słowie. Szczególniej interesował mnie przez

to, że lubił swój stan, swoje rzemiosło, że wrósł, iż tak powiem, w swoją włóściańską sukmanę i czuł się w niej bezpiecznym i szczęśliwym, jak młody dąbczak czuje się mocnym w tej ziemi, z której wyszedł i z której soki swe ciągnie. Często porównywałam byt jego z moim, jego myśli i wyobrażenia z mojemi, i chociaż ani żałowałam siebie, ani zazdrościłam jemu, czułam jednak, że gdyby wszyscy, tak jak ja, chcieli wyskakiwać ze swojej skóry, gorzej-by jeszcze było na świecie, niż jest teraz. Z tych powodów, umacniałam go nieraz w zamyśleniu swojego stanu, i gdy czasem się zasmucił, że nie umie tego, co ja umiem, pocieszałam go słowami przyjaznego przekonania. Widziałam ja to dobrze, że mnie słucha z uwagą, z pewnym rodzajem pokory i uznaniem niższości; ale mi do głowy nie przychodziło, że on mnie czeił, jak wyrocznią, że każde moje słowo, łagodniej i przychylniej wymówione, zarywało się w jego pierś i zostawało na tej duszy prostej i nieskażonej. Dopiero po jakimś czasie, gdy codzień zaczął siostrzyczkę swą przyprowadzać, gdy, pod różnemi pozorami, wcześniej po nią, niż należało, przychodził, gdy wreszcie raz, niespodziewanie, zaczął sam czytać jej lekcya, i okiem zroszonym łzą poglądał ku mnie, czym zrozumiała jego usilność i jej powód, pojęłam stan jego serca.

„To odkrycie głębokim przejęło mnie smutkiem. Nie mogłam go kochać. Jam sobie co innego wymarzyła; w duszy mojej był obraz wysoki i piękny, do którego rwało się serce, gotowe do poświęceń bez granic, do jakiejś nieziemskiej miłości. Byłam wprawdzie chłopką, taką, jak i on; szacowałam jego pracowitość, jego rozsądek, jego serce, które miłość dla mnie już niejako urobiła,

udelikatniła i szlachetnym natchnęła instynktem. Ale między myślami naszemi była niezgłębiona przepaść, której ani on, ani ja przestąpić nie mogliśmy bezkarnie. Los mego ojczyma, jego zawód, jego ciągle katusze i śmierć okropna, stawały mi ciągle w myśli.

„A przecież wytrwałość tego pocziwego chłopca, nalegania jego ojca, który w tym związku widział szczęście swego syna, rady ks. gwardyana, a szczególnież łzy i prośby mojej matki, skłoniły mię, żem przyrzekła. Gorzko nieraz żałowałam moich marzeń, które, tém cudowniejszemi farbami odziane, stawały przed myślą, jakby mi niewierność wyrzucać chciały. Ale gdym się zastanowiła nad swoim położeniem, nad swą przyszłością; gdym pomyślała, że wprowadzając tak porządnego i pracowitego gospodarza, tak przemyślnego rzemieślnika do chylącego się domu, postawię go na dawniejszych fundamentach, ozdobię dawniejszym dostatkim i ucieszę tym sposobem starość matki i hołd oddam cieniowi zgasłego ojca; nabierałam odwagi i godziłam się z moim losem. Pomagał mi do tego mój narzeczony. Dziś jeszcze, pisząc to na tém miejscu, gdzie niedawno stały zwłoki Adama, nie mogę bez rozrzewnienia i wdzięczności wspomnieć o tym biednym chłopcu, którego serce tak ciężko zraniłam, a którego przywiązanie dla mnie warte było innéj nagrody. Nie mogę panu wypowiedzieć, jak to głębokie uczucie, które dla mnie powziął, podniosło go nad jego stan, nad wyobrażenia, w których wyrósł, słowem, nad niego samego. Odkąd wyrzekłam, że będę jego żoną, zdawało się, że się przerodził, że pojął wszystkie moje wymagania. Od téj chwili o tém tylko myślał, aby życie moje zrobić lepszym i jakby kwiecistém. Nie było starania, którego-bym nie

doznała, nie było chęci, której-by nie zgadł. Zaledwie oczy otworzyłam, już widziałam jakiś ślad jego troskliwości, jego miłości. Były to oznaki proste, gospodarskie, odnosiły się zawsze do naszych potrzeb, do naszej wygody; ale ja patrzyłam na jego chęci i serdeczną poczuwałam wdzięczność.

„Tak bez uniesienia, bez tych słodkich rojeń, które zapewne zapełniać muszą serce dziewczyny, gdy kochana i kocha, ale spokojnie, z rezygnacją i ufnością w opiekę Bożką, przygotowywałam się do spełnienia mego losu. Ślub nasz miał nastąpić przy końcu Czerwca, trzy lata temu. Już te dwa pokoiki, gdzie teraz piszę, były wypożądzone, już rodzice jego porobili przygotowania, aby syn miał od razu zajęcie, aby mógł zarabiać i na ich pomoc się nie spuszczał; już i dla mnie i on, i ojciec, przynosili rozmaite podarunki, które miały służyć dla zrobienia mi życia wygodniejszym i miłszem; gdy w Maju tegoż roku serce moje inaczej się ocknęło i myśli zupełnie inny wzięły kierunek.

„Już było późno, matka spała, a ja, siedząc przy oknie, z zakrytą obiema rękami twarzą, marzyłam, badałam siebie i, oddalając mimowolne trwogi, które mię opadały, starałam się wmówić w siebie ten pokój, tę pewność jutra, której z duszy pragnęłam, a która właśnie dziś, nie wiem dla czego, była daleką od mego serca. Wtém piesek nasz wierny zaszczekał na dziedzińcu. Podniosłam głowę i usłyszałam najprzód lekkie uderzenie o klamkę od sieni, potem jęk głęboki i nareszcie jakby czyjścis upadek. Przestraszona, powstałam, otworzyłam drzwi na dziedzińiec, i obaczyłam leżącego na ziemi człowieka, w podróźném, ale przystojném ubraniu. Przemógłszy bojaźń i nie-

dowierzanie, przekonałam się, że był zemdłały. Gdy przy pomocy mojej przyszedł zwolna do siebie, podniosłam go i zaprowadziłam do izby, przeznaczonej na moje mieszkanie, do téj samej, gdzie przed kilkoma dniami leżał na katafalku. Tam usiadł spokojnie, nie mówił i złożwszy z siebie tłumok podróżny, milczeniem i wzrokiem dziękował mi za daną mu pomoc. Żadnego posiłku nie chciał, oprócz wody; a gdy mu na prędce przyrzędziła posłanie, jak mogłam, wpół już senny, rzucił na mnie wzrok omdłały, wziął drżącą ręką moją rękę, przycisnął do ust i natychmiast usnął.

„Ja usnąć nie mogłam. Do rana samego marzyłam o téj szczególnej przygodzie, tém dziwniejszej, że się zdarzyła w naszym miasteczku pustém, odludném tak dalece, że do niego nigdy żaden wędrowiec nie zaszedł, żadna się obca twarz nie zabłąkała. Gdy nad ranem zasnęła, sen mi znowu powtórzył moje myśli i domysły w czasie czuwania, i odmalował wiernie bladą i piękną twarz mojego gościa, jakby już dawno znajomą. Ocknąwszy się, porwałam się z łóżka i poszłam obaczyć, czy spoczywa, czy nie chory, czy czego nie potrzebuje. Spał niespokojnie, a na policzki jego wystąpił jakiś chorowity rumieniec, nie mający piętna naturalnej świeżości i zdrowia. Jakoż sen jego przedłużał się długo na dzień, i wówczas przekonałam się po prędkim oddechu, po niepokoju, z jakim rzucał się na pościeli, że był w gorączce.

„Nie będę panu opisywać mojego zmartwienia, moich starań, moich zabiegów. Siedząc nieraz przy jego łóżku, po godzinie całej wpatrywałam się w jego twarz szlachetną, i na czole jego doczytywałam się myśli głębokiej. A choć jeszcze wzrok jego był ciągle zamglony i piękno-

ścią duszy zajaśnić nie mógł, choć słowa jego były tylko przerywanym jękiem, lub jakimściś od rzeczy szepta-
niem; czułam jednak, że za tą mgłą, za tą ciężką chmurą,
jest moje słońce, które mnie ogrzeje i ożywi.

„Ta nadzieja pocieszała mnie w moich kłopotach. Były one wielkie. Z jednej strony dręczyła mnie obawa o życie człowieka, który mnie mocno zajął i położeniem swoim, i stanem zdrowia, i jakimściś dziwnym przeczu-
ciem, że mi go przeznaczenie zesłało; z drugiej, powię-
kszony ambaras domowy, nieukontentowanie matki i smu-
tek narzeczonego, któremu odpowiadałam z roztargnie-
niem, o którym prawie zapominałam, który nie mógł po-
jąć, z kąd we mnie takie interesowanie się dla nieznanome-
go przybysza, tak czuła i prawie gorączkowa o niego troskliwość. Ja sama nie wiedziałam jeszcze wówczas, co
mnie tak zmieniło; wkrótce jednak postrzegłam to świa-
tło, co mnie przez lat trzy tak słodko oświecało, a które
dziś głęboka noc pochłoneła — na zawsze.

„Przy końcu trzeciego tygodnia, weszłam raz do poko-
ju, gdzie mój chory leżał, i zastałam dziwną w nim prze-
mianę. Na piękném czole jego widać było przytomniejsze
myślenie, oczy patrzyły jasno, wyraźnie, i na ustach był
jakiś uśmiech, którym witał wstępujące weń życie. Gdym
się zbliżyła, zapewne z wyrazem radości, której utaić nie
mogłam, wziął moję rękę i, tuląc na piersiach, rzekł sła-
bym jeszcze i przerywanym głosem:

— Teraz widzę cię lepiej, moja opiekunko! Dotąd
śniłaś mi się tylko, — sam nie wiedziałem, jak sobie cie-
bie wyobrażać, tak się wszystko w mojej głowie rwało
i mieszało. Teraz — teraz postrzegam to dobrze, żeś ty

piękna i dobra, jak anioł, któremu kazano do życia mnie przywołać. O! szkoda! to było niepotrzebne.

„Prosiłam go, aby nie mówił, że mu to zaszkodzi. Drżąca i zmieszana, szukałam sama dla niego słów uspokojenia i pociechy, i znaleźć nie mogłam. Jakaś dziwna obawa i radość zajęły moje serce. Przeczucie szczęścia i pewność, że minie, jak błyskawica, oświeciły nagle moje duszę. Obaczył, widać, co się we mnie działo, i tkliwie na mnie popatrzył. Potém zapytał, gdzie jest i jak się nazywam. Gdym mu powiedziała, rzekł:

— Teresa! Teresa! to słodko brzmi, to piękne i święte imię. Trzeba wielkiej zasługi, żeby je godnie nosić — i wielkiej cierpliwości w tém życiu, gdzie tylko katusze czekają za wiarę i poświęcenie. Ty ją masz, Tereso! dałaś jęj dowód ze mną — i kto wie, ile ci jęj jeszcze potrzeba będzie. — Teresa! Teresa! — powtarzał potém ciszej słabnącym głosem, przymrużył powieki, i łza wystąpiła z pod długich jego, czarnych rzęsów, i cicho popłynęła po twarzy.

„W kilka dni potém Adam powstał, zaczął się mieć lepiej i stopniami do sił i do zdrowia przychodził. Nędzne to było zdrowie. Nosił on w swém łonie chorobę powolną, ale nienbłaganą i trawiącą. Zmiarkowałam to z ciągłej bladoci jego twarzy i z tych nienaturalnych rumieńców, które czasem na lica jego występowały. A przecież nadzieje jego były dalekie. Jak każdy, przychodzący do zdrowia po długiej chorobie, tak i on rad był życiu, pełnem piersiami używał powietrza, cieszył się do słońca, z dziecinną jakąś rozkoszą bawił się świeżą wodą Styru, która tak blisko od wrót naszych płynie. A gdy mógł się już przechadzać, gdy się zagłębił w ten las ogromny, któ-

ry miasteczko nasze jakby olbrzymim wieńcem ściska, gdy odetchnął wonią niezliczonych roślin, osłonięnych opiekun-
czym cieniem tych borów, zdawało mu się, że dni jego przeciągną się bez końca, i że tu odzyska młode siły i młode nadzieje. Nie śmiałam go wyprowadzać z błędu, bo to byłoby okrucieństwem; a wreszcie, przywiązując się coraz mocniej, w miarę tego, jak poznawałam jego głowę i serce, czując, że moja skłonność rośnie co dnia, co godziny, że moje życie spleta się z jego życiem, aby razem się rozwijało, i razem zwiędło, potrzebowałam i sama tego złudzenia, i odsuwałam od siebie i od niego obraz tej chwili, która tymczasem szła ciągle, szła, depcąc nasze nadzieje i złudzenia, i nareszcie... Ale daruj pan, że zawsze do jednego powracam, bo w głowie mojej innej myśli już niema; a czy przeszłość wspominam, czy przyszłość sobie wyobrażę, zawsze tam w jakimś kącie goreją światła i katafalk czernieje.

„Łatwo pan sobie wyobrazisz, w jak trudném wówczas znajdowałam się położeniu. Codzień wstawałam z tą myślą, że oto dziś mój gość zbierze się, i pójdzie dalej w świat szeroki i pociągający go wielkimi celami. Bo nie mogłam sobie wyobrazić, aby tu był kres jego podróży, aby w zakącie naszym znalazł wszystko, czego głowa i serce jego szukały. A tymczasem czułam, że gdy pójdzie, całą duszę moję z sobą zabierze, że nie znajdę w sobie ani sił, ani postanowienia, aby przenieść to rozłączenie. Boleść, jaką mi ta ciągła obawa sprawiała, podwajał smutek narzeczonego, z którym nie wiedziałam, jak postąpić, jak mu odkryć stan mego serca, jak najlżej zranić tę pierś, w której było dla mnie tyle przywiązania. — Co to za jeden? — pytała mię znowu matka. — Czego on tu

siedzi, kiedy już zdrów, i nas objada? — Te pytania, codzień powtarzane, dobijały mnie, i nieraz rozpacz już była blizką mojej duszy.

„W tém położeniu smutny przypadek podał mi rękę. Ojciec mojego narzeczonego ciężko zachorował i prawie nagle umarł. Matka jego, która mnie nie bardzo lubiła, i przyzwalając na nasz związek, ulegała tylko woli męża, postanowiła zerwać te układy. Przybiegł do mnie desperowany biedny chłopiec, i radził się, co ma począć. Uspokajałam go, jak mogłam, i zaklinałam, aby był woli matki posłusznym.

— O, Tereso! — rzekł mi ze łzami w oczach — tyś z tego kontenta! tyś pragnęła, aby mnie takie nieszczęście spotkało. Ty mnie już nie chcesz, Tereso!

„Korzystałam z téj chwili. Ile szczerą przyjaźń i szacunek mogły mi natchnąć słów pociechy i perswazyi, użyłam wszystkich. Ale nie tałam przed nim, że ani on mnie, ani ja jemu, nie dali-byśmy sobie szczęścia. O rodzącej się skłonności mojej dla nieznajomego przechodnia powiedziałam mu także otwarcie, ze szczerością, na jaką zasługiwało jego serce proste, ale pełne wysokich instynktów. Prosiłam go wreszcie, aby mnie nie narażał na nienawiść swojej matki, idąc przeciw jej woli, ani na gniew mojej, któraby mi nie darowała, gdyby się dowiedzieć mogła, że to ja nie chcę, że ja odradzam i opieram się.

„Słuchał mnie w milczeniu, a gdym mówić przestała, rzekł ponuro:

— Bądź zdrowa, Tereso! bądź szczęśliwa — bo mnie już niema co o tém myśleć.

„To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł parę kroków, ale wkrótce obejrzawszy się, i widząc, że ja stoję na

miejscu, przyszedł do mnie, podał mi rękę, i ściskawszy po bratersku, jakby na znak, że mi przebacza, że żalu do mnie nie ma, poszedł zwolna i z nachyloną głową. Tego poruszenia dobroci nigdy mu zapomnieć nie mogę, i ile razy proszę Boga o jego pomyślność, staje mi na myśli ta ulga, jaką przyniósł sercu memu delikatnością, wyższą nad stan i wychowanie. Odtąd nie mówiłam z nim nigdy. Unikał mnie. Czasem tylko smutno, z daleka, mi się przypatrywał. Ale wiem to dowodnie, że mnie zawsze bronił przeciwko złym językom, którym trzyletni pobyt Adama w naszym domku dał tak pożywny pokarm.

„Przez kilka dni znosiłam gorzkie wymówki matki, gdy się dowiedziała, że się związek nasz rozerwał. Cała wina spadała na mnie, na moję hardość, na tę mniemaną uczoność, której mi biedna kobieta nigdy darować nie mogła. Ledwie zdołałam ją uspokoić perswazyą, pokorą i prośbą; ledwie zdołałam wmówić, że sobie wystarczymy same, że póki żyć będę, póty jój na niczém nie zbędzie. Ile mnie to kosztowało, aby przed Adamem utaić jój nieukontentowanie, aby go nie doszły czasem grube i proste wyrażenia, których nie szczędziła, mówiąc o nim ze mną i wiecznie zapytując: Co to za jeden? czego tu siedzi? — Zwolna jednak uspokoiło się wszystko, i ja zaczęłam oddychać, uwolniwszy się od zobowiązania, co tak ciężko leżało na mojem sercu.

„Jednego razu, wieczorem, przechadzałam się z Adamem nad brzegami Styru i upajałam się łagodnym tchnieniem powietrza, szumem jednostajnym rzeki i głosem jego, słodszy już dla mnie, niż to oboje.

— Dziwne moje przeznaczenie — rzekł wówczas, zatrzymawszy się i patrząc na uciekające fale. — Urodzi-

łem się nad Styrem i umrę tu, także nad Styrem, jeżeli mnie nie wypędzisz, Tereso! Ale serce twoje nie zdobędzie się na tyle okrucieństwa. Nieznajomemu podałaś rękę, gdy go niemoc obaliła przy drzwiach twoich, otoczyłaś go tkliwą opieką i staraniami, które go przywołały do życia. Nie powiesz-że teraz zdrowemu: zostań, oddaj mi to życie, bo ono do mnie należy. Gdybym się nie była zmiłowała nad tobą, był-byś zginął na ulicy, jak odrzutek od ludzi, jak włóczęga, na którego zwłoki nikt-by garstki ziemi nie rzucił.

„Płakałam... on wyciągnął do mnie ręce, a ja, tuląc głowę na jego piersiach, mówiłam: — Zostań... twoje życie do mnie należy, a moje do ciebie. — I od téj chwili przysięgłam sobie w duszy, że nas tylko śmierć rozłączy. I tak téż się stało. Spełniło się moje przeznaczenie, doszłam do kresu ostatecznej niedoli. Obojętnie teraz myślę o tém, co będzie, co być może. Cokolwiek mnie spotka, prześlizgnie się, odbije od mojego łona, ale nie dotknie już serca.

„Cały fundusz Adama składał się z dwóch tysięcy złotych. Oddał mi je do rozporządzenia, mówiąc, że nie potrzebuje, oprócz dachu, mojej obecności, spokoju i szumu tych lasów, co nas otaczają. I prawda. Żaden zakonnik, żaden pustelnik nie był skromniejszym w życiu, jak on, i mniej nie potrzebował. Zdarzało się, że kilka dni nie miał w ustach gotowanej strawy, tylko szklankę mleka rano, a potem chleb i cokolwiek owoców, jakie były w téj porze. Wzięłam do siebie jego pieniądze, z postanowieniem nie używać ich, aż w ostatniej konieczności, i to więcej dla niego, niż dla siebie. Matce objawiłam, że najął u nas mieszkanie, i za stół zapłacił. Niechętnie to

przyjęła, zapowiadając mi, że się zgubię i hańbą swoją do grobu ją wpędzę. Płacząc i ściskając jej nogi, perswadowałam, że to człowiek chory, poważny i skromny; że gdyby mogła go widzieć, inaczej-by sądziła; że takimi myślami napróżno zatruwa spokojność sobie i mnie, krzywdząc jedyne swe dziecko, jedyną swą podporę w starości i kalectwie.

— Rób jak chcesz — rzekła wówczas, podnosząc się i zwracając ku mnie zagasłe oczy, jak gdyby mnie wzrokiem przeniknąć chciała. — Rób jak chcesz, mówię, ale pamiętaj, będziesz przekłętą, jeżeli kłamiesz i ślepą matkę oszukujesz.

„Łatwo pan sobie wyobrazisz, co się wówczas ze mną działo. Nie myślałam wprawdzie o grzechu. Uczucia moje były tak czyste, jak niebo, które je natchnęło, jak myśli człowieka, który je we mnie obudził. Ale kochałam go, kochałam całą mocą duszy, i zatajenie przed nią téj, chociaż niewinnej miłości, uważałam za to kłamstwo, za to oszukiwanie, o którym mówiła. Długo nie mogłam się uspokoić. Słowa te brzmiały ciągle w moich uszach, i stanęły-by były na straży mego serca, gdyby się było kiedykolwiek nadto uniosło, gdyby się zapomnieć chciało.

„Z początku matka była dla niego zimną i obojętną. Ale oswoiwszy się wreszcie z tą myślą, że już tak być musi — nie doznając najmniejszej zmiany w swoim bycie, w swoim pożywieniu, zwyciężona moją o siebie troskliwością i jego łagodnym głosem, jego obejściem, pełnem skromności, przyzwyczaiła się wreszcie do jego u nas pobytu i polubiła nawet jego rozmowę, a szczególnie jego opowiadania, w których zręcznie umiał się zniżać do jej pojęcia.

„Tym sposobem odzyskałam spokojność, i od tego czasu zaczęło się pasmo dni szczęśliwych, które tylko kiedy niekiedy pogorszający się stan jego zdrowia zakłócał. Niestety! zerwało się to pasmo prędko, ale czyż w życiu ludzkim można długo snuć nici złote? jeżeli chwilowo tylko błyskają one w tej osnowie posępnej i zwilżonej łzami, to i za to należą dzięki niebu.

„Gdy nadeszła jesień, a potem zima, Adam oddał się pracy. Cały ranek pisał, albo czytał. A po obiedzie, często tak prostym, tak biednym, że-by nawet dziecka nie nasycił, był ciągle ze mną. Poznał on wkrótce moję nienasyconą żądzę wiadomości i nauki, której nawet miłość przytępić nie mogła, i odkrywał przede mną stopniami wszystkie te skarby, które sam zdobył pracą i wytrwałością. Tak dał mi poznać ziemię, na której mieszkamy, tak w rozmowach kilkogodzinnych przeprowadzał mnie przez dzieje ludzkości. A gdym je dobrze poznała, gdym zapamiętała wszystko, co główniejsze, i obaczyła palec Boży i kierunek Opatrzności we wszystkich walkach, które ród ludzki musiał już stoczyć dla zrobienia każdego kroku na przód, dla stopniowego wychowania się, dla zbliżenia się do Bożego Królestwa, które ma przyjść na ziemię; wtenczas zaczął przede mną rozwijać historią ludzkiej myśli, i uczył poznawać i oceniać te wszystkie formy, w które się ona wlewa i życiem je swoim wypełnia. Niezmordowanym był w powtarzaniu i objaśnianiu mi tego, czegom pojąć nie mogła. Za to też żaden uczeń nie słuchał tak wszystkimi siłami duszy swojego nauczyciela. Nie znając żadnego języka, tylko swój, nie mogłam czytać sama, chociaż Adam miał kilkanaście książek, wybór tego wszystkiego, co geniusz ludzki najwyższego utworzył. Z wię-

kszą za to korzyścią słuchałam ich treści i znaczenia z ust kochanych i wymownych, i tłumaczenia najcelniejszych wyjątków, które dla mnie robił. On postanowił wszystko przelać we mnie, co sam wiedział; nauczył mnie budowy świata, porządku i przyczyn jego zjawisk, na które wprzód ślepym okiem patrzyłam, nie umiając z nich wydobyć nieogarnionej mądrości Stwórcy. Gdy przyszło lato, odbierałam najczęściej te nauki nad brzegiem Styru, lub pod cieniem jakiej olbrzymiej sosny, tuż przy zagrodzie naszej rosnącej. Siedząc wówczas przy nogach jego i patrząc w jego twarz bladą i wynędzniałą, ale upiękioną rozumem, a niekiedy natchnieniem wzniosłą, podnosiłam się sama do jego wysokości, i szczęście niewypowiedziane opromieniało moją duszę. Mówił mi to nieraz, że nigdy nie czuł się i sam tak szczęśliwym, jak w owych chwilach, kiedy widział, że myśl moja niejako wzbierała i podnosiła się do tych czystych sfer, gdzie duch łączy się z duchem, gdzie słowo natchnione i żywe jest jedyną rzeczą, która przypomina ziemię i ciasne jej granice.

„Takie były nasze stosunki, mój dobry panie, taki związek łączył nasze istoty. Ciemni i ograniczeni ludzie, co mnie otaczają, nie mogli tego pojąć, gardzili mną, jak dziewczyną zgubioną; a ja nie mogłam i nie chciałam ich wyprowadzać z błędu, i tą dumą niewinności utwierdzałam w hańbiącej mnie myśli. Przed panem, zesłanym mi z nieba, opiekunem i dobroczyńcą, powiedziała - bym wszystko i nie tuiła - bym mojej hańby, jak nie zataiłam mojej nędzy i opuszczenia. Owszem, teraz jeszcze zeznaję, że miłość moją dla niego była tak wielką, poświęcenie tak nieograniczone, że gdyby był żądał ode mnie życia honoru, nie wahała - bym się ani chwili. Ale to był czło-

wiek nieziemski. Ciało jego, wynędznione pracą i chorobą, wytrawione tym bólem, może przesadzonym, jaki daje człowiekowi drażliwemu obojętność, niesprawiedliwość i szyderstwo ludzi, było tylko mieszkaniem doczesnym jego duszy, samo bez potrzeb i popędów. I mnie także Bóg nie stworzył do złego. Od dzieciństwa prawie samotna, mając za jedyne go towarzysza nieszczęście rodziców i swoje, więcej żyjąca myślą, niż ciałem, nie poczułam nigdy tego gwałtu krwi, który-by mi zwalczać przyszło. Nie mamy więc żadnej zasługi oboje, że życie nasze wspólne, pod jednym dachem, przy jednej tylko ślepej matce, było niepokalanem, że pielęgnując mojego drogiego suchotnika, całując czasem jego blade i zimnym potem oblane czoło, tuląc nieraz swą głowę na jego kościstej piersi, czułam więcej bólu, niż rozkoszy, więcej obawy, aby ta delikatna powłoka jego duszy nie skrzepła w moich rękach, niż żądzy i miłości. W każdej takiej chwili nie o ziemi myślałam, ale o niebie, modląc się i prosząc Boga, aby mi go tak prędko nie odbierał. Ja kochałam go całą mocą i z uniesieniem wtenczas tylko, kiedy mówił, kiedy mnie nauczał; żyłam z nim wspólnym życiem naszych dusz wtenczas, gdy słowem wymownym i potężnym prowadził mnie przez świat Boży i tajemnice jego odkrywał.

„W początkach naszego wspólnego życia, gdyśmy się przekonali oboje, że Bóg nas stworzył dla siebie, mieliśmy zamiar stanąć przed ołtarzem i uświęcić związek naszych dusz i myśli błogosławieństwem religii. Ale stan zdrowia zawsze go wstrzymywał. Nie taił on przed sobą, że pobyt jego na ziemi nie może być długim; a jeżeli kiedy niekiedy nadzieja wyzdrowienia ożywiała go, i zwracała

do uciech życia, wkrótce niespodziana niemoc, opadnienie zupełne sił, zimne poty, które go oblewały, krew, którą ustami wyrzucał, znowu dawały mu dawniejsze przekonanie. I wtenczas z trwogą odstępował od myśli oddania mi swęj ręki i połączenia się ze mną wszystkimi związkami, jakie dwie istoty na ziemi łączyć mogą. — Patrz, Tereso! — mówił mi wówczas z bólem — jam nędzny suchotnik, ja-bym ci mógł odebrać zdrowie i życie; a kto wie, może-bym dał byt istocie niedołężnej, która-by ci zamieniła w męczarnią rozkosz macierzyństwa. O! zostańmy tak, jak jesteśmy, połączeni duszą, powiązani myślami, które przeżyją to nędzne ciało i tam znowu szukać się będą, i znajdą się pewnie wesołe i szczęśliwe, bo bez grzesznej pamiętki.“

„I tak zostaliśmy połączeni duszą, dalecy od siebie ciałem. Jego nędzna, ale czysta powłoka wkrótce w proch się zamieni; mnie, jak długo tu być naznaczono, nie wiem. Ale gdy przyjdzie kres, gdy jaka miłosierna ręka i mnie złoży w ziemi, myśl moja pójdzie za jego myślą i szukać się tam będą, i znajdą się pewnie, wesołe i szczęśliwe, bo bez grzesznej pamiętki.

„Wiele, i może nadto wiele napisałam panu o sobie. Ale jakże mi nie miało iść o szacunek człowieka, który mi tak wielkie wyświadczył dobrodziejstwo? Przed nikim jeszcze podobném zeznaniem nie myślałam, nie chciałam się usprawiedliwiać, bo i któż tu uwierzył-by memu słowu, kto-by mnie pojął? Pan, co-bys mi pewnie przebaczył, gdybym nawet była winną; co, znając słabość natury ludzkiej, wiesz, jak trudne są walki z sercem, ze skłonnością, potężną i jedyną; co-bys nie przypisał nawet mego upadku zepsuciu i zdrożnym nałogom; — pan mi uwie-

rzysz, że mogę śmiało podnieść oczy ku niebu, i czekać ztamtąd chwili pożądanego dla mnie rozkazu. W tém przekonaniu oczekuję przyjścia pana — i jeżeli teraz złożysz na mojem czole ojcowskie pocałowanie, upadnę do nóg twoich, i, jak za nowe dobrodziejstwo, za tę wiarę we mnie dziękować ci będę. Co się ze mną dalej stanie, co mam począć, nie wiem. Gdybym nie miała matki, zamknęłabym się w murach jakiego klasztoru, gdzie jest szpital, i poświęciłabym się usłudze chorych. Ta myśl oddawna mnie nie odstępuje, oddawna bowiem widziałam to dobrze, że szczęście moje nie może trwać długo. Tam znalazłabym uspokojenie, i niosąc ulgę cierpieniu i niedoli bliźnich, w wykonaniu tak świętej powinności czerpałabym cierpliwość i rezygnacyą. Ale teraz muszę zostać tu i oczekiwać nędzy i niedostatku. Zimno mnie przejmuje, gdy pomyślę o tym braku sposobów, o tém zupełném obnażeniu ze środków zarobienia na chleb powszedni. O siebie mi nie idzie. Przywykłam do wielkiej biedy, do długiego głodu, do odpędzania śmierci tylko chlebem i wodą. Ale moja matka! — Przybądź pan nie z pomocą pieniężną — nie, na Boga, to-by mnie dobiło; ale z radą, ale z opieką. Pracy, pracy, mój dobry panie! Tego żądam, o to błagam.“

Gdym skończył czytanie, otarłem łzę, która się mimowolnie do ocz moich nacisnęła i zacząłem przechadzać się po swojej celi, myśląc, jakim-by sposobem zabezpieczyć byt téj interesującej i szlachetnej istoty. Weksle, które dla niej przygotowałem, były dostateczne do utrzymania jęj przez lat kilka. Ale tu szło o to, żeby nie ranić téj zacnej duszy prostym datkiem, a wymyślić jęj zajęcie, dać sposób zarobienia na chleb powszedni. W takim

miasteczku, jak Leśniów, była to rzecz bardzo trudna. Wszakże znalazłem i na to radę i środek. Bo nie trzeba być Archimedesem i siedzieć w kąpielu, aby takiego rodzaju wynalazek przyszedł do głowy takiemu jak ja oryginałowi, który postanowił sobie używać pieniędzy — nie dla siebie, który ma to dziwaczne przekonanie, że gdziekolwiek stąpi, wszędzie znajdzie nędzę, która wyciąga rękę, ranę, która woła o zagojenie, serce bolące, które cicho i nieśmiało prosi o radę i pociechę.

Dla dogodzenia więc sobie i Teresie, postanowiłem wyporządzić jej domek, ozdobić go, pokryć nowym dachem, poprawić ogrodzenie i ogródek powiększyć. Żeby zaś funduszu, z którego roczny dochód miał służyć na jej utrzymanie, nie uważała za darowiznę, postanowiłem wspólnie z księdzem gwardyanem wybrać sześć sierot z okolicy, i położyć jej za warunek, aby je wychowywała, uczyła i ukształciła na kobiety, mające tyle światła i cnoty, iżby sobie mogły znaleźć przyzwoite utrzymanie lub postanowienie, gdy do lat przyjdą. Ksiądz gwardyan miał się tym moim zakładem opiekować; wydatki na to wszystko miały należeć do mnie, a kierunek edukacji, cała praca i staranie około sierot, do Teresy.

Z takim planem, który miałem jej cokolwiek później przedłożyć, poszedłem. Czekala mnie widać z wielką niecierpliwością. Gdym drzwi otworzył, obejrzała się nagle z drugiego końca pokoju, i złożwszy ręce na piersiach, tak stała, nie ruszając się z miejsca. Ta postawa pokory, przy takim wzniesieniu ducha, przy takiej czystości myśli i tylu poświęceniach dla drugich, napełniła mnie czcią i głębokim przejętą wzruszeniem. Wyciągnąłem do niej ręce, w twarzy mojej odmalowało się widać wszystko,

com uczuł, gdyż Teresa, z wyrazem podziwienia i radości, które przebiły się przez łzy i bladość, przybiegła do mnie i w moje padła objęcie. Złożyłem ojcowskie pocałowanie na jej pięknem czole, jako znak wiary w świętość i prawdziwość jej zeznania — nie dopuściłem aby mi do nóg upadła, ale tuląc płaczącą na swych piersiach, upewniałem ją o szacunku i czci, jakimi mnie natchnęła.

Gdy się cokolwiek uspokoiła, usiedliśmy obok siebie i mówiliśmy długo i z wylaniem.

Rzecz naturalna, że najpierwszym przedmiotem rozmowy naszój był żywot i cierpienia tego, któregośmy pochowali. Ale Teresa tyle tylko wiedziała, że się urodził na Wołyniu, nad Styrem; że równie, jak i ona, był synem wieśniaka; że wypadek i dobre serce jednego księdza pomogły mu do ukończenia szkół w Międzyrzeczu, a potem w Wilnie; że zawsze był wątły ciałem, chorowity, delikatny; że ten stan fizyczny, przy wielkiej drażliwości charakteru i usilnej pracy, zapowiadał mu prędki koniec; że nareszcie bolesne upokorzenia, których doznał jako autor, przyprawiły go o chorobę, z której wyleczonym być nie mógł. Co go przygnało do tego zakąta, gdzie ostatnie lata życia jego przeszły pod opieką kochającej i rzadkiej kobiety, tego nigdy powiedzieć nie chciał. Gdy się zapas, który z sobą przywiózł, skończył, zabrał z sobą swoje rękopisma, udał się z niemi do Lwowa, w chęci widać zbycia ich jakiemu księgarzowi. Co go tam spotkało, także utaił, ale po powrocie wszystkie swoje prace, oprócz ostatniej niewykończonej i niekompletniej, spalił. Dopełniwszy tego aktu rozpaczy, którego boleść pojmie każdy, komu podobne myśli przychodziły do głowy, przejęty może załem za płodami, które w myśli swój wypieścił

i wykochał, może wstydem, że nie miał cierpliwości znieść tyle ciosów, zadanych ręką braci, dla których pracował, osłabł zupełnie, zapadł ciężko, i na rękę jedynéj istoty, która z biednym wygnańcem podzieliła się sierocém sercem i sierocym chlebem, życia dokonał.

Nieszczęśliwy ten człowiek nie lubił mówić o sobie. Wstyd mu widać było tych cierpień, których pokonać nie umiał. Ile razy Teresa, z całą delikatnością kochającéj kobiety, o szczegóły życia zapytywała go, uciekał nawet od niéj, chował się w lesie, i zdarzało się nieraz, że go parę dni nie widziała. Widać, że stan zdrowia, rozdrażnione chorobą, pracą i przeciwnościami nerwy, rozwinęły w nim tę mizantropią i zaostrzyły jeszcze bardziej pociski, bolesne i do gruntu serca dojmujące, które świat rzuca śmiejąc się w piersi poety, które ludzie sobą zajęci, zimni i obojętni, nazywają cierpieniem urojoném i kładą na karb obrażonéj miłości własnéj. Szczęśliwi, że tak mówić mogą! Tymczasem nie niéma rzeczywistszego, jak ten ból głęboki i wielki, przez który przechodzą męczennicy sławy, ofiary literatury i sztuki. Zapewne mało jest takich, coby mu się poddali zupełnie, jak ten biedak, o którym mówimy; ale któż go nie doznał, któż nie miał tych chwil gorzkich, tych bezsennych nocy, w których kłął swój zawód, uciekał w myśli daleko od ludzi i szukał lasu i pustyni, gdzieby się przed nimi mógł schronić i wolniej odetchnąć? Jeżeli gdzie, to u nas choroba ta najmniej zadziwiać powinna. Chwilowe powodzenie, oklask przemijający, były udziałem niejednego z naszych poetów, z naszych artystów. Ale proszę mi choć jednego z nich wymienić, coby doznał stałego szacunku, szczerego współczucia od wszystkich, a od wybranych od siebie przyjaźni

gruntownej i wylanej? Jak dzieci w igraszkach swoich przerzucają piłkę i z rąk do rąk podają, tak my podbijamy przez chwilę imię, które nam kto rzuci do zabawki. Niechże lada kto poda nam inne i powie, że tém się lepiej zabawimy, chwytamy z zapalem nową igraszkę, a tamta odrzucona, zapomniana, leży w piasku i kurzawie. Nie można tego przypisać małej wartości tych, których tak prędko niepamięci oddajemy, lub nawet wspominamy z ironią i wzgardą. Inne jest źródło tego faktu; wymienić go nie chcę i za ten ustęp i odejście od ciągu rzeczy przepraszam.

Przebaczenie to tém prędzej uzyskać spodziewam się, że oto już koniec długiej historii, w której chciałem zdać sprawę czytelnikom moim, jakim sposobem przyszedłem do rękopismu, który z zachowaniem pierwszego tytułu, jako najbardziej odpowiadającego treści, publicznie ogłaszam. Wyrobiłem dany materyał, wygładziłem i polatałem jak mogłem. Ani do pochwał, ani do aprobacyi, ani do zasługi nie mam żadnej pretensyi. Gdyby to był sam autor wypracował, byłoby zapewne nierównie lepsze i bardziej interesujące. Teresa bowiem mnie upewniała, że Adam nie żałował pracy, że sobie nie pobłażał, że każde swe dzieło starannie obrabiał, a gdy powiedział, że już skończone, to już rzeczywiście było skończonem, całkiem, jakby z jednej sztuki wylanem i we wszystkich częściach starannie wyrobionem. Mogeż jej nie wierzyć, ja, który rzeczywiście nie wiem, co w niej szlachetniejsze, co lepsze: czy głowa, czy serce? Niech więc czytelnicy przyjmą ten podarunek wędrownego dziwaka, jakim jest, a krytyków proszę, aby nie szarpali cieniów umarłego, ale zwrócili swoje pociski na mnie, który zapewne rzecz całą

nieudoln^{ym} złożeniem zepsułem. Zawczasu ich uprzedzam, że wszystko, co o t^{ym} napiszą, czytać będę. A chociaż utrudniłem im ich pracę, gdyż nie znając mnie, nie wiedząc kto jestem, nie będą mogli dowcipem swoim dosięgnąć mojej osoby, ale radzi nie radzi będą musieli sądzić rzecz samę; zdaje mi się jednak, że i ta dostarczy im dosyć materyi do przyjemnego i w duchu miłości chrześcijańskiej zabawienia ich czytelników.

Lat dziesięć upłynęło od bytności mojej w Leśniowie i od poznania tej kobiety tak rzadkiej rozumem, tak wysokiej poświęceniem i miłością. Obraz jej dotąd jeszcze żywo stoi przed myślą moją. Sądzę, że i nie jeden z czytelników moich wyobraża ją sobie taką, jak była, i może radby zapytać, co też się z nią stało? O! jeżeli jest taka pocziwa dusza, tak tkliwa istota, którą powieść moja do tego stopnia zajęła, tej tylko odpowiedzieć mogę, że lipa na cmentarzu w Leśniowie bujniej się jeszcze rozrosła i pod cień swój przygarnęła drugą mogiłę. Na niej leży kamień biały i czysty, a na tym kamieniu stoi napis:

Teresa.

Pieniądze bez pracy.

Powieść z pozostałego rękopismu Adama.

I.

Noc była ciemna. Chmury zalegały niebo i jakby naciskały ku ziemi atmosferę ciepłą i duszną. Żaden wszakże huk w górnych sferach, ani odgłos dalekiego grzmotu nie zapowiadał zbliżającej się burzy. Owszem cisza jakaś posępna i usypiająca otaczała okolicę pustą, niezamieszkałą i ograniczoną z jednej strony stromym i poszarpanym brzegiem jakiegoś parowu, a z drugiej gęstym lasem, daleko rozłożonym, ale którego granic i formy w tej ciemności oko rozróżnić nie mogło. Kilka tylko sosen wysokich wyskoczyło na przód lasu. Gałęzie ich szumiały ponuro, jakby wyzywając szum głuchy, który z gęstwiny dochodził. Ze wzgórzów parowu sterczały ku dołowi czy brzozy, czy inne drzewa, i piętrzyły się dzikie zarośla. Z nich kiedy niekiedy odzywał się z ję-

kiem głos puszczyka, któremu z pod lasu odpowiadał świst sów i trzask suchych gałęzi.

Miejsce to puste, na które zaprowadziłem czytelnika, także nie było równem. Sterczały na niem głazy, to leżące płasko na ziemi, to pochyło podnoszące się nad nią, jedne połamane, jakby rozdarte i wyszczerbione, inne zupełnie nieforemne. Oprócz tych kamieni, wystających nad powierzchnią, wznosiły się kupy ziemi jakby mogiły, to nagie, to zarosłe chwastem i trawą. A wszędzie rósł piołun, paprocie zalegały puste miejsca między kamieniami, z pośrodku których wznosił się pochylony jakiś słup wysoki, jakby ułamek krzyża, którego poprzeczne ramiona, opadłe od czasu i niepogody, wisiały widać na jednym tylko gwoździu.

Wśród téj powszechnej ciemności, tak rzadkiej w czasie nocy letnich, i pochłaniającej wszelkie formy i granice przedmiotów, jedną tylko rzecz można było lepiej odróżnić. Była to chatka, z prawej strony pod stromym urwiskiem stojąca. Nie miała ona żadnego ogrodzenia, nizka, ze złamanym dachem, dogniwała widać do końca i czekała zupełnego upadku.

A jednak w okienku téj chatki było światło, które na kilka kroków oświecając ciemności, widniejszą ją czyniło, niż to wszystko, co ją otaczało. Światelko to migotało nierówno; raz mocniej, raz znowu, jak gdyby już zagasnąć miało. Wszakże nigdy nie błysło tym czerwonym blaskiem, jaki się rozchodzi od płonącego łuczywa lub gorącego dobrym ogniem komina, ale blade, niepewne, zdawało się wypływać z dogorywającego kaganka, który przed samem zagaśnieniem rzuca niekiedy żywszy połysk.

Wśród téj posępnej i powszechnej ciszy dał się nagle

słyszec głośniejszy i bardziej przenikajacy jęk puszczyka w zaroślach ; las mocniej zahuczał, zdawało się, że ogromne drzewa padają z trzaskiem, ustępując z drogi jakiemuś dziwnemu przechodniowi. Wiatr zawył silniej, potężniej ; sosny pogięły się i zaskrzypiały ; krzyż stary zatrząsł się, jakby miał upaść — i wówczas od strony lasu wysunęła się postać olbrzymia, mająca cokolwiek podobieństwa do postaci ludzkiej, ale większa w wymiarach, a w formach niewyraźna i niewykończona. Postać ta zatrzymała się chwilkę na środku płaszczyzny, nagięła się cokolwiek ku lewej stronie, jakby chciała przejrzeć wąskie przejście między lasem i parowem, a potem, wyprostowawszy się, poszła prosto ku chatce, nie zważając na mogiły i sterczące kamienie, które jej żadnej nie kładły zawady. Za zbliżeniem się jej do chatki otworzyły się drzwi, w których znikła, potem drzwi się zamknęły, i znowu miejsce to zaległa cisza głęboka. Wiatr ustał, las przestał szumić, światelko tylko w chatce trochę żywiej i prędzej migalo i puszczyk jęczał ciszej, ale boleśniej.

Po niejakiem czasie, ścieżką pomiędzy parowem i lasem pokazał się podróżny. Szedł on zwolna, oglądał się naokoło, i pomagając sobie laską, starał się unikać mogił, kamieni i chwastów, które na drodze jego leżały. Gdy spostrzegł światelko w chatce, zdjął czapeczkę, jakby się uradował, potrząsł nią ku tak pożądaney gwiazdce, co mu ukazywała port, gdzie się spodziewał spocząć, i żywiej ruszywszy, ostatnich widać sił dobywał, aby się do niej dostać.

Ale gdy już był o kilka kroków, światło nagle zagaśło i gruba zewsząd otoczyła go ciemność. Jęknął biedak smutno, nie tracąc jednak nadziei, przybliżył się, macając

do drzwi, i pukać zaczął. Żaden mu głos nie odpowiedział i drzwi się nie otwały. Przyszedłszy więc do okienka, zaczął w nie pukać i wołać, aby mu otworzono. Ale i teraz milczenie tylko mu odpowiadało. Przestрах widać jakiś ogarnął go, gdy spostrzegł, że usiłowania jego próżne, gdy, oglądając się trwożliwie na pustą chatę, cofnął się szybko ku środkowi płaszczyzny i usiadł pod mogiłą wyższą nad inne.

Tak siedział w milczeniu przez kwadrans, pozierając jeszcze kiedy niekiedy, czy nie zabłyśnie znowu światło w okienku, ale ciemność coraz gęstsza otaczała go stopniami. Wówczas fatyga musiała przemódz strach i przykre wrażenie, jakie na nim to dzikie miejsce sprawiło, gdyż zdjął znowu czapeczkę, położył ją na mogile, jakby poduszkę, podgarnął pod siebie paproć, która bujnie tam rosła, i wsparłszy na dłoni głowę, wyciągnął się i zasnął.

W kwadrans potem otworzyły się drzwi od chaty, i wyszły z niej dwie osoby. Jedną z nich była już stara kobieta, w grubój dziurawój koszuli, nie związanej u góry i ukazującej szyję jej pomarszczoną i piersi wyschłe i zczerniałe. Weretka jakaś ciemna w paski obwijała ją i służyła zamiast spodnicy. Rozchodziła się ona z przodu, a nogi cienkie i zeschłe widać było prawie do kolan. Na głowie miała ciemno-czerwoną płachtę, z pod której wisały włosy siwe i rozczochrane. Drapiąc się często lewą ręką, podnosiła jeszcze to nakrycie głowy, co odkrywało niskie jej i zmarszczone w tysiąc komórek czoło. Nos duży i śpiczasty spuszczał się na spodnią wargę, która wystawała znacznie nad wierzchnią, i opadając czasem, okazywała kilka zębów w dolnej szczęce, chwiejących się i pożółkłych. Z pod brwi siwych i zwieszonych błyszcza-

ły czarne oczki, obwiedzione czerwoną obwódką, małe, ściśnięte i podobne do iskier, połyskujących czasem w popiele. Straszdyło to trzymało w prawej ręce kaganek i świeciło sobie po nierównym gruncie, wśród mogił i chwastów, idąc za towarzyszem, który szedł naprzód śmiało, prosto, jakby nie dotykał ziemi i nie doznawał żadnej zawady od tego, co ją zalegało. Był to mężczyzna wysoki, z pochyloną cokolwiek naprzód głową i wypukłymi plecami. Ręce miał szczególnie długie i nogi cienkie i wysokie. Surdut jego migdałowy był rozpięty, a od czarnej kamizelki i czarnej chustki odbijała twarz chuda, wazka i pargaminowego koloru. Włosy ciemne jeżyły się pod mانشestrową czapką, a oczy czarne rzuciły jakiś blask w ciemnościach, jakby rozżarzone węgle. Nos jego orli sterczał nad wargami, które w końcach zagięte mocno do góry, dawały całej fizygnomii jakiś wyraz ironiczny, szyderski i niemilosierny.

Obie te postacie zbliżyły się do tego miejsca, gdzie nasz podróżny smaczno zasypiał. Poruszył się śpiący za zbliżeniem się mężczyzny, jakby uderzony dotknięciem galwaniczném, jęknął głęboko, ale się nie przebudził. Uśmiechnął się szydyczko ten, co taki skutek sprawił, i rzekł do swojej towarzyszki:

— Poświęć i przypatrz się, żebyś go poznała, jeżeli jutro pójdzie i do nory twojej nie zajrzy.

— Jaktó nie zajrzy? — odpowiedziała baba ze śmiechem, i nachyliła się, unosząc nad licem śpiącego kaganek, który płonął spokojnie i nie gasł od wiejącego z leka powietrza. Przypatrzywszy się i twarzy, i wzrostowi podróżnego, dodała, drapiąc się w głowę i zsuwając je-

szcze bardziej na bakier brudne jej nakrycie: — Ej! ej! szkoda go dla was!

— To go obroń, jeżeli się odważysz — odpowiedział mężczyzna, i w głosie jego był jakiś przenikliwy wyraz groźby i okrucieństwa. Zadrżała stara na te słowa, mrugnęła parę razy małemi oczkami, których nie śmiała podjąć na swojego widać władcę, i odpowiedziała z pokorą:

— Dzień się wola wasza; a mnie co do tego?

Przy pomocy kaganka przypatrzmy się i my podróżnemu, i obaczmy, dla czego coś naksztalt litości odezwało się w sercu zwiędłém i zatraconém téj czarownicy.

Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego, coś bardziej skończonego, jak była twarz i wszystkie formy młodzieńca, który spał teraz spokojnie, pod okiem tych dwóch potwornych istot. Owszem, zbliżenie ich dodawało mu wdzięku i podnosiło jego powaby. Przy téj obrzydliwej starości, zohydzonej jeszcze przez nędzę i podejrzanę powołanie, przy téj znowu twarzy wyschłej, na której uśmiech szyderski jakby zastygł, — lice młode, foremne, rumiane owego młodzieńca zdawało się twarzą anioła, między dwoma szatańskimi obliczami.

Był on w sile wzrostu, i dochodził zapewne do dwudziestego pierwszego lub drugiego roku. Czoła jego, szerokiego i białego, nie pomarszczyły widać żadne troski. Nos foremny, usta kształtnie wycięte i koralowe, policzki cokolwiek opalone, ale pełne czerstwości i zdrowia, okazywały, że zwyczajnym wyrazem téj twarzy był wyraz serdecznej uprzejmości, dobrego humoru i spokoju serca, które rwało się życzliwie do wszystkich ludzi, do wszelkiej cnoty, do wszystkiego, co wielkie i wzniosłe. Ciemne rzęsy leżały na jego twarzy i łatwo wyobrazić sobie, jak cudnie

musiały ocieniać jego oczy, zapewne błękitne. Jasne blond włosy, w długich puklach spadające, dopełniały i powabów jego, i podobieństwa do śpiącego Endymiona. Ta tylko była różnica, że nie Dyana mu się przypatrywała, nie księżyc, brylantowem światłem z czoła jej świecący, rzucał promień swój na piękne lice kochanka, ale obrzydliwa baba nachylała ku niemu pomarszczoną twarz swoją i oświecała go brudnym, łojowym kagankiem.

Odzienie młodzieńca niebogate, ale jeszcze czyste, okazywało, że należał do klasy bardziej wykształconej. Nie miał on wcale miny wędrującego rzemieślnika. Surdut ciemny pochodził widać od dobrego krawca, koszula dość cienka i biała wyglądała z pod materyalnej kamizelki; buciki, chociaż zakurzone, były obcisłe i zgrabnym krojem wydawały piękne formy niewielkiej nogi. Na rękach nie miał rękawiczek, ale za to ręka sama była piękna i biała. Słowem, młodzieniec ów bardziej wyglądał na panicza, niż na prostego stanu chłopaka.

— Przypatrzyłaś się? — rzekł ów mężczyzna.

— Widziałam, widziałam dobrze — odpowiedziała baba.

— Ruszaj teraz spać.

— Idę, idę — rzekła ze drżeniem i wyrazem nieograniczonego posłuszeństwa, i poszła nazad ku chacie, w której okienku zabłysnęło światło na chwilę i wkrótce znikło.

Stał jeszcze przez niejaki czas nad śpiącym ów nieznamy, potem, nachyliwszy się, dotknął jego piersi i głowy. Za każdym tém dotknięciem wstrząsł się i jęknął młodzieniec, ale się i tym razem nie obudził. Czy ośmielony tak twardym snem podróżnego, czy w innym

zamiarze, nachylił się znowu nieznajomy i palce jego zanurzyły się stopniami we wszystkie kieszenie śpiącego. Nie tam widać nie znalazł, i zdaje się, że nie miał chęci go obedrzeć. Owszem, brał coś z lewej swojej ręki i prawą wścibiał w każdą kieszeń jego kamizelki, surduta i spodni. Nareszcie, dotknąwszy jeszcze raz jego piersi, uśmiechnął się szyderczo i odszedł parę kroków.

Wtenczas, jakby dym jaki z ziemi wychodzący otoczył go szarym i widnym słupem. Wiatr silny znowu powstał — sosny chwiać się zaczęły, stary krzyż giał się, skrzypiał — i nagle taka sama postać olbrzymia i niewyraźna, jak na początku téj sceny, pośunęła się ku lasowi, z którego długo jeszcze dochodził szum głuchy i trzask łamiących się konarów i drzew padających. Po niejakiem czasie huk ten ustał, i znowu pustą tę okolicę zaległa ciichość głęboka.

Wszystko to działo się na pół drogi między Lwowem a Haliczem, roku 1823, w nocy z dnia 23 na 24 Czerwca.

II.

Słońce już było dosyć wysoko, gdy się nasz podróżny przebudził. Usiadł on na twardej i obfitej rosą zwilżonej pościeli z chwastów i paproci i przecierać zaczął piękne, błękitne oczy, przypatrując się miejscu, na którym się znajdował. Uderzyły go najprzód formy stromych brzegów parowu, które miał przed sobą. Tu widział równą i prawie pionowo podnoszącą się ścianę żółtej gliny, dalej rów wchodzący w głąb' wzgórza i zarosły najrozmaitszemi krzewami, tu znowu rozpadlinę wąską i wyżłobioną widać przez wodę, która w czasie ulewy tę drogę sobie

wyrobiła. Na całym zaś grzbiecie owój wyniosłości stały bukiety młodych drzew, zwieszały się ku dołowi, wygięte, w białej sukmance i z zielonemi warkoczami, kwitły kaliny, białym puchem okrywały się tarnie, i róże dzikie czerwieniły się, nadstawiając z daremną kokieterią piękne swe łona. Promienie słońca wschodzącego z po-za lasu, właśnie padały ku tej stronie i podwajały żywość barw każdej rośliny, każdego kwiatka, odświeżonego chłodem nocy, posilonego nektarem rosy ożywczej i wonnej.

Gdy spojrział po-za siebie, spostrzegł w półkole prawie zagięty ogromny las, z lewej strony, z której przyszedł, przytykający prawie do parowu, z prawej odchodzący cokolwiek szerzej, i okazujący widok daleki, w którego końcu rysowały się na błękitie nieba dwie wieże jakiegos kościoła. Las ten był mieszany, i wśród dębów, wśród grup brzeziny razem rosnącej, wystrzeliwały prosto ku niebu wielkie sosny, a gdzie niedzie zieleniły się żywiej szerokie liście ogromnych klonów. Nie głęboko przenikał wzrok w ten labirynt, gdyż coraz gęściej zalegały go zarośla drobnych drzewek i krzaków, formujących zupełną gęstwinę. Ale to, co było z brzegu, uderzało różnaitością form i kolorów, ciągnęło ku sobie chłodem, świeżą wonią i lekkim szumem, który zdawał się być poranną modlitwą tego pięknego ustronia.

Jakoż młodzieniec tak był uderzony jego powabami i różnaitością kształtów i kolorów, tak pełnemi piersiami połykał świeże powietrze, które wiało od lasu, że na ostatku dopiero obejrzał się na miejsce, na którym siedział, i na którym noc tę, pamiętną w jego życiu, przespał. Uderzył go najprzód kontrast dziwny, którego z razu wytłómaczyć sobie nie mógł. Wszystko, co otaczało nie-

wielką tę płaszczyznę, było świeże, zielone, kwieciste i odpowiadało téj porze, w której wiosna, przychodząc ku końcowi i wstępując w lato, tak podobna jest do osiemnastoletniej dziewicy, czerstwej i we wszystkich formach okazującej pełność życia i rozwinięcia. Na téj zaś małej przestrzeni, na której się znajdował, wszystko przypominało jesień. Zeschłe trawy, pożółkłe chwasty zalegały powierzchnią nierówną i zdziczałą. Na téj mogile, pod którą spał, znalazł pobielałe już przez czas kości; gdy się lepiej przypatrzył, spostrzegł pomiędzy burzanem: tu kamień rozłupany, tam pochyłony i zbutwiały krzyż drewniany, owdzie jakiś głaz nieforemny, jakby ułomek dawnego i zniszczonego pomnika. Dziwne jakieś uczucie przejęło go, gdy się przekonał, że to był opuszczony cmentarz, że go tu przypadek zagnał; że tu, wśród mogił i zbutwiałych szczątków wygasłej już ludności, tę noc przespał. Chociaż młody, silny i oświecony, nie mógł jednak oprzeć się mimowolnemu wrażeniu strachu, zwłaszcza gdy sobie przypominał wszystkie okoliczności, które go do tego miejsca przygnały, przykre sny, jakie go dręczyły, gdy się położył znużony, i mimo bolesnego uczucia, jakiego w początku snu swego doznawał, przebudzić się i oczu otworzyć nie mógł.

— To rzecz niepojęta! — myślał sobie — zkąd ja się tu wziąłem? po co i dla czego tu jestem? — i pocierał ręką szerokie czoło, i oparłszy się o mogiłę, siedział przez niejaki czas w zamyśleniu.

Ale młodość nie długo się namyśla, i nie tak łatwo traci serce i nadzieję. Powstał więc nasz podróżny, obejrzał się raz jeszcze wokoło i, ruszywszy ramionami,

jak gdyby sobie wyrzucał myśli i dzikie obawy, z uśmiechem rzekł sam do siebie :

— Ha! cóż robić? trzeba ruszać dalej. Straciłem wszystko, co miałem na drogę, do domu jednak nie musi być daleko. Tam widać jakieś wieże, zapewne miasteczko; może kto da śniadanie i powie, którędy droga.

Tak postanowiwszy, nachylił się po czapeczkę, która leżała na ziemi, nałożył ją na głowę i, otrzepawszy się z kurzawy i ziemi, którą leżąc poplamiał swoje suknie, głodny, ale swobodny, ruszył z dziwnego noclegu.

Uszedłszy kilkanaście kroków, spostrzegł ową chatkę, do której wczoraj napróżno pukał. Przed jęj progiem siedziała na niskim stołku stara kobieta i przędała.

Była to wczorajsza nasza znajomość, ale w czystej i całej koszuli, w porządnęj chustce na głowie uczesanej, słowem, jakby świątecznie przystrojona. Obaczywszy zbliżającego się młodzieńca, uśmiechnęła się; wkrótce jednak przybrała poważną i zatrudnioną minę.

— Dobry dzień ci, dobra kobieto — rzekł, przystępując, młody człowiek.

Podniosła głowę stara, jak gdyby go pierwszy raz widziała, i kiwając nią z lekka i niby z podziwieniem, rzekła :

— Aj! aj! piękny paniczu, zkad-że się tu wzięłeś?

— Ba! żebyś ty mi powiedziała, zkad ja się tu wziąłem, tobym ci był bardzo wdzięczny. Jakiś djabeł widać mnie tu przyniósł i dał mi nocleg na cmentarzu.

— Fe! paniczu! — rzekła stara, oglądając się trwożliwie — nie trzeba tak mówić. Djabeł nie śpi.

— Zapewne, że nie spał wczoraj, kiedy tam o pół mili przestraszył konięta chłopskie, które mnie wiozły, że po-

niosły wózek między zarośla i rowy, tak, że ledwie żywy zeskoczył i przynajmniej kości mam całe, choć wszystko, co miałem w tłómaczku, gdzieś przepadło bez wieści. Przyjdzie pożegnać się z moimi książkami i papierami.

— I nic więcej nie było w twoim tłómaczku, panie panie? — zapytała stara z niejaką ciekawością.

— Trochę bielizny, parę kamizelek i kilkanaście złotych, które miałem na drogę. Ale mniejsza o to — dodał młodzieniec z wyrazem dobroci. — Żal mi najbardziej pocziwego chłopaka, który mnie wiozł, i boję się, żeby go jakie nieszczęście nie spotkało.

— Hm! — rzekła stara, kiwając głową. — Tu zawsze coś się zdarza. Ale chłopakowi może nie będzie; jak konie zatrzyma, i rzeczy się znajdą.

— Gdzież ja jestem teraz? jak się to nazywa? i co to tam widać?

— Widać Strzeliska, panie panie! — odpowiedziała baba — a to miejsce, gdzie miałeś niebardzo dobry nocleg, nazywa się „Pustka Djabelska“.

— Nie darmo się tak nazywa — rzekł młodzieniec.

— A cóż? tak sobie, miejsce jak i inne, jak zwyczajnie między lasem.

— A to widać był cmentarz.

— E, kiedyś bardzo dawno. Już i pamięci niema, kiedy tu ludzi chowali. — To mówiąc, podniosła małe oczki na młodzieńca i mrugnęła parę razy; ale on nie widział tego jej poruszenia, gdyż w téjże chwili, wstrząsnawszy się, obejrzał się mimowolnie ku temu to miejscu, gdzie noc przebył.

— Tam spałem między mogiłami — dodał po chwili.

— No, nie nie szkodzi, po fatydze i przestachu wyspałem się dobrze na gołej ziemi, obok jakichciś nieboszczyków.

Zaśmiała się stara, i spojrzawszy nań z ukosa, znowu prząść zaczęła.

— Aleś ty niedobra, kobieto! — mówił dalej młodzieniec. — Stukałem do twojej chaty, nie chciałaś mi otworzyć.

— Nie byłem w domu, paniczu, nie byłem, dopiero nad ranem przyszłam i nikogo nie było, bo ja tu sama mieszkam.

— Przecież widziałem światło w izbie, które raptem zagasło, gdym się zbliżał.

— E, to ja zostawiłam kaganek, wychodząc wczora wieczorem, i zapomniałam go zagasić. Palił się widać, póki knot nie spłonął. Dokąd-że teraz panicz pójdziesz? — zapytała, patrząc nań jednem okiem.

— A cóż, pójde do tego miasteczka; tam musi być jakiś urząd; poproszę, żeby kazali odszukać moje rzeczy i chłopca z końmi. A zamtąd ruszę dalej do domu, na piechotę.

— A daleko?

— Do Halicza.

— Aj! aj! — rzekła, kiwając głową — to daleko na piechotę; panicz delikatny, nie przywykł.

— Nie bardzo delikatny — odpowiedział młodzieniec. — Tém mniej poczuję fatygi, że idę do domu, do matki.

— Może i do kogoś jeszcze — dodała, śmiejąc się, baba, i patrząc nań przenikliwie.

Odwrócił się młody człowiek, tak mu się dziwném wydało spojrzenie stariej kobiety i tak zesześcił jęj twarz

brzydką i pomiętą ten śmiech, w którym zdawało się mu dostrzedz coś szyderskiego i piekielnego.

— Lepiej-by jechać, paniezu! — mówiła dalej, nie zważając na to jego poruszenie — bo kiedy kogo czekają, to mu bardzo pilno; nie prawdaż? — i znowu zaśmiała się głośno.

— Moja kochana — odpowiedział, zmarszczywszy się cokolwiek, — ja to i sam wiem, ale cóż? kiedy niema pieniędzy na szkapę, to trzeba wziąć nogi za pas i ruszać i tak. Ot, gdybym miał co przy sobie, tobym cię poprosił, żebyś mi dała choć szklanek mleka i kawałek chleba. Ale się obejdzie, bo w kieszeni pustki.

To mówiąc, uderzył się rękami po kieszeniach kamielki, i nagle zastanowił się, poczuwszy w nich coś takiego, czego się znaleźć nie spodziewał. Sięgnął potem ręką do jednej i do drugiej, i z obu wyjął po sztuce monety złotój, nowój, czystój, jak gdyby nigdy w rękach ludzkich nie była. Zdziwiony zaczął się przypatrywać tak niespodziewanemu zjawisku; a baba przestawszy prąść, podparła twarz na prawej ręce, przechyliła głowę i przyglądała mu się bystro i z szyderskim uśmiechem.

— Cóż to u diabła? — zawołał młodzieniec — zkąd w mojej kieszeni dukaty?

— A jeszcze takie nowe — rzekła baba.

— Ale ani nowych, ani starych nie miałem; nie pojmuję, co to się znaczy? — rzekł, i sięgnął, jakby jakąś ciekawością zjęty, do kieszeni bocznej swego surducika. Zamtąd wydobył także dukata. Szybko więc i z trwogą zaczął szukać i rewidować wszystkie kieszenie, jakie miał; w każdej był dukat równie świetny, równie błyszczący, jak pierwsze.

Tu już podziwienie jego nie miało granic i przestрах odmalował się na jego twarzy. Ścisnąwszy w rękę tę mamonę, za którą ludzie sprzedają sumienie, honor, rodziców i dzieci, rzucił ją na ziemię i zawołał:

— Precz! to nie moje, to nie zarobione, to jakiś podarunek djabelski, którego nie chcę!

— Co tobie, paniczu! — rzekła dziwnym głosem babka, powstając z miejsca. — Oto! proszę! tak rzucać tyle pieniędzy.

— Weź je sobie, babo! — zawołał, odstępując parę kroków, — to nie moje, ja ich nie chcę.

— A jużci wezmę — odpowiedziała — kiedy niemi panicz pogardzasz; choć mnie nie potrzebne. A byłoby za co koniki nająć i prędej dojechać do matki i jaki podarunek przywieźć komuś, coby pięknie podziękował.

To powiedziawszy, zaczęła zbierać pieniądze, i ułożywszy na dłoni porytej zmarszczkami, biła paznogciem drugiej ręki po kruszczu zwodniczym i wabiącym, a śmiejąc się do niego z szatańskim umizgiem, który ją zrobił ohydną, rzekła:

— Aj! aj! jakież-bo to piękne! jak to prosto do serca dzwoni! nie darmo ludzie tak za tém przepadają. Dawniej i ja chciałam znaleźć gdzie skarb, albo odszukać gdzie się palą pieniądze, i nigdy mi się nie udało, choć niejedną noc w wigilią Św. Jana przeleżałam w paproci. — Potem, jakby sobie co przypomniiała, rzekła, skrobiąc się w głowę i zsuwając na bok chustkę: — A, wszak-to dziś Św. Jan i panicz tam spał w zielsku między mogiłami. Oj! szczęśliwy paniczu! musiał ci jaki kwiatek paproci zapaść do kieszonki. Teraz będziesz miał złota ile zechcesz, i znajdziesz nie dziś, to jutro, palące się pieniądze.

— Idź precz, babo! — zawołał młodzieniec — i nie durz mnie głupimi przesadami.

— He! he! przesady przesadami, a złoto złotem, mój śliczny paniczu! — odpowiedziała, patrząc nań przymrużoném okiem i szczerząc ze śmiechem pozostałe zęby. — Gdybyś tém nie gardził, za kwadrans nie byłbyś głodny i jechałbyś do domu, a tak pójdziesz piechotą i będziesz slinkę połykał. Pieniądze, to dobra rzecz, niejeden duszę zaprzedał, żeby je mieć, a one same do ciebie lęzą, a ty ich nie chcesz: dziecko z ciebie, mój paniczu! jak podrośniesz, będziesz miał więcej rozumu.

Spojrzał jeszcze raz młody człowiek na mówiącą, i wyraz jęj twarzy szyderski i złośliwy przeniknął go do gruntu serca. Oczki jęj małe błyszczały jak dwie iskry, wystająca na przód broda trzęsła się jakimś szatańskim śmiechem, i wyciągniona ręka podawała mu dukaty, nad którymi zdawało mu się widzieć jakiś unoszący się płomyk. Nie mógł długo wytrzymać tego widoku, zawołał:

— Precz, szatanie! nie kuś mnie — i odwróciwszy się, poszedł szybko ku téj stronie, gdzie wieże kościoła rysowały się na czystém i lazurówém niebie.

Patrzyła za nim długo stara, potem rzuciwszy pieniądze między chwasty, jakby garść plewy, rzekła:

— Szkoda go dla nich; mówiłam, że szkoda, ale niech-no podejdzie w lata, będzie taki, jak i drudzy. O! dobry sposób wymyślił! dziś na ludzi inszego nie trzeba.

To powiedziawszy, jeszcze raz rzuciła okiem za odchodzącym, podrapała się w głowę i, wszedłszy do chaty, drzwi za sobą zatrzasnęła.

I milczenie zaległo to puste miejsce. Im wyżej podnosiło się słońce, tém żywszemi farbami jaśniało wzgórze,

tém powabniejszym cieniem i chłodem las pod swój dach przyzywał, tém żółtsze, bardziej zeschłe, bardziej dzikie wydały się chwasty i mogiły cmentarza.

III.

Dla lepszego poznania się z interesującym młodzieńcem, którego dziwna przygoda jednych zajmie, innym wyda się nedorzeczną, ale którego pogarda dla złota, co nie wiedzieć jakim sposobem napełniło jego kieszenie, powinnaby obudzić szacunek i współczucie, musimy cofnąć się o kilka dni nazad i powrócić do Lwowa, zkąd drogę swoją rozpoczął.

Na Halickiem przedmieściu, w niewielkiej i ubogiej izdebce, siedział przy stoliku młodzieniec i kończył list długi, który widać całą jego uwagę zajmował. Stolik ten prosty, wielkim arkuszem bibuły pokryty i mający na sobie mnóstwo plam atramentu; kilka książek zrzuconych na łóżku, które już nie miało pościeli; papiery i se-kstern obok nich leżące: tłómaczek niewielki, otwarty i czekający widać ostatniego zapakowania, obok niego stojące buciki i szczotki, jedna w drugą wbite; w nogach łóżka płaszczyk dość wytarty, wiszący na gwoździu i ochroniony od bielącej zapewne ściany kilkoma arkuszami zszytego papieru; przy nim błękitna manszestrowa czapeczka z kwastem, także z podkładką arkusza papieru, dalej parę stołków prostych, a na jednym z nich duża misa, niby miednica, i dzbanek z wodą: wszystko to okazywało, że to była stancya studenta, i studenta, który się wybierał w drogę.

Jakoż młody człowiek, skończywszy list, powstał

i wziął się do upakowania swego tłómczka. Już tam leżała bielizna i cokolwiek rzeczy. Na nich zaczął układać porządnie książki, a na wierzchu umieścił papiery i seksterną, sznurkami w spore paczki pozwiązane. Z boku, gdzie było jeszcze miejsce, włożył buty, dalej zasunął szczotki, i cały ten bagaż, dosyć lekki i chudy, zapiał na sprzączki, które się jeszcze trzymały; inne powiązał sznurkami, i wszystko na łóżku położył. Potem, umywszy ręce, stanął przed rozbitym zwierciadełkiem, które na ścianie wisiało między dwoma rysunkami, reprezentującymi jeden cesarza Franciszka, a drugi Kościuszkę, uczesał piękne włosy blond, odgarnawszy je na bok z jasnego i szerokiego czoła, zawiązał prędko chusteczkę błękitną na szyję, i zapiąwszy kamizelkę ciemną, którą miał na sobie, nadział na to surducik ciemny, czysty i dobrze przystający do jego kształtów, pełnych urody i siły.

Widzieliśmy go już w tém samém ubraniu i wiemy, że twarz jego jest dziwnie piękna, wzrost wysoki, budowa ciała doskonale złożona i w każdym ruchu zgrabność i łatwość, bez najmniejszej pretensyi i przymusu. W tej chwili twarz ta zajaśniała widoczną radością i szczęściem; a chociaż oczy duże, błękitne, ocienione ciemnymi rzęsami, były cokolwiek wilgotne od rozrzewnienia, któremu widać oprzec się nie mógł, gdy list swój pisał, na ustach jego jednak był uśmiech, wyrażający piękne nadzieje i zupełne zaspokojenie.

I jakże mogło być inaczej? Młodzieniec ten, skończywszy kurs filozofii we Lwowie, stał teraz na otwartym progu świata i widział przed sobą daleką perspektywę życia. Z pełną głową, z pełnemi piersiami, choć z małym tłómczkiem i pustą kieszenią, opuszczał obce

miasto, gdzie niewiele kogo żałował, a wracał do domu, do niewielkiego i miłego miasteczka, gdzie go dobrzy ludzie kochali i admirowali, gdzie miał matkę droższą mu nad życie, i wuja, tamtejszego proboszcza, który łożył na jego wychowanie, i którego on czcił, jak świętego. Wkrótce więc miał zobaczyć się za granicami murów miejskich, na wielkiej drodze prowadzącej do Halicza, wśród cudnej natury, która swobodnemu, nie czującemu już na sobie kajdan studenckich, tém powabniejszą wydać się miała; wkrótce spodziewał się ujrzyć na dolinie szeroką wstęgę Dniestru, za nią wznoszącą się pięknie górę, a na téj górze rozłożone domy rodzinnego miasteczka, znajome po bokach folwareczki i załomki gór, znane pojedynczo grusze i olbrzymie dęby, które na pochyłości ich zostały, jakby nie mogły doléźć na wierzch i połączyć się z usadowionemi na szczycie gruppami. Jakże nie miał być rad, szczęśliwy i spokojny, kiedy już widział przed sobą czysty choć ubogi domek matki, piękne i wzorowe probostwo wuja, kiedy już czuł, jak łza téj, co mu dała życie, toczy się po jego twarzy, jak ręka tego, co mu dał duszę i rozum, błogosławiąc leży na jego głowie.

W takim stanie był Gabryel Czarosz, kiedy list ów pisał, kiedy potem rzeczy swoje pakował i stał przed lusterkiem, ubierając się i ciesząc się, że piękny i dorośny, nie przez próżność, ale że to uraduje serce matki, która go dwa lata nie widziała i teraz tak znaczną znajdzie odmianę.

Ubrawszy się, przeszedł się parę razy po pokoiku, zacierając ręce, potem przystąpił do stolika, skrzesał ognia, zapalił siarniczek i świecę, i przyrządziwszy aku-

ratnie dwie koperty, usiadł przed zapieczętowaniem do odczytania listów, które tylko co napisał. Było ich dwa, i pierwszy brzmiał jak następuje :

„Najdroższa, serdeczna matko ! Dwa lata przeszło mi bez twoich pieszczot i uścisków, dwa lata nie widziałem cię, przez całe dwa lata nie ty przynosiłaś mi codziennie śniadanie i nie twoja ręka budziła osiemnastoletniego śpiocha i leniwego drymblasa. O, moja serdeczna matko ! jakże długo trwały te dwa lata ! a jakżem szczęśliwy, że już minęły, że wczoraj właśnie skończyły się moje egzamina, a dziś, już wolny jak ptaszek, polecę pod strzechę, gdzie się wylągl i z pod której nie mnie już nie wypłósz. Szkoda tylko, że nie mam tyle pieniędzy, żebym mógł, choć nie na skrzydłach, to przynajmniej pocztą do ciebie dolecieć. Ledwie kilkanaście złotych mi zostało od wszystkich nieodzownych wydatków, jakie tu miałem, a te nie wystarczą nawet na zapłacenie dyliżansu, a dopieroż extrapoczty. Nająłem więc sobie parę koników i wózek na przedmieściu u jednego mieszczanina, i temi powlekę się i wlec się będę długo, nim obaczę z daleka nasz dąb podkasały i na jego wierzchu stojącego na jednej nodze bociana. Cóż robić ! nie jak serce chce, ale jak możność pozwala. Dałem już tu dziesięć złotych zadatku furmanowi, a resztę zapłacisz ty, matko, albo drogi wuj, do którego piszę i któremu o przyjeździe moim także donoszę. Ten list odbierzesz zapewne na trzy lub cztery dni przed mojem przybyciem. Bo chociaż i on dziś wychodzi, i ja dziś wyjeżdżam, ale ja będę miał tyle noclegów i popasów, a on pójdzie dzień i noc, aż się ujrzy na biurku u pana Hildenfelda, a potem w twoich rękach, a może i na twojem sercu, moja serdeczna matko ! O ! jak-

że mu zazdroszczę! jakbym chciał spłaszyc się tak, jak on, i być tak lekkim, hyle być tak szybkim i szczęśliwym. Ale gdzie mnie o tém myśleć, kiedym ja jeszcze wyrósł przez te dwa lata i zmężniał i utył. Pyski moje czerwone i oczy błyszczą zdrowiem, pokojem, a w téj chwili błyszczą łzą, która się rwie do ciebie, serdeczna matko, i na rękę twoją upaść-by chciała. Nie myśl-że sobie nic złego o mnie, i staraj się, po odebraniu tego listu, skrócić sobie oczekiwanie, jak będziesz mogła. Byłeś nie wyobrażała sobie, żem albo chory, albo żem jakiego doznał przypadku. Żaden przypadek spotkać mnie nie może. Droga doskonała, lato suche i ciepłe, koniki moje spokojne, a wózek taki niziutki, że choćbym się nawet wyrócił, tobym sobie tyle zaszкодził, jak gdybym spadł z téj darniowej kanapki, którą dla wuja pod moim kłosem przyrządziłem. Co najgorszego spotkać mnie może, to to, że mi zapewne ostatniego dnia podróży nie stanie pieniędzy na obiad. Ale czyż to wielka bieda dla mnie, któregoś ty rodzika, a brat twój wychował, któregoście oboje nauczyli mierności i przekonali, że szczęście jest w pełnem sercu, a nie w pełnym żołądku; a serce moje będzie miało coraz to nowy pokarm, bo będzie coraz bliżej twój. Bądź więc cierpliwa, serdeczna matko, i wyglądaj mnie na ganeczku twego domu, na tém samym miejscu, gdzieś mnie karmiła, gdzieś mię potem uczyła pacierza, gdzieś z tobą dwa lata temu całą noc przesiedział i przysięgał ci, że serce i ciało moje będą czyste i nieskażone. Dotrzymałem ci przysięgi, i taki, jakiegoś mnie pragnęła, wracam na twoje łono.“

Drugi list był następującej treści:

„Najdroższy wuju! Powodując się życzeniem two-

jém, skończyłem kursa filozoficzne w Akademii tutejszój i wracam teraz na łono wasze, abym zdał przed tobą sprawę z mojej pracy i z moich myśli. Czy mi się to na co przyda, czy mi co w dalszém życiu pomoże, tego nie wiem. Zależć to będzie od natchnienia bożego i dalszego kierunku, jaki mnie opieka i wola twoja naznaczy. Od dzieciństwa przywykłem uważać każde słowo twoje za święte i wierzyć, że co ty chcesz dla mnie, tego chce Bóg i moje szczęście w tém życiu. Jakże będę szczęśliwym, gdy już poczuję rękę twoją na mojej głowie i błogosławieństwo twe w sercu. Mam nadzieję, że będziesz ze mnie kontent, bo chociaż przez te dwa lata wiele złego widziałem, mogę cię upewnić, że nic nie przylgnęło do mego serca, i żaden brudny obraz nie zamąca mojej głowy. Jako środek do zachowania czystości myśli, kazałeś mi zachować ciało moje czystém i nieskażoném. Dopełniłem święcie twego rozkazu i przysięg danych matce, i unikałem troskliwie wszelkiej pokusy, każdego miejsca, każdego zdarzenia, które-by mnie mogło narazić na walkę trudną i niebezpieczną. Dzięki wam za wasze nauki, za te prawa, któremiście każdy krok mój opisali. Jestem zdrów jak ryba, silny jak Samson, lekki i swobodny jak ptak, któremu, zwłaszcza teraz, skrzydeł tylko zazdroszczę. Matka powie ci, drogi wuju, dla czego te listy do was piszę, choć sam wyjeżdżam, i dla czego je pierwój odbierzecie, nim ja będę u nóg waszych i w waszém objęciu. Nim to nastąpi, pomyśl, drogi wuju, co mam dalej przedsięwziąć. Do uczoności obszernej i gruntownej nie mam powołania. Widziałem tu teologów, którzy bez poświęcenia, bez pokory, bez wzniesienia ducha, klepią skrypta swoje poświęcając i wchodzą do świętych

tajemnic wiary z takim umysłem, z jakim rzemieślnik do warsztatu, który mu dać ma kawałek chleba. Gdym pomyślał o tobie, drogi wuju, o czystości twoich myśli, o świętości wszystkich twoich uczuć, o tej wierze głębokiej i szczerzej, z jaką wypełniasz święte obowiązki kapłana, przekonałem się, że żaden z tych kandydatów duchownego stanu, których tu poznałem, nie ma i nie będzie miał namaszczenia; przekonałem się, że trzeba być takim kapłanem jak ty, lub nie być nim wcale; przekonałem się, że i ja do tej wysokości dojść nie potrafię, że także takim nie będę, i dla tego błagam cię, nie miej już tej myśli i nie wołaj mnie za sobą, bo droga twoja wysoka, wzniosła, jak twój duch, a jabym upadł na pierwszym wstępie i z drobną duszą swą za tobą pośpieszyć nie zdołał. Widziałem tu także wielu prawników, starych wyjadaczy i młodych wilczków, ostrzących już zęby na cudzą własność i szukających wykrętów prawnych nawet w studenckich figlach i swywolach. Wszystko to nie dla mnie, mój drogi wuju; jam prostak, którego oko mówi prawdę, którego usta brzydzą się fałszem i udaniem. Nie utrzymałbym maski na mojej twarzy i język mój zdrętwiałby, gdybym musiał uprawniać gwałt, usprawiedliwiać oszustą, i w obec Boga i ludzi bronić złoczyńcę. I dla czegoż-bym to wszystko robił? dla pieniędzy? dla mnie pieniądze są piaskiem błyszczącym, plewą nieużyteczną wtenczas, gdym niegłodny i odziany. Inszel w nich, właściwiej im, wartości nie widzę, inszel ceny przywiązać do nich nie mogę. A wieleż mi ich potrzeba, gdy głód mój zaspokaja się łada kawałkiem chleba, gdy suknie moje noszą się nie wiedzieć jak długo i zawsze są czyste i całe, gdy nie pojmuję, dla czego bażant ma lepiej nasy-

cić, niż kawałek mięsa wołowego, dla czego złota szpilka ma lepiej zapiać od stalowej, dla czego sen ma być smaczniejszy i lepszy pod atłasową kołdrą, niż pod wełnianą. Wszakże nie dla tego ja to mówię, mój drogi wuju, abym się wykręcał od pracy, abym nie wiedział, jak piękną, jak użyteczną jest nauka prawa, jak wiele prawd w sobie zawiera, jak szeroko rozwija myśl i oświeca jej drogę przez labirynt ludzkości. I owszem, jeżeli mi każesz odbyć kurs prawa, powrócę tu z ochotą i pracować będę, ale błagam cię znowu, mój drogi wuju, abys mi nie naznaczał powołania jurysty. To nie mój zawód, nie moja droga. Gdybym nią iść musiał, wszędzie-bym się zadrasnął, kaleczył, i zakrwawiony i zmęczony ustałbym przy początku. Daruj, mój drogi wuju, że to wszystko piszę. Prosiłem cię, abys dla mnie co obmyślił, a tymczasem i z tego się wyłamuję i drugiego nie chcę. Ale mojaż to wina, żeście mnie wypieścili, wykochali, żeście mnie wychowali w miłości prawdy, w przywiązaniu do strzechy ojczyściej, w szczerzej prostocie serca, w umiarkowaniu i pogardzie tego wszystkiego co fałsz, co zbytek, co próżność? Jeżeli teraz takim jestem, jakiegoście mieć chcieli, czyż odpędzicie mnie od siebie, abym się powalał wrzodami ludzkimi, abym ścierał z swjej duszy tę barwę dziewiczą, którąście ją okryli, z początku zapewne z bólem, ze wstydem, a potem, kto to wie, może ochotnie i bezczelnie, jak inni robią? Nie daj Boże, aby się tak stać miało. Dla tego, mój drogi wuju, wołałbym przede-wszystkiēm zostać w domu. Jakże gorliwie pomagałbym matce w gospodarstwie! jakbym był szczęśliwym, gdybym się ujrzał za pługiem, w prostej płóciennēj kapocie, i odkładając skibę bogatej ziemi naszej, nie myślał o me-

tafizyce, której dobrze nie rozumiem, o sylogizmach, których-bym nie potrzebował, ale śpiewając piosnkę do skowronka, deklamując Georgiki Wergiliusza, wesoły, zdrów i silny, rzucałbym ziarno w ziemię, obcinał drzewka w ogródku, pielęgnował bydełko i konie, i do każdej gałęzi gospodarstwa przyczepiając kwiat myśli i znaczenia, uszlachetniał, poetyzował to zajęcie rolnicze, najpoetyczniejsze ze wszystkich.

Nie są to marzenia, mój drogi wuju! Serce moje innej ambicyi nie ma, jak być z wami, innej potrzeby nie zna, jak was kochać, innego szczęścia sobie nie wyobraża, jak doświadczać waszej miłości, waszych pieśszczot, słyszeć wasz głos i czuć na sobie błogosławieństwo wasze. Pomyśl o tém, drogi mój wuju, nim ja przyjadę, nic jednak nie mów matce. Możeby ta myśl nadto głęboko utkwiała w jej kochającej duszy, a gdybyś potem co innego względem mnie postanowił, może-by z przykrością od niej odstąpić musiała. Bo tak będzie, jak każesz, bo moja głowa żyje twojemi myślami, a moje serce chce twoją wolą. Całuję rękę twą, rękę dobroczynną, rękę czystą i zawsze godną żegnać i błogosławić. Twój posłuszny i wdzięczny

Gabryel.

Młodzieniec nasz, na którego teraz czytelnicy inném zapewne okiem patrzą, otarł łzę, która zawisła na długich jego rzęsach, i oba listy zakopertował. Na jednym położył adres: Wielmożnej Apolonii Czaroszewej w Haliczu, a na drugim: Wielmożnemu JM. Księdzu Kanonikowi Pileckiemu, Proboszczowi w Haliczu. Potém, uprzątnąwszy na stoliku, zdjął czapeczkę z gwoźdźcia, oczyścił ją ręką i nałożywszy przed zwierciadłem na głowę,

uśmiechnął się jeszcze, że mu tak do twarzy, i poszedł oddać je na pocztę.

IV.

Właśnie była dziesiąta, gdy się zbliżał do Fary. Ponieważ miał jeszcze dosyć czasu do oddania swych listów, postanowił więc wstąpić do kościoła, wysłuchać odpowiadającej się w tej porze wotywy, i polecić się Bogu przed podróżą, którą tak serdecznie pragnął odbyć prędko i szczęśliwie. Już był na placu, o kilkanaście kroków ode drzwi świątyni, gdy ujrzał wychodzącą z niej młodą damę, z nadzwyczajnym gustem ubraną i bardzo piękną. Szedł za nią lokaj w bogatej liberyi i niósł szal kosztowny i parę książeczek do nabożeństwa, w aksamit bogato oprawnych i złotemi zapiętych klamerkami. Pani ta, w jasnym materyalnym szlafrocuku, z lekką chusteczką na szyi, w przezroczystym i lekkim kapelusiku, trzymała w ręce okrytą elegancką rękawiczką parasolik, którym się podpierała. Cudne kształty, wybitnie oznaczone przez doskonały krój szlafrocza, chód lekki i zgrabny, twarz kwitnąca młodością i nadzwyczajnymi powabami, oko czarne, pełne życia i mowy, zastanowiły naszego bohatera. Chociaż, jak nam wiadomo, nie lubił się nadstawiać i cały wdzięk swojej twarzy i swojej postaci chował niejako dla matki, w której oczach jedynie pragnął się okazać pięknym i dorodnym, wszystkie wszakże zewnętrzne przymioty, któremi jaśniał, nie uszły także oka tej pani. Tak więc, jak się najczęściej zdarza w życiu, przypadek sprowadził tak blisko dwoje najpiękniejszych ludzi z całego miasta, aby sobie twarz w twarz, oko w oko zajrzeli.

Krótkie, przelotne było to wzajemne ich na siebie spojrzenie, a przecież rumieniec żywy okrył śliczną twarz pani, a młodzieniec spuścił oczy i odwrócił się. Lecz gdy w przeciwnie strony o kilka kroków odeszli, obejrżeli się znowu na siebie razem, w téjże saméj chwili, jakby jakąś iskrą elektryczną dotknięci. Wtenczas młodzieniec ujrzał w oczach nieznajoméj dziwny blask, jakiego jeszcze nigdy nie widział, i zapomniawszy się, patrzył na nią i został na miejscu. Ona, czy postrzegła wrażenie, jakie na nim sprawiła, i chciała dłużej widzieć i dłużej być widzianą; czy może téj myśli nie mając, w saméj rzeczy dobroczynnym popędem powodowaną była, nie poszła dalej, ale spostrzegłszy bliżej kościoła siedzącego ślepego starca, udała się prosto ku niemu, i mijając naszego młodzieńca, jeszcze raz orzuciła go błyszczącym okiem. Nie zdawał on sobie wówczas żadnej sprawy z tego, co doświadczał, ale mimowolnie postąpił także za nią, i bliżej tego miejsca, gdzie staruszek siedział, stanął. Wtenczas na rękę wyciągnioną starca z maleńkiej ręki pani upadł dukat, ale z wysoka rzucony, zeskokczył z twardéj dłoni jego, posunął się po grubéj odzieży, zadzwonił na bruku i potoczył się pod nóżkę maleńką i zgrabnym trzewiczkiem ściśniętą. Z uśmiechem cofnęła się, i końcem parasolika chciała pieniądz ku starcowi przysunąć. Gdy tego dokazać nie mogła, obejrzała się na lokaja, i rzekła dzwięcznym i czystym głosem: „Podnieś i oddaj mu to“. Ale nim ogromny lokaj się ruszył, już młodzieniec nasz przystąpił, podjął pieniądz i kładąc go na dłoni starca, rzekł:

— Staruszkule! ta pani daje ci jałmużnę, ale schowaj sobie to gdzie osobno, żeby cię nie oszukali, bo to dukat.

— Dobrze, schowam — odpowiedział starzec. —
Dziękuję wam, śliczne państwo! niech wam Bóg da zdrowie i długie życie razem.

Spojrzeni na siebie mimowolnie, uśmiech, w którym nie było ironii, zrobił twarz jój jeszcze piękniejszą, młodzieniec zawstydził się, a nieznajoma, skłoniwszy się nieznacznie główką, rzekła:

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję.

Gdy bohater nasz podniósł oczy, już była o kilkanaście kroków i szła lekko i szybko, jakby uciec chciała. Poszedł i on w tęż stronę, uważał, że się na niego nieznacznie ogląda; chociaż więc z otwartych drzwi kościoła dochodził go odgłos organów i dźwięk dzwonka na Sanctus, już nie słyszał odprawiającej się wotywy. W uszach jego, gdy szedł z daleka za nieznajomą, brzmiały słowa: dziękuję panu, bardzo dziękuję.

Po niejakim czasie pani weszła do okazałego magazynu, lokaj został przy drzwiach, a młodzieniec nasz, postawszy przez chwilę, gdy obaczył inną kobietę z magazynu wychodzącą i przypatrującą mu się dość bystro, odwrócił się i udał się dalej w swoją drogę. Gdy stanął przed domem pocztowym, wyjął z kieszeni oba listy, i rzuciwszy okiem na ich adresa, zaczerwienił się i zasmutił. Cała treść ich stanęła mu w myśli, obraz matki i wuja odrysował się żywo w imaginacyi i starł chwilowe wrażenie, które, gdyby było silniejsze, gdyby dłużej potrwalo, uczyniłoby może fałszywem wszystko to, co tam napisał. Wzdrygnął się na to czysty i niewinny chłopak, i potrząsłszy głową, jakby dla odpędzenia pokusy i złych myśli, wszedł do domu pocztowego, i, przecisnąwszy się nareszcie przez natłok ludzi, listy swe oddał.

O trzeciej po południu już Gabryel Czarosz był za miastem. Podróż szła z początku rażno. Koniki, chociaż małe i dosyć chude, ale jeszcze nie zmęczone, biegły żywo po drodze gładkiej i ubitej. Młodzieniec nasz był wesół i niezmiernie szczęśliwy. Przywykły do życia prawie wiejskiego, przyjaciel drzew i zieloności, rozpuszczał wzrok rozpromieniony po cudnym kraju, który go otaczał, po dojrzałych już, tu i ówdzie skoszonych sianozęciach, po bogatych polach i różnobarwném zbożu, które tu już chwiało się, jak fala, kłaniając się wysmukłemi kłosami, tam zieleniło się jak axamit, ówdzie w białawych, podługnych smugach rozkwitało i wabiło pszczoły pracowite. Nie mógł oczu nasycić tym widokiem i dosyć naciągnąć w piersi świeżego powietrza, które go tak dawno nie owiewało, i którego różnica od miejskich wyziewów z rozkoszą czuć mu się dawała. Gdy się gdzie zdarzył las, jeden z tych lasów galicyjskich, tak pięknych, tak rozmaitych, tak powabnie podnoszących się na pochyłościach, lub wieńczących zielonym czubem wzgórza, przypatrywał mu się, jakby rzeczy nowój, nurzał się myślą w jego cieniu, oddychał wonią jego kwiatów, i przyrównywając do gajów naddniestrzańskich, coraz bliższym czuł się domu, i łona matki, i uścisków wuja. Wśród tych myśli i takich wrażeń zapominał zupełnie o mieście, o wszystkich mokołach szkolnych, o wszelkich zdarzeniach dwuletniego pobytu, które albo go napełniały upokorzeniem, lub narażały na walkę z sobą samym, lub dając doświadczenie życia, za chwilkę przelotnej przyjemności odpłacały się gorzkim wspomnieniem. Nawet to ostatnie spotkanie nie przyszło mu i razu do głowy. Dopiero na noclegu, przed samém zaśnięciem, jakoś nie wiedzieć przez jaki zwrot myśli,

czarne oczy błysnęły przed nim cudnym blaskiem, powabna postać stanęła na chwilę z całym swym urokiem, coś lubego owiało mu twarz, jak gdyby te usta, co się tak wdzięcznie uśmiechnęły, były blisko, jakby ich oddech dotykał jego czoła, jakby szeptał: dziękuję panu, bardzo dziękuję. — Wstrząsł się młodzieniec, otworzył przymrużone oczy; ale ciemność go otaczała. Odpędził więc od siebie wabiącą marę, obrócił się do ściany i wkrótce zasnął.

Drugiego dnia, przed wieczorem, gdy minął Rzepchów i zwolna włókł się na górę niestromą, ale długą, posłyszał za sobą tentent galopującego konia. Kontent, że mu cokolwiek przerwie dość leniwo postępującą podróż, oparł się na łokciu, i obróciwszy głowę, przypatrywał się jeźdźcowi, który coraz się przybliżał. Był to mężczyzna w średnim wieku, wysoki, z wypukłemi plecami. Włosy ciemne jeżyły się pod axamitną czapaczką, twarz blada i chuda, nos wystający śpiczasto, usta wąskie, ale przy końcach ku górze zagięte, oczy bystre i zdaleka błyszczące, dawały fizyognomii jego niemiły i sarkastyczny wyraz. Nogi nadzwyczajnie długie uzbrojone były ostrogą, a ręce, także nie proporcjonalnie długie, trzymały, jedną lejję munsztuka, a drugą szpiczówkę delikatną i sprężystą. Czarna chustka i kamizelka podnosiła jeszcze śniadą bladość jego twarzy, a migdałowy surdut rozpięty poruszał się od wiatru i pędu konia. Postawa tego pana, a szczególnie wyraz jego twarzy nie zajął i nie podobał się młodemu podróżnemu; ale nie mógł się napatrzeć na konia, na którym jechał. Był to rumak cały kary, bez najmniejszej odmiany. Czarna i błyszcząca grzywa unosiła się nad szyją wygiętą i foremną, czarny ogon, długi i bujny, chociaż odsadzony od tylnych nóg, ledwie że nie

dostawał ziemi. Dziwnie zgrabny i lśniący axamitnym odbłyśkiem unosił się koń ten lekko, jakby nie dotykał ziemi, i zwracając głowę ku młodzieńcowi naszemu, gdy się z wózkiem jego zrównał, zdawał się przeszywać go bystremi i ognistemi oczyma i parskął nozdrzami, w których widać było czerwone plamy, jakby krwią zachodziły, lub ogień wyrzucić miały.

Jeździec, który jest nienową dla czytelników naszych postacią, minawszy cokolwiek wózek, wstrzymał swego rumaka i, obracając się ku naszemu podróżnemu, zmierzył go wzrokiem przenikliwym i rzekł:

— Pan zapewne nietutejszy?

— Jadę ze Lwowa — odpowiedział młodzieniec, nie mogąc się oprzeć jakiemuś mimowolnemu wzdrygnięciu.

— To pan do Nowych Strzelisk tędy nie przejedziesz. W Kniasiole zrzuceno wczoraj most na tej oto rzeczce, która od Bakowiec płynie. — Tu wyciągnął rękę na lewo, ukazując niedaleko błyszczącą w dolinie wstęgę wody i zaginającą się coraz dalej ku prawej stronie. — Zaraz za górą trzeba się wziąć na lewo. W tej oto wiosce jest przeprawa nieszczeólna, ale wózek pana przejdzie.

— A jakże się potem dostanę na szosę? — zapytał młodzieniec.

— Na Strzeliska stare pojedziesz pan — odpowiedział machając szpicróżgą i wstrzymując rwącego się konia; — a ztamtąd do Nowych. Z drogi niewiele, staniesz pan jeszcze wcześniej.

— Bardzo panu dziękuję — odpowiedział młodzieniec. — Żebym tylko trafił na drożynę na lewo i potem na przejazd; bo wieczór szybko nadchodzi i zaczyna być ciemno.

Jakoż chmury zaczęły się ze wszystkich stron nasuwać, słońce zachodziło i powietrze robiło się parnym i tak duszącym, że biedne koniki naszego podróżnego coraz leniwiej wspinały się na górę. Obejrzał się jeździec wokoło, jakby chciał się przekonać, czy rzeczywiście wkrótce się ściemni, i uśmiechnąwszy się szydersko, rzekł:

— Nie zbłądzisz pan. Drożyna wprowadzie niewielka, ale jedna. Zresztą — dodał pomyślawszy i z powtórzonym uśmiechem — ja w tęż stronę jadę, bo tu niedaleko mieszkam i mogę panu towarzyszyć.

— Nieskończenie panu będę obowiązany — rzekł nasz młodzieniec, mimowolnie odwracając oczy od tej niemiłej twarzy i w chęci uwolnienia się od towarzystwa, które mu się nie zdawało zupełnie bezpiecznym. — Ale pan się okropnie znudzisz. Koń pana taki dzielny i bystry, a moje szkapki ledwo leżą.

— Nic nie szkodzi, drogi panie! — odpowiedział z grzecznością jeździec. — Samotna droga gorzej nudzi. Wreszcie koń mój zmęczony, niech trochę odpocznie, przeszedłszy z pół mili stępo. A i pańskie szkapki pójdą żywiej tam z góry. Nie prawdaż, chłopcze, że pójdą? — dodał poglądając na woźnicę, który obrócony ku rozmawiającym, otworzył gębę i słuchał.

— A jużci że pójdą, proszę łaski pańskiej — odpowiedział chłopiec i, szarpnąwszy sznurkami, które reprezentowały lejce, zaczął machać krótkim batożkiem i zaciąć zmordowane konięta.

Uśmiechnął się jeździec, spał swego konia i po kilku lansadach, w których okazała się i jego zręczność i cała piękność rumaka, osadził go na miejscu, nachyliwszy się poklepał po szyi, i gdy wózek nadciągnął, puścił wolno

i obok młodzieńca naszego jechał. Ten, widząc, że się od towarzysza swego nie uwolni, przystał wreszcie na kompanią nieznajomego i rzekł:

— Dzielnego i cudnie pięknego masz pan konia.

— Stary, jak świat — odpowiedział jeździec, i końce ust jego podniosły się do zwykłego uśmiechu — a jednak nie stracił siły i ognia. Z dobrej też rasy pochodzi i w potrzebie wiele na nim dokazać można. Daleko pan jedzie?

— Jadę do domu, do Halicza — odpowiedział młodzieniec.

— Zapewne po ukończeniu kursów we Lwowie?

— Właśnie ukończyłem kursa filozoficzne — odpowiedział młodzieniec, czerwieniąc się, że podróżny poznał, iż ze studentem rozmawia.

— Nieszczególna ta filozofia austriacka — rzekł jeździec, wymachując szpicróżgą — ale człowiek z głową i z tego coś dla siebie wyciągnie. Przynajmniej tyle ma korzyści, przesłęczawszy parę lat nad skryptami swoich profesorów, że wie, iż się niewiele nauczył i niegłęboko w tajemnice natury zajrzał. Kilka formuł z logiki, kilka kategorii z metafizyki nie czynią filozofem.

— Ja też nie mam téj pretensyi — odpowiedział młodzieniec.

— Czemuż nie? — rzekł znowu podróżny. — Filozofem może być każdy; gdyż mało jest wyrazów, do którychby tak rozmaite i przeciwne sobie przywiązywano znaczenia. U nas np. filozofem jest uczony, który zgłębia naturę człowieka i tajemnice stworzenia; filozofem jest także człowiek bez nauki, jeżeli umie panować nad sobą, pokonywać żądze z próżności i pychy zrodzone, i prze-

stając na małym, nie pragnie tego wszystkiego, za czém inni ludzie upędzają się. O człowieku, który cierpliwie znosi krzywdy możnych i ich urągania, mówimy, że filozof; o dobrodusznym mężu, który przez szpary patrzy na wybryki swój żony, mówimy także, że filozof; a nawet filozofem nazywamy niedbalca, który mogąc przystojnie się ubrać, pokazuje się publicznie w dziurawych butach i we fraku z zagiętym kołnierzem i źle zapiętymi guzikami. Jak pan myślisz — dodał, patrząc przenikliwie na młodzieńca — jakim filozofem być najłatwiej.

— Zależy to od usposobienia — odpowiedział zagadniony niespodzianie młodzieniec. — Kogo Bóg obdarzył głębokim umysłem i wytrwałością w pracy, temu łatwiej oddać się badaniom filozoficznym; komu natura i edukacja dały prostotę serca i umiarkowanie we wszystkiém, temu nie trudno zarobić na tytuł takiego filozofa, jakiegoś pan w drugiej kategorii umieścił. Jak dla mnie — dodał młody człowiek ze szczerą skromnością — ten drugi będzie bardzo łatwy do nabycia. Nawet żadnej zasługi mieć nie będę, jeżeli go dostąpię, tak jestem wychowany i takie mam przekonanie, że człowiekowi do szczęścia bardzo mało potrzeba. Byle serce było zaspokojone.

— Serce! — odpowiedział z sarkastycznym grymasem jeździec — w tém-to grunt, kochany panie, i w tém trudność! Ale dajmy temu pokój! patrz pan, co to za piękny widok! —

W téj chwili znajdowali się na górze. Przed nimi leżała biała wstęga drogi bitej, równa jak strzełił i przerywna pochyłe pola i laski. Na lewo kręto w dolinie wiała się rzeczka, rozlewając się w trzech wielkich stawach tuż po sobie następujących, i leżących cicho i jasno,

jak zwierciadła. Dalej błyszczał Świerz, szerzej płynący w zielonej i cudnej dolinie, a dalej za wodą podnosiły się wzgórza w najrozmaitszych wygięciach, gdzie niegdzie okryte zbożem, gdzie indziej odziane lasami, które coraz w oddaleniu siniały i zaginając się nikły z przed oka. O pół mili na lewo białeły mury kościoła i kominy dachów miasteczka, obwiedzonego wieńcem drzew i rozrzuconych opodal dworów; a cokolwiek bliżej, na najwyższym i nagiem wzgórzu, leżały rozwaliny jakiejś obszerniej budowy, przez której połamane arki i okna świeciły ostatnie promienie zachodzącego czerwono słońca. Na cały zaś ten obszar, który z jednej i z drugiej strony drogi można było ogarnąć okiem, naciągały chmury czarne i gęste, i sunęły się ku zachodowi, jakby chciały czém prędzej zasunąć nieprzejrzystą firanką ten pas świetny i czerwony, który tam jeszcze przy samym spodzie widnokregu leżał i cały widok oświecał.

— Co to widać, proszę pana? — zapytał młodzieniec, ukazując białe mury i szare ruiny.

— To Firlejów, — odpowiedział jeździec — drobne, ale niebrzydkie miasteczko; dziedzina znakomitój i wygaskłej rodziny; a to mieszkanie niegdyś Jana Firleja, wojewody krakowskiego i rohatyńskiego starosty. Rohatyn ztąd niedaleko i starosta przemieszkiwał tu czasem w tym zapadłym dziś gmachu. Dziwne rzeczy ludzie bają o tych ruinach. Mają tam być ogromne skarby ukryte i czekające szczęśliwój ręki, która je wynajdzie.

— Szczęśliwój, mówisz pan? — przerwał młody człowiek z uśmiechem.

— Prawda, pan filozof, — odpowiedział jeździec i zaśmiał się tak przykro, tak usta jego zagięły się ironicznie,

że krew uderzyła na twarz młodzieńca, jakby się poczuł obrażonym. Nie spuszczał z niego oka ów dziwny towarzysz i niezmiśnany mówił dalej: — Pan zapewne pogardziłbyś takim trafunkiem; a przecież niejeden nazwałby się szczęśliwym, gdyby wpadł na ślad i drogę do tych lochów, gdzie pan starosta ukrywał złoto, które szczęśliwa ta rodzina pełnemi garściami garnęła od królów naszych i królowych. I miałby rację. Posiadanie nie sprzeciwia się filozofii, ale użycie.

To powiedziawszy, wlepił wzrok w młodzieńca, który go słuchał, nie wiedząc, do czego zmierzały te słowa, i czemu towarzysz jego tak mu się przypatruje i tak ironicznie się uśmiecha. Po chwili jeździec machnął szpicróżgą, koń jego parsknął, i podjawszy się na zadnich nogach, puścił się żywiej, a ów nieproszony interlokutor naszego młodziana rzekł:

— No, chłopcze, teraz z góry ruszaj żwawiej; tam na dole pojedziemy na lewo.

Zaciął koniki chłopak, które jakby oparzone ruszyły i dobrym kłusem biegły za galopującym rażno i zgrabnie karoszem. Gdy już byli na dole, jeździec obrócił się i zawołał: tędy — i zwróciwszy konia na lewo, wpadł na niewielką drożynę. Chłopak skierował i swoje koniki, a właściwie trzymał je tylko, bo one, jakby posłuszne głosowi jeźdźcy, same na drożynę zwróciły i szybko biegły. Tak jechali blisko z ćwierć mili. Nareszcie pokazała się zielona dolina i błysnęła rzeczka.

— Nie pędź tak! — krzyknął młodzieniec na chłopaka — zmęczysz konie i nie dojedziemy.

— Ich djabeł jakiś pędzi, panie — odpowiedział chłopak — ja tylko trzymam.

Jeździec tymczasem galopował przed wózkiem, koń jego parskał i odrzucał pianę od rozognionego pyska, a chmury coraz gęstsze, coraz ciemniejsze nasuwały się i zakrywały horyzont. Minęli wreszcie rzeczkę niżej wiośki w miejscu pustém, po mostku wązkim i ułożonym z dylów tańczących pod kopytami koni, jakby były na prędcie i tylko co ułożone.

— Panie! mnie coś straszno — zawołał chłopiec — nie mogę koni utrzymać.

— Mazgaj jesteś — krzyknął nań młodzieniec, przykląkł na deszczulce, która służyła za kozieł i silną ręką sznurki uchwycił. Ale wkrótce postrzegł, że jest coś nadzwyczajnego; i gdy całej siły nateżył i chciał je ściągnąć, sznurki pękły i konie puściły się galopem, tak szybkim, tak szalonym, że wózek skakał tylko i warczał, a chłopak, załamując ręce, wołał co chwila: — Aj! nieszczęście! aj nieszczęście!

— Stój pan! — krzyknął wówczas młodzieniec z całej siły. — Ale jeździec, zakręciwszy koniem swym w lewo, zrobił na nim krąg duży, i przelatując jak wichur po przed końmi naszego młodzieńca: — Naprzód, chłopcze! tędy! — zawołał, i w bok z drogi w zarośle się puścił. Koniki, jak gdyby musiały być posłuszne temu rozkazowi, puściły się za nim, i tak leciały po krzaczkach i zaroślach bez wędzidła i pamięci.

Oślupiał młodzieniec i nie wiedział co począć. Ale gdy go nagła ciemność ogarnęła, gdy lecąc tak, nie przed sobą nie widział, a słyszał tylko jęk chłopca, warczenie kół, tentent swoich rozhukanych szkapiać, i parskanie coraz głośniejsze galopującego przed sobą rumaka, dziwnym strachem przejęty, ostatnich sił dobył i z wózka

wyskoczył. Upadł na ziemię ogłuszony i tak, prawie nieprzytomny, przez długi czas leżał. Gdy się podniósł i opaniętał, w koło niego było cicho, noc już widać była głęboka, ciemność zupełna, powietrze parne i duszące. Podniósł się, przecierając oczy i przypominając co się stało. Próżno starał się wytlómaczyć sobie niepojęte zdarzenie, które go spotkało. Nie wiedząc, gdzie się znajduje, i nie chcąc się puszczać na los szczęścia, chciał już tam położyć się w zaroślach i do dnia doczekać. Ale wkrótce zdało mu się, jakby słyszał wołanie. Wyłamawszy więc spory kij z krzaku, który znalazł pod ręką, i pragnąc przyjść w pomoc biednemu chłopcu, którego konie z wózkiem uniosły, poszedł omackiem na ten głos, który do niego dochodził. Głos coraz się usuwał i ciągnął go za sobą. Czasem mu się wydało, że to był jęk, czasem, że wołanie, to znowu, że to poprostu świst sowy, albo głos puszczyka. Dziwne widziadła snuły się przed jego oczyma. Szedł jednak coraz dalej. Ale siły jego prędko ustały; nie odległością drogi zmęczył się, ale walką wewnętrzną, sileniem głowy na wyjaśnienie sobie tego zdarzenia, odpędzaniem tych mar i przywidzeń, które samotnego, w pustém miejscu, pod ogromnym lasem, który się zaczynał, opadały i drażniły. Takim-to sposobem i po takim wypadku, bohater nasz przyszedł na ów cmentarz, gdzie się przespał na mogile.

V.

Wyrwawszy się z rąk pokusy i odpędzając z myśli obraz czarownicy, w której wejrzeniu i głosie było jakieś oczywiste szyderstwo, biegł nasz młodzieniec z początku

z całą szybkością ratującego się od niebezpieczeństwa człowieka. Wszakże coraz gęstsze zarośla i wzgórza wyżej podnoszące się tamowały bieg jego i wróciły mu zimną krew i przytomność. Wprawdzie nie umiał sobie wytłumaczyć wypadków, które mu się coraz dziwniejszemi wydawały, im bardziej się nad nimi zastanawiał. Ten jeździec, ta baba, te dukaty, wszystko to miało na sobie jakąś nadzwyczajną cechę i wstrzęsło mocno wyobrażeniami, które sobie o porządku rzeczy na świecie wyrobił. Poruczywszy się jednak Bogu i wspomniawszy, że modlitwy matki i wuja czuwają nad nim, nabrał ducha, odsunął od serca i głowy wątpliwe myśli i szedł znowu coraz prędzej, pragnąc dostać się do tego kościoła, którego wieże zdawały mu się z początku tak bliskie, a teraz, im bardziej postępował, tém bardziej się oddalały.

Wśród takich myśli, dostał się wreszcie na drogę niezbyt szeroką, ale przynajmniej niezarośłą trawą i dobrze ubitą. Puścił się więc nią z otuchą i po jakimś czasie, gdy się zarośla przerzedziły, postrzegł w dolinie wieś dużą, a o pół mili dalej bielejące domy miasteczka, i owe dwie wieżyczki, które od dawna widział i do których się kierował. Domyślał się, że to muszą być Strzeliska nowe, gdyż tak je owa baba nazwała; z radością jednak postrzegł idącego na przeciw siebie człowieka, który na toporze zarzuconym na ramię niósł woreczek, widać z chlebem i zapasem na cały dzień pracy w lesie. Wesoła i rumiana twarz wieśniaka, uprzejme wejście, były jakby ulgą i pociechą dla oczu młodzieńca, które wczoraj w wieczór i dziś rano patrzyły tylko na dziwne jakieś i nieludzkie oblicza, rażące szpetnością, odstręczające wyrazem szyderstwa i ukrytą złością.

— Dobry dzień ci, dobry człowieku! — rzekł śmiało, gdy się podróżni zrównali.

— Dobry dzień, paniczu! — odpowiedział wieśniak, podnosząc kapelusz słomiany. — A z kąd-że to tak rano panicz idzie?

— A, miałem przypadek wczoraj. Konie mi się rozbiegały, wyrzuciły mię z wózka i nie wiem, gdzie teraz są.

— A gdzież panicz nocował?

— Alboż ja wiem — podobno na jakimś starym cmentarzu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — rzekł wieśniak, żegnając się i oglądając się z trwogą. — Toć pewniuteńko na „Pustce Djabelskiej“ panicz nocował.

— Tak mi nazwała to miejsce jakaś baba, która tam przed chałupą przędła.

— Hm! to ta djablica Anastazyja — odrzekł chłop, skrobiąc się w głowę. — Aj! w złych rękach paniczu byłeś. Podziękuj Bogu, żeś wyszedł cały.

— Cóż to za jedna? — zapytał z ciekawością młodzieniec.

— Et, wieleby o niej gadać, a tu nie mam czasu i jakoś nieraźnie tak w lesie. Żeby w karczmie przy ludziach, tobym się może rozgadał. O bestya! — dodał ciszej i oglądając się — to jęj sprawka, paniczu, że teraz piechotą chodzisz; to djabelska siostra! Tamtędy nikt nie jeździ, bo się zawsze coś zepsuje, albo konie ponoszą. Paszy tam w lesie po kolana, a nikt tam nie zapędzi bydła, bo wszystkie krowy tak ze szczeniem wydoi, że potem przez trzy dni i kropki mleka nie dadzą. A pieniędzy ma co niemiara. Mówią, że wie o jakichś skarbach. Zbierali się raz chłopaki pójść tam i obedrzeć ją; ale cóż?

szli, szli, i jeszcze szli, a trafić nie mogli, choć każdy wiedział drogę doskonale. Ledwie trzeciego dnia przyszli do domu i nie wiedzieć gdzie byli, podobno za Rohatynem, czy bodaj aż pod Brzeżany jakieś лихо ich zagnało. A teraz-że dokąd Pan Bóg prowadzi? — dodał, poglądając na zamysłonego młodzieńca.

— Chciałbym się dostać do szose — odpowiedział młody człowiek. — Wszak to Strzeliska nowe?

— A jużci tak — odpowiedział chłop — i tam cesarska droga.

— A to co za wieś?

— To Strzeliska stare, paniczu — tam przejdźcie przez wieś i od karczmy weźcie się na prawo. Szczęśliwej drogi — dodał, uchylając kapelusza.

— Dziękuję — odpowiedział młodzian i poszedł zwaśniej, medytując o swoich przygodach i kombinując reputacją baby i miejsca swojego noclegu z tém, co sam spostrzegł i czego doświadczył.

Gdy mijał wieś i zbliżał się do karczmy, postrzegł w otwartéj tylnéj bramie stojącego chłopaka, wymachującego batożkiem. Z początku zdało mu się, że go oczy mylą, ale gdy prędkiej podbiegł, przekonał się z podziwieniem i radością, że to był jego woźnica.

— Ty tu, Bartku? — zawołał młodzieniec.

— A tu, paniczu — odpowiedział, śmiejąc się, chłopak. -- Wyspałem się już na oba boki, a panicza jak niéma, tak niéma.

— I nic ci się nie stało?

— A nic, ani nawet kołek z wózka nie wyleciał. Jak panicz zeskoczył, konie pobiegły jeszcze ze dwieście kroków i stanęły. Wtenczas ten pan na karym

przyjechał do mnie i mówi: podobno zbłądziliśmy. A ja ze strachu jemu odpowiedziałem: a podobno. — A gdzie twój panicz? zapytał mnie. Ja wtenczas mac, mac, ehe! mówię, a niema! gdzieś. — Wiesz-że ty co, mówi ten pan do mnie, pozawiażuj sobie lice, bo się zerwały. — Ja patrzę, aż doprawdy zerwały się. Taj zlazłem z wózka, wyszukałem omackiem lice, zawiązałem, taj powiadam: już. — Wtenczas ten pan mówi: Jedź-że teraz za mną powoli, tu powinna być droga do wsi. — Ja, nie nie mówiąc, wziąłem, taj pojechałem za nim. Jego, prawda, nie widać było, ale słyszać, jak koń parskął.

— I długożes tak jechał?

— Gdzie tam, może z pięćset kroków jechałem wygonem, czy czém, djabli go tam wiedzą, a potem obaczyłem się na drodze. Wtenczas ten pan huknął, a ja powiadam: ja tu. A on przyjechał do mnie i mówi: jedź-że teraz tą drogą powoli, tu niedaleko wieś. Tam zajedź do karczmy i daj koniom siana. — Dobrze, panie, mówię. Ale panicz? — Już ja go sam znajdę i jutro rano on tam przyjdzie, a ty połóż się sobie spać. — Dobrze, panie, odpowiedziałem i hejta, ruszyłem małym truchtem. Aż nie długo las się skończył, taj pokazała się wieś. Oho! myślę sobie, żeby to karczma! Aż i karczma pokazała się. Jak zacząłem stukać i pukać to w bramę, to we drzwi, to w okna — otworzyli, zajechałem sobie; dałem koniom siana i położyłem się spać.

— I rzeczy wszystkie są? — rzekł młodzieniec, trąc ręką czoło.

— Wszystko tak leży, jak panicz położył; ani jedna słomka nie zgubiła się.

— To rzecz niepojęta! — dodał młody człowiek,

marszcząc brwi i zadumawszy się głęboko nad tém wszystkim, co mu się zdarzyło.

— Czy panicz każe zaprzęgać? konie już piły.

— Zaprzęgaj — odpowiedział ponuro i poszedł do karczmy. Z początku nie mógł myśli swych zebrać, usiadł więc, i oparłszy się na rękę, tak siedział w milczeniu. Gdy jednak odpoczął i, postrzegłszy koło siebie zwyczajny zakręt ziemski, przekonał się, że nie marzy, że jest na ziemi i w karczmie, przyszedł zwolna do siebie, poczuł apetyt i kazał sobie dać szklanekę gorącego mleka i bułkę. Posiliwszy się tém prostém śniadaniem i postrzegłszy wózek swój przed karczmą, wsiadł uspokojony, i w dalszą puścił się drogę.

Nim przybędzie tam, gdzie go już z niecierpliwością oczekiwano, wyprzedźmy go, i obejrzyjmy te miejsca i te osoby, do których dążył z biciem serca, z tęsknotą powiększającą się coraz, w miarę tego, im się bliższym już widział.

Zbliżając się od Bursztyna do Halicza, postrzega podróżny z daleka wysokie wzgórza, ku którym pionowo sunie się, jak biała linia, droga bita, równa i utarta. Wchodząc na rozległą i piękną dolinę, droga ta przypiera swym końcem do piaszczystego brzegu Dniestru, który szybkiem i zagiętym korytem u stóp tych pagórków płynie, z prawej strony przy Popławnikach błyszczy, jakby wygiętym na przód kolaniem, a z lewej, dążąc ku Maryampolowi, rozdziela się na odnogi i obmywa opodal kąpiącą się w jego nurtach wyspę, ustrojoną w bukiety ogromnych drzew, i równie od chłodu, jaki jęj dają, i od świeżej wody, co się o jęj boki odbija, wiecznie prawie zieloną. Kilka promów łączy dwa końce przerwanęj przez

rzekę drogi, a śpiew wioślarzy, gwar przejeżdżających, różnobarwna odzież ludu, dążącego w niedzielę do kościoła i na targ, piękne to miejsce ożywiają. Za rzeką zaraz zaczyna się znowu biała linia drogi, tak zwanęj cesarskiej, zagina się na lewo i, ogromnym łukiem podnosząc się na górę, gubi się wśród drzew, wieńczących jęj szczyt i poza domami miasteczka, wzdłuż na całej tęg wyniosłości rozłożonego. Tam wprost przewozu bieleją się na górze rzędem stojące zajezdne domy, dalej sterczy jakiś budynek rządowy, a dalej, obok wieńca lip ogromnych, podnosi się wysmukła dzwonnica kościoła, i na jego podłużnym i wysokim dachu czworograniasta przezroczysta wieżyczka, z kąd sygnaturka ogłasza ludziom codzien czas wstania do pracy i modlitwy. Na tęg pięknej wieżycze błyszczy złożony krzyż, i łamiąc w swych bokach promienie wschodzącego słońca, jaśniej z daleka, jak gwiazda, ukazująca drogę i przytułek. Kiedy dzień pogodny i słońce wprost na górę uderza, widać jeszcze, w bok od kościoła, cztery wielkie okna, oblane promieniami i świecące na białej ścianie domu, który na pochyłości góry stoi, ze strony rzeki ma zielone i chylące się ku wodzie podnóże, po bokach kłaby rozświecone, a z tyłu ciemne tło lip gęstych i wysokich, które dach przenoszą i na których biały komin odbija. I ten dom znany także całej okolicy, a ku niemu tłumnie gromadzący się lud, w niedzielę i święta, oczy od przewozu podnosi i palcami go sobie pokazuje. To bowiem probostwo, gdzie także każdy rad pośpiesza, z uszanowaniem na białą głowę poważnego starca pogląda i z ust jego oczekuje z pokorą rady, nauki i pociechy.

Pójdźmy i my do tego ustronia, gdzie nie jedną chwilę

przepędzimy. Na kilkadziesiąt kroków od drogi publicznej, gubiącej się w bruku miejskim i przechodzącej przez rynek, idzie się uliczką wąską i niebrukowaną, do furty, prowadzącej do kościoła. Jest ona w murze niewysokim, ogradzającym dziedziniec kościelny, bardzo obszerny, usłany axamitem najcudniejszej i najstaranniej utrzymanej murawy, ozdobiony jakby altaną z lip starożytnych, zasadzonych w wielkie koło i stykającymi się w środku gałęziami formujących nieprzenikliwe sklepienie. Jest to ulubione miejsce dziewcząt miejskich i z okolicy przybywających. Tam schodzą się umyślnie wczesniej, i przed zaczęciem nabożeństwa, to siedząc rozkwiecconemi kupkami, to stojąc w ruchawych grupach pod cieniem tych lip, pysznią się wdziękami i strojem, wabią okiem i uśmiechem, aż póki dzwonek nie ogłosi, że ksiądz proboszcz już w ornacie, i że w ten moment wychodzi z summą. Na to hasło wszystko światowe znika z ich twarzy i ruchów, tłumnie wchodzi do kościoła, gdzie każdy staje na swoim miejscu i słucha z pokorą i zebraniem ducha Mszy Świętej, a szczególnie kazania. Tak wymusztrował, że tak powiem, trzodę swą ksiądz Pilecki, tak wmówił w nią konieczną potrzebę pokoju i zebrania myśli przy słuchaniu nabożeństwa, że, gdy po pierwszym hasle kościół się napełni, gdy pierwszy szmer wchodzących ucichnie, każdy, gdzie usiadł lub stanął, tam siedzi i stoi od początku do samego końca, i ani oglądaniem się, ani szeptaniem, ani chodzeniem i dobieraniem sobie miejsca, jak się to zwykle po kościołach naszych dzieje, jeden drugiemu nie przeszkadza. Uroczysty to widok téj bezwładności i tego milczenia massy, korzącej się przed Bogiem i zapominającej o wszystkiém, co zostawiła za gra-

nicami murów kościoła, i dokąd wniosła tylko żal za przewinienia i nadzieję pociechy.

Z prawej strony, do muru ogradzającego dziedziniec kościelny przypiera probostwo, dokąd prowadzi niewielka furteczka, od której klucz u samego proboszcza. Furteczka ta w niedzielę i święta otwarta do godziny drugiej po południu, i tamtędy przechodzą na probostwo, po wysłuchaniu sumny, znajomi z odwiedzinami, z interesami, z jaką duchowną potrzebą, — cierpiący ciałem lub duszą po radę, pomoc lub pocieszenie.

Od strony ulicy, probostwo ogrodzone jest wysokim parkanem i wnijscia żadnego nie ma. Część bowiem gospodarska zabudowań księdza proboszcza, a zatém i brama, którąby zajechać można, jest jeszcze dalej i zupełnie od mieszkania jego oddzielona. Mieszkanie to stoi całkiem w ogrodzie. Od miasta zasłaniają go ogromne drzewa, to idące rzędem wzdłuż parkanu, to w grupach po trzy lub więcej rozrzucone na dużym dziedzińcu, zasłanym także gazonem i ubranym w kłaby roślin, a szczególnie kwiatów najrozmaitszych kolorem i wonią. Ksiądz Pilecki, który nigdzie się z mieszkania swego nie oddala, chyba do chorego, lub kiedy niekiedy do siostry, zastawszy już dość piękne lipy przed starém probostwem, sam resztę zrobił, własną ręką utrzymując gazony, szczepiąc drzewka i uprawiając najpożyteczniejsze i najpiękniejsze rośliny i kwiaty. Trzydzieści dwa lata nieustannej pracy, choć przy niewielkich kosztach, zrobiły tę ustron jedną z najpiękniejszych w okolicy, i ktokolwiek z daleka nawet przez Halicz przejeżdża, nie mija probostwa, równie dla poznania człowieka, który umiał rozumem, dobrocią i czystością obyczajów uświęcić święte swe powołanie, jak i dla widzenia

ogrodu i domu, który był wzorem porządku, gustu i skromnej, a niekosztownej ozdoby. Lat temu dwadzieścia dwa, jak ksiądz Pilecki na miejscu starego probostwa dom ten wznosił i w nim zamieszkał, poświęciwszy go uroczyście tegoż dnia, kiedy ochrzcił pierwsze i ostatnie dziecko swój ulubionej siostry, owego Gabryela, którego właśnie teraz z największą niecierpliwością oczekiwał.

Niezbyt obszerne to pomieszkание, ale umiejętnie i stosownie do potrzeby właściciela urządzone. Dwa jego wielkie okna wychodzą na ogród, który je od miasta oddziela. Drzwi do sieni obszernej i widnej mają przed sobą ganek z łąt rzniętych, w kratę splecionych, i obrosłych liśćmi dzikiego winogrodu i girlandami bluszczu, który się pnąc smiało i od jednej podpory do drugiej przerzuca. Cztery okna z drugiej strony, o których już wspomnieliśmy, dają cudny widok na dolinę dniestrową, na rozległą zadniestrzańską okolicę, na kręty bieg tej wspaniałej rzeki i na ową wyspę, oblaną jej ramionami i wynurzającą się, jak nimfa zielonowłosa, z pośrodku kryształów ruchołego zwierciadła. Niewielka płaszczyzna przed samymi oknami, czystym piaskiem zawsze usypana, codziennie prawie własną ręką staruszka umieszczona, ma kilka ławek, na których rano siaduje, z kądem wita wschodzące słońce, przypatruje się cudnej naturze, i obejmując okiem obszerny horyzont, wielbiąc sprawcę tych cudów, myśli i sercem poranne modlitwy odbywa. Rybacy i przewoźnicy, krzając się o świcie na brzegu Dniestr, przywykli już podnosić oczy ku temu miejscu; i gdy postrzegą postać czarną z założonemi w tył rękoma, patrzącą ku dalekim krańcom horyzontu; gdy ujrzą odkrytą głowę, odzianą tylko długimi białymi włosami, które spadają

na skronie i z którymi wiatr igra; zdejmują czapki i mówią sobie: patrzcie! już się modli; czas i nam pacierz zmówić.

Od brzegów téj niewielkiej wystawy, ubranéj latem mnóstwem wazonów z kwiatami, sunie się pochyło ku dołowi pas zielony najpiękniejszej murawy, tak szeroki jak dom, bez żadnego drzewka i kwiatka, które, wszystkie po obu bokach téj czystej zieloności zebrane w grupy i kłaby, formują cieniste ustronia i schodzą także na dół, aż do dolnego ogrodzenia, na którym kończy się dziedzińska probostwa i za którym dalej, aż do brzegu rzeki, są mieszkania rybaków, drobnych rzemieślników i ludzi trudniących się przewozem.

Wewnątrz dom księdza Pileckiego odznacza się tylko czystością i wygodą. Na prawo jest wielki pokój, gdzie obcych przyjmuje; wprost z sieni są drzwi do jego pokoju, z którego na prawo do biblioteki, na lewo zaś do pokoiku, świeżo, a nawet dość wykwintnie przyrządzonego, bo ten pokój przeznaczony dla Gabryela, jeżeli u wuja zamieszka. Jeden stary sługa i dwóch chłopczyków, którym w sieroctwie ich Bóg dał ojca i nauczyciela w księdzu Pileckim, stanowią całe personale tego domu. Kuchnia i czeladź oddzielona mieści się w drugim dziedzińcu, przegrodzonym gęstym szpalerem i wysokim parkanem. Nic nie może być poważniejszego, jak cisza téj ustroni. Kiedy po odbyciu nabożeństwa, po załatwieniu wszystkich spraw domowych i obcych interesów, z którymi do niego często ludzie się udają, usiądzie w swojej bibliotece, może swobodnie medytować, bo równie koło niego, jak w nim, nic nie huczy i nie wre wrzawą światową, nic nie miesza pokoju i milczenia. Szum tylko drzew

dochodzi do jego uszu, a kiedy okno otwarte, daleki odgłos od przewozu w gwarze niewyraźnym i przerywanym.

Praca ciągła i niezmordowana była od najpierwszej młodości nieodłączoną towarzyszką jego życia i jednym żywiołem jego szczęścia, zdrowia i pokoju. Wstawał zawsze o godzinie czwartej i kładł się o dziewiątej. W lecie wszakże czasem raniiej się budził i później zasypiał, za to po obiedzie przedrzęmał się godzinę w krześle. Oprócz zwyczajnych modlitw, codziennę mszy i przygotowania nauki na każdą niedzielę, poświęcał jeszcze codzień dwie do trzech godzin czytaniu dzieł historycznych i literackich. Mało miał wprawdzie związków listowych, ale nie było człowieka regularniejszego w tej mierze. Na to bowiem była osobna szafka, gdzie się składały listy, gdzie było wszystko przygotowane do odpisu, który nigdy nie zaległ.

Miało probostwo halickie intratną wioskę i jurydykę miejską. Ksiądz Pilecki tak usposobił gospodarzy, tak pracował nad ich obyczajami i wykorzeniem złych nałogów, że dziś sami są dzierżawcami jego gruntów, wypłacają się akuracie, i stają się coraz pracowitszymi i żałoźniejszymi. Tym sposobem, nie zrażając się bynajmniej nieznaczniemi nawet stratami, które z początku ponosił, przyszedł do wykonania szlachetnej myśli, podał zbawienny przykład, i pokrywszy już wszystkie pierwiastkowe ubytki, uwolnił się zupełnie od kłopotów gospodarskich, które zawsze za niewłaściwe powołaniu swemu uważał. Całym jego gospodarstwem był ogród, w którym najwięcej sam pracował. Począwszy bowiem od wiosny do najpóźniejszej jesieni, kilka godzin codzien-

nie poświęcał pracy ręcznej na świeżem powietrzu, wśród ulubionych kłębów, pomiędzy drzewami owocowymi, wśród kwiatów, które przesadzał, obwiązywał, czyścił i zawsze własną ręką podlewał.

Tak umiarkowane, czyste i pracowite życie doprowadziło go bez choroby i niedołęztwa do sześćdziesiąt siódmego roku, który właśnie na Świętego Stanisława skończył. Gdyby nie białe włosy, któremi starość, jakby dla ozdoby, tę poważną głowę odziała, patrząc na jego twarz, na jego postać wysoką i wyprostowaną, niktby mu wieku tego nie dał. Jakoż oko jego ciemne jaśnieje życiem i rozumem, czoło wysokie i gładkie wyraża pokój tej głowy myślącej i serca bijącego dla natury i ludzkości. Zmarszczeków jeszcze nie widać na jego twarzy, nierumianej, ale i niebladłej, a uśmiech pełen dobroci, którym spotyka każdego przechodnia, odkrywając zęby zdrowe i białe, daje niewysłowiony powab jego licu, na którym połączone są powaga i uprzejmość, słodycz charakteru i surowość zasad, miłość Boga i miłość bliźniego.

Sposób, jakim ksiądz Pilecki odprawia mszę świętą, jest jedyny w swoim rodzaju. Mszę czytana czyta zawsze głośno, śpiewana jest podniesioną tylko i rozciąglejszą deklamacją. Ale w jego ruchach, w jego postawie przy ołtarzu, w jego głosie jest taka powaga, tak głębokie i silne zajęcie, taka pokora i skrucha, że nikt z obecnych oka z niego nie spuszcza i nie traci ani jednego słowa. Ci nawet, co nic nie rozumieją, z tonu i wymówienia każdego słowa domyślają i jakby przeczuwają jego myśl i znaczenie.

Nauki jego są zwykle krótkie. Mówi je z pamięci, po prostu, jakby rozmawiał ze słuchającym go ludem, naj-

częściój od ołtarza, lub przy małym pulpicie, który przy galeryi, oddzielającej wielki ołtarz od reszty kościoła, postawić kazał. Styl i przedmiot są zawsze stosowne dla słuchaczów. Jest to katechizm coniedzielny, obszerny, oparty na Ewangeli, co do moralności życia — na podaniach Kościoła co do objaśnienia świąt i obowiązków religijnych, jakie tenże Kościół nakazuje. Przy każdój nauce znajduje miejsce do napomnień zbawiennych, ukazuje drogi do zabezpieczenia sobie zdrowia, pokoju, dostatku; mówi o obowiązkach rodziców, o wadach dzieci, o sposobach ich poprawienia, o źródłach niezgód między małżonkami, między sąsiadami, między krewnymi i przyjaciółmi; ogarniając cały zakres życia rozmaitych stanów, wydobywając z niego drobne, na pozór nie nieznaczące, a wielkie w swoich skutkach szczegóły, jako lekarstwo na wszelkie złe stawia modlitwę, umiarkowanie i pracę. Nie masz nauki, w której-by nie mówił o téj ostatniej, w której-by jój nie polecał. Nie masz téż nauki, o której-by lud nie rozprawiał, wyszedłszy z kościoła, i nie powtarzał sobie jój treści, rozmaitych zdań, które pojął, zrozumiał i uczuł; bo były tylko trafném wyrażeniem tego, co każdy miał w duszy, były rozbudzeniem uszpionej myśli i zagłuszonego namiętnością przekonania.

VI.

W rok po instalacyi księdza Pileckiego na probostwo Halickie, powiększył się dom jego przez przybycie matki i siostry Apolonii. Śmierć męża pozbawiła zadaną kobietę wszelkiego sposobu utrzymania. Syn, który ją zawsze wspierał, skłonił ją teraz, że sprzedawszy wszystkie ru-

chomości, wyrzekłszy się gospodarstwa, które jęj dawało tylko kłopoty i coraz nowe straty, ze wszystkiém, co z okrucichów dawnęj fortunki zostało, pod opiekę synowi się oddała. Była to wielka radość dla zacnego kapłana, że mógł i własnym przykładem uczyć swoję trzodę wdzięczności i czci dla rodziców, przywiązania i opieki dla młodszego rodzeństwa. Jakoż dla matki zbiedzonęj i schorzałęj był z największém uszanowaniem; urządził dla nięj pokój cichy i osobny, uwolnił ją od wszelkiego zajęcia gospodarskiego, póki-by sił nie nabrała i sama nie upomniała się o prawa gospodyni. Prawa te tymczasowo i uroczyscie konferował ulubionęj siostrze, siedemnastoletnięj panience, która z całym zapalem, jaki dają w tym wieku rozwijające się wszystkie instynkta kobiece, z gorliwością, natchniętą przez nieograniczone przywiązanie do brata, i z dumą, jaką w nią wlała taka jego ufność, wzięła się do dzieła.

Była to śliczna, wysmukła blondynka, z rumianém i mszystém licem, jasném czołem, koralowemi ustami i oczyma błękitnemi jak niebo. Wesoła i żywa, kochana od wszystkich domowników, szczęśliwa, że widziała zabezpieczoną przyszłość matki i swoję, śmiejąc się i śpiewając, pełniła funkcyą gospodyni. Lubiała ona zajęcie, krzątała się z ochotą, a miłując czystość i ochędóstwo wokoło siebie i na sobie, znajdowała zawsze coś do czynienia. Wychowana prawie w ubóstwie, nie mogła się przyzwyczaić do wykwintnych strojów; a jednak każda sukienka, każde jęj przystrojenie, to wstążeczką, to kwiatkiem,носиło na sobie cechę elegancyi, jaśniejącęj czystością dziewiczej przystojności. Ten przymiot dawał jęj tém więcéj wdzięku, że nie myślała o tém wcale, nie siedziała w lu-

sterku i nigdy się sobie nie przypatrywała. Wstawszy raniutko i ubrawszy się raz czysto, czystą, niezmiętą i niesplamioną była do samego wieczora. Na jój jasném czole i w kształtnój jój główce była taka sama czystość, jasność i porządek myśli.

Mimo tego usposobienia na doskonałą gospodynię i kobietę rozsądną i praktyczną, miała Apolonia imaginacyą żywą i serce pełne wiary. Wychowanie przesądne rozkołysało w niej te władze z natury silne. W dzieciństwie nasłuchiwała się najdziwaczniejszych bajek, które matka, kobieta dobra ale prosta, nadzwyczajnie lubiła; umiała wykladać sny i wierzyła w nie, pomagała matce w ciągnięciu kabały, w której obie szukały ulgi nadziei lepszej przyszłości, gdy gospodarstwo się nie wiodło, ojciec chorował, a brat nie miał jeszcze sposobu skutecznie zaradzić niedostatkowi. Ksiądz Pilecki, spostrzegłszy w siostrze ten kierunek myśli, strofował ją czasem i naprowadzał na prawdziwe znaczenie wszystkiego, co w nas jest niewytłómaczoném. Apolonia słuchała go z uwagą, kiwała główką, gdy nie trafił do jój przekonania, i opowiadała swoje widzenia z tak naiwną szczerością, że brat zapominał nieraz swoich rozumowań i admirował ten poetyczny powab, w którym wówczas cudna dziewczyna przed oczyma jego stawała. Wreszcie sam pełen głębokiej wiary w cuda stworzenia i rękę niewidzialną, która kieruje wszystkiém, nie mający téj hardości rozumu, nie wznoszącego się nad sferę ziemi, nie nastawał na nią rozumowaniem czysto ziemskiém i bał się wyrwać razem z przesądem i wiarę z serca, w którym to oboje, jak liść z kwiatem, były organicznie związane.

Przeszło lat kilka. Matka w tym czasie umarła i Apo-

lonia, dotknięta tym ciosem, dojrzała i spoważniała myślą i postacią. Piękna, dorodna i mająca reputacyą wybornéj gospodyni i najporządniejszój w świecie kobiety, znalazła wielu czcicieliów i dwóch konkurentów, którzy seryo o jój rękę prosili. O pierwszych nie wiedziała wcale, a tym ostatnim odmówiła stanowczo. Za pretext posłużyła niemożność odstąpienia brata; właściwie zaś był inny powód. Przed dwoma laty, po jednéj wieczornéj rozmowie, która podniosła siłę jój imaginacyi, przysniło się jój, że widziała anioła, jasnowłosego młodzieńca z białemi skrzydłami i w odzieniu powiewném i białém. Stał przy niej posłaniec boży, gdy szyła sobie suknią ślubną, i rzekł jój: „połóż to Apolonio! jeszcze nie czas. Gdy się zjawi ten, który ci za męża naznaczony, przyprowadzę ci go i po-
każę — i wtenczas wezmiesz się do téj roboty.“ Apolonia obudziła się cała drżąca i jakimścis niepojętém szczęściem przejęta. Anioła nie było, ale obraz jego został na zawsze w jój duszy, a przestroga w pamięci. I odtąd, gdy ją brat upominał, aby nie odrzucała ręki ludzi zachcnych, odpowiadała zawsze: — Jeszcze nie czas. Jak się zjawi ten, który mi naznaczony, przyjdę sama i powiem ci: Bracie! oddaj mnie temu, ten mój!

W takiém oczekiwaniu upłynęło lat kilka, a Apolonia, wierna przestrodze i chowająca ją w myśli, odsuwała od siebie statecznie wszelką skłonność. Wielu mężczyzn widywała u brata; bo ksiądz Pilecki, którego reputacya prędko się rozszerzyła, liczył przyjaciół i życzliwych pomiędzy szlachtą, pomiędzy urzędnikami i mieszczanami Halicza. Nikt wszakże jój nie zajął. Raz tylko zachwiała się w swój wierze. Przejeżdżał przez miasteczko możny jakiś pan, dawny kolega akademicki jój brata.

Dowiedziawszy się, że ksiądz Pilecki jest tu proboszczem, przyszedł i przypomniał się szkolnej przyjaźni. Był to człowiek lat trzydzieści kilka mający, ale tak piękny z powierzchowności i ułożenia, tłumaczący się z takim powabem, wspominający młodość przebytą razem z takim czuciem i imaginacją, że Apolonia napatrzeć się na niego i nasłuchać się go nie mogła. Gdy pojechał już późno wieczorem, ciągle o nim marzyła i z obrazem jego zasnęła. Wtenczas znowu pokazał się jój ten sam anioł. Twarz miał równie piękną, jak pierwszą razą, ale smutną. Gdy podniosła ku niemu głowę i chciała obok niego zobaczyć lice wczorajszego gościa, nie spostrzegła nic, bo anioł był sam. Wtenczas dziewica zawstydzona spuściła oczy, a posłaniec boży rzekł: — Nie wierzysz mi, Apolonio, i łudzisz się. To nie on. — Obudziła się, płacząc, i obraz możnego pana znikł z jój myśli.

Odtąd wiara w sen prorocki utwierdziła się w jój sercu tak stanowczo, że choć lata uchodziły i krosa pierwszej młodości znikła, Apolonia wyglądała spokojnie tak nazwanej siwój kosi, pewna, że się obietnica spełni i jój czas przyjdzie.

Upłynęło lat kilka, brat przestał nalegać, a widząc jój pokój i dobry humor, sądził, że to było tajemne wotum nieodstępowania go, i w duszy wdzięcznym jój był za to poświęcenie. Tym sposobem doszła Apolonia do dwudziestego szóstego roku życia. W tym czasie i właśnie w wigilią N. Panny Zielnej była na nieszpórach, które brat odprawiał. W kościele, przystrojonym już w kwiaty i najrozmaitsze zioła, niewiele było ludzi. Ksiądz Pilecki klęczał na stopniach ołtarza, a Apolonia w pierwszej ławce klęczała także i modliła się. Wtém usłyszała za sobą

chód wolny i poważny. Sama nie wiedziała, dla czego odgłos tych kroków, od kamiennéj posadzki kościoła odbijający się, zastanowił ją i modlitwę jéj przerwał. Chciała się obejrzyć, ale przewyciężyła ten pierwszy popęd ciekawości, i gdy idący widać się zatrzymał, znowu modlić się zaczęła. Po chwili znowu uderzenia obuwia po kamieniach kościoła dały się słyszeć. Apolonia podniosła głowę, i ujrzała przechodzącego mimo ławki podróżnego, który poważnie poszedł dalej, zbliżył się do galeryi oddzielającej wielki ołtarz od reszty kościoła, ukląkł, i położywszy łaskę i słomiany kapelusz na ziemi, złożył ręce i modlić się zaczął. Był to człowiek poważnéj postaci, silnéj budowy, w sukmanie wieśniaczéj, białéj z czarnemi wypustkami, różniącój się cokolwiek krojem i kolorem od tamtejszego chłopskiego odzienia. Twarz jego była przystojna, ogorzała, ale czerstwa, rysy pełne powagi i łagodności, a włos siwiejący, zwłaszcza na skroniach, dawał do myślenia, że mógł mieć przeszło lat czterdzieści. Z tłomoka, który miał na plecach, z laski podróżnéj i okurzonych butów, równie jak z kroju sukni, wniosła Apolonia, która mu się ciekawie przypatrywała, że był nietutejszy, i z drogi prosto wracając, wszedł do kościoła.

Po skończonych niesporach podróżny powstał i szedł zwolna przez kościół. Gdy się zrównał z ławkami, podniósł głowę, spojrzał na Apolonią i, pocierając ręką czoło, jakby sobie co przypominał, spojrzał raz drugi i poważnie wyszedł. To zainteresowanie się podróżnym, to jego spojrzenie cokolwiek dziwném się jéj wydało; ale wróciwszy do domu, zajęła się czém inném i wkrótce zapomniała. Czwartego dopiero dnia z wieczora długo zasnąć nie mogła; marzyła to o tém, to o owém; przebiegała historią swego

życia tak krótką, tak jednostajną i w wydarzenia ubogą; zapuszczała się myślą w przyszłość, i nie widząc w niej żadnej z tych radości, które wstrząsają całą istotą ludzką, postrzegając tylko równy bieg dni jednakich, dni spokojnych i błogich póty, póki brat zdrów i przy życiu, wstrzęsła się mimowolnie, uderzywszy się myślą o przypadek jego śmierci, jakby o jaką szkarpkę, za którą była ciemna przepaść, gdzie jęj oko zajrzeć nie śmiało. Że nigdy jeszcze ta myśl do głowy jęj nie przychodziła, tém bardziej się przeleżała i starała się tém prędzej ją od siebie odsunąć. Nauczona doświadczeniem, że w takim razie najskuteczniejszym środkiem jest modlitwa, zerwała się z łóżka, narzuciła na siebie szlafroczek, i ukląkłszy przy swoim posłaniu, gorąco modlić się zaczęła. Wkrótce oko jęj zaszło łzami, na sercu robiło się lżej, a ochłodzona świeżem powietrzem nocy, gdy się znowu układała i dobrze okryła, prędko i spokojnie zasnęła. Ale widać, że to była dla niej chwila stanowcza. Zaledwie sen smaczny pokrzepił jęj członki, gdy zdało się jęj znowu, że szyła ślubną suknię. Była to sukienka prosta, jakby wieśniacza, ale ozdobna swoją prostotą i jak śnieg czysta i biała. Nawet w marzeniach snu pewnego rodzaju czuwanie i rozumowanie nie opuszcza duszy. Przypomniała sobie, że to sen pierwszy, że z tą sukienką połączone jest zjawienie, które ma jęj przyszłość objawić. Jakoż podniosła niby głowę, opuściwszy robotę swą na kolana, i ujrzała przed sobą tego samego anioła i na twarzy jego pięknej i łagodnej jakby uśmiech pozdrowienia. „Kończ, kończ, Apolonio! — rzekł jęj posłaniec boży. — Czas twój przyszedł, wiara twoja nagrodzona — patrz! oto jest ten, którego ci niebo na męża naznaczyło.“ Anioł zniknął, a jęj znowu zdało

się, że była ła nieszporach; że widziała brata przed ołtarzem, a od galeryi, oddzielającej wielki ołtarz od reszty kościoła, siedł ten sam podróżny w wieśniaczym odzieniu, patrzył na nią uprzejmie, i na twarzy jego dojrzałej, ale pięknej, był uśmiech życzliwości i wyraz niewypowiedzianego szczęścia. Ocknęła się Apolonia i już téj nocy sen nie zamknął jój powiek. Cały ranek była poważna i milcząca; a gdy się zbliżyła chwila nabożeństwa, poszła do kościoła, i upadłszy na kolana w najciemniejszym kącie świątyni, dziękowała Bogu za tę opiekę nad sobą, za to cudowne ostrzeżenie, i z sercem pełnym wiary, że się tak stanie, z pobożną rezygnacją, zaczęła wyglądać swojej przyszłości.

Po skończoném nabożeństwie wrócił proboszcz do siebie. Furtka, jak zwykle, była otwarta, ale tym razem nikt nie przyszedł. Gdy godzina druga wybiła na zegarze, rzekł ks. Pilecki do siostry:

— Apolonio! idź, zamknij furtkę. Już dziś zapewne nikt nie przyjdzie. Chciałbym trochę odpocząć.

Wzięła klucz z ręki brata, milcząca i zamyślona, i chciała wypełnić rozkaz jego. Ale ks. Pilecki przytrzymał jój dłoń, i patrząc na nią z przywiązaniem i troskliwością, rzekł:

— Co ci jest, siostruniu? Od rana uważam, żeś smutna i milcząca.

— I owszem, drogi bracie! — odpowiedziała z uśmiechem pełnym melancholicznego wyrazu — jestem szczęśliwą, i wkrótce, da Pan Bóg, jeszcze szczęśliwszą będę.

— Doprawdy? — odpowiedział brat wesoło. — Czy nie sen jaki, siostruniu?

— Nie śmieję się, bracie, i wierz tak, jak ja wierzę.

Ruszył ramionami ks. Pilecki, a Apolonia poszła z kluczem do muru, oddzielającego probostwo od kościelnego dziedzińca. Szła zwolna przez ogród, ze schyloną głową, i gdy stanęła przy furtce, ujrzała w niej tego samego wędrowca, którego twarz i postać tak jej dobrze już były znajome. Lekki krzyk wyszedł z jej piersi i rumieniec oblał jej lice. Zastanowiło to podróżnego; zdjął kapelusz słomiany, odgarnął z jasnego czoła siwiejące już włosy i z uśmiechem uprzejmym i rozumnym rzekł:

— Przestraszyłem pannę; przepraszam za moje niezgrabność. Mam interes i prośbę do ks. Pileckiego. Czy mogę go teraz widzieć?

— I owszem — odpowiedziała, rumieniąc się znówu — mój brat jest u siebie. Proszę z sobą — dodała, odwracając się prędko dla ukrycia swego pomieszania — powiem mu zaraz, że... że interes jest ważny.

— Bardzo ważny, dobra panienko! dziękuję serdecznie.

Szła prędko Apolonia naprzód, a za nią podróżny, postępując wolniej, przypatrywał się jej ruchom i jej postaci z dziwnym jakimś zajęciem.

Apolonia zostawiła podróżnego w pierwszym pokoju, a sama weszła do pokoju brata. Ks. Pilecki przyrządził sobie książkę, z którą miał usiąść na krześle swoim, aby się trochę przedrzęmac. Gdy posłyszał chód siostry, obejrzał się i zadziwiony zawołał:

— Co to jest? Apolonio! twarz twoja jakoś dziwnie wygląda.

— Nic, nic, mój bracie — odpowiedziała, wzięwszy jego rękę. — Czekaj tam ciebie jakiś człowiek, który ma

pilny i ważny interes. Bracie! — dodała z żywością, całując jego rękę — o cokolwiek będzie cię prosił, nie odmawiaj mu; bo co dla niego zrobisz, to zrobisz dla mnie.

To powiedziawszy, wyszła do swego pokoju i zostawiła ks. Pileckiego zadziwionego i nie pojmującego wcale, co może znaczyć tak żywe zajęcie interesem obcego jej człowieka. Podziwienie jego było tém większe, gdy wszedłszy, gdzie go gość ów oczekiwał, obaczył człowieka już niemłodego, w wieśniaczej sukmanie, przypatrującego się rysunkowi, który dla ks. Pileckiego miał wiele interesu. Rysunek ten nie bardzo kształtny, i widać dawny, wyobrażał dwóch młodych ludzi, podających sobie ręce pod słupem drogowym, gdzie się dwie drogi rozchodziły. Oba mieli na sobie podróżne tłumoczki, i chociaż, jak się zdawało, z odzienia różnili się stanem, zegnali się serdecznie i jakby przyrzekali sobie przyjaźń i braterstwo przed drogą, która ich w różne strony prowadziła.

Ks. Pilecki stał cicho przez niejaki czas, nie chcąc przeszkadzać zajęciu gościa swego, a raczej z zadziwienia, że to, co nikogo nie zastanawiało, najpierw uderzyło oczy człowieka, któryby się na takich rzeczach znać nie powinien. Ale gdy postrzegł, że wieśniak, przypatrując się coraz silniej, otarł łzę, przystąpił proboszcz żywiej i, wzięwszy go za rękę, długo mu się przypatrywał. Tamten przez niejaki czas także milcząc patrzył na niego z zajęciem; ale gdy trzymając jedną ręką rękę proboszcza, drugą ukazując na rysunek, powiedział: — Dziękuję ci, żeś to zachował; — Stanisław! — krzyknął wówczas ks. Pilecki, i obaj mężowie, jeden w odzieniu kapłana, drugi w prostej wieśniaczej sukmanie, rzucili się sobie w obję-

cia, i długo się ściskali, witając się po wieloletniem niewidzeniu.

Oto jest historia téj znajomości i tego rysunku, który ją tak prędko odnowił.

Stanisław Czarosz, teraźniejszy gość ks. Stanisława Pileckiego, był synem zamożnego wieśniaka, który pod samym Haliczem miał domek, ogród i na wzgórzach po prawej stronie Dniestru piękny kawał pola. Zajmował się on pilnie rolnictwem, miał dużo bydła, liczną pasiekę w gaiku, który był pół jego ozdobą, ale przytém był oraz kołodziejem i miał obszerny stelmaski warsztat. Bliskość miasta, — bo mieszkał prawie na przedmieściu i był przez pół mieszczaninem, — ułatwiała zbyt produktów jego przemysłu i roli, tak, że uważano go za bogatego, za mogącego sobie pozwolić więcej wygod i będącego w stanie dać dzieciom nie chłopskie wychowanie i pokierować je inaczej w świecie. To ostatnie zawróciło szczególnież głowę Bonawenturze Czaroszowi. Kazał więc córki swoje, których miał dwie, uczyć miejscowemu organistów, a syna Stanisława posyłał do szkół. Gdy chłopak skończył normalne klasy, które były w Haliczu, wyprawiono go do gimnazjum do Stanisławowa, które wówczas szczególnież słynęło i bliższe było niż inne. Tam właśnie znajdował się i Stanisław Pilecki. Dwaj młodzi ludzie, chociaż obaj zdadni, obaj równie pilni, obaj zawsze pierwsi uczniowie w klasie, długo od siebie stronili; gdyż jeden był szlachcic, i to z dobrego domu, drugi chłop, z czém się wprawdzie z początku tał, co się jednak wkrótce wydało. Gdy wszakże Stanisław Pilecki, którego dobra natura przemałała nad przesadami, postrzegł, że młody Czarosz cierpi rozmaite prześladowania i znosi przycinki od innych kole-

gów, także dobrej szlachty, usunął się od herbowej bandy, i nie tylko że zaprzestał sam wszelkich wexacyi, ale owszem, ile mógł, bronił zdolnego i pracowitego chłopka. Postępowanie to dało powód, że prześladowany przylgnął do swego obrońcy, szukał jego przyjaźni, wszelkimi sposobami uległości i pomocy starał się ją pozyskać i nareszcie pozyskał, gdy raz wykroczenie, którego pozór padał na Pileckiego, wziął na siebie i gotów był odebrać karę, dość nawet surową, która winnemuznaczona była. Nie przyjął wprawdzie Pilecki téj ofiary, wyznał swoją winę, zdradził wspaniałomyślny postępek Czarosza i sam poddał się surowości, na jaką zasłużył. Widok takiej szlachetności w jednym i w drugim zmiękczył zwierzechność szkolną, kara została darowaną, a dwaj młodzi ludzie, wzięwszy się za ręce i wracając w tryumfie do domu, wobec kolegów przysięgli sobie wieczną przyjaźń. Odtąd stali się nierozdzielni, a prześladowania wszystkie chłopka Czarosza ustały.

Gdy kończyli gimnazjum, urządzono właśnie w Stanisławowie kursa filozoficzne, które w Austrii każdy młody człowiek, nim przejdzie na jaki bądź fakultet, odbyć musi. I ten kurs dwuletni odbyli razem; a skończywszy go, gdy się mieli rozłączyć, gdy Pilecki miał się udać do Lwowa na teologią, a Czarosz najprzód do domu, dla urządzenia interesów po śmierci ojca, a potem w świat, szukając czegoś, za czém dusza jego niespokojna gnała, czego jednak i sam w wyraźnych formach nie widział, zebrali się w gronie kolegów i sprawili sobie ostatnią studencką ucztę. Tam przy kielichu i pieśniach rozwijały się dalsze projekta, snuły dalsze nadzieje i krążyły zapewnienia wiecznej przyjaźni i braterstwa. Ale dwaj Stanisławowie, a ra-

czěj dwaj Stasie, jak ich nazywano, byli przedmiotem sympaty i uwielbienia wszystkich. Oni-to właściwie byli królami téj uczty, ich przyjaźń śpiewano, ich zbliżenie się wielbiono, im teraz, rozdzielającym się na długo, a może na zawsze, życzo no powodzenia i dawano rozmaite na drogę pamiątki. Czarosz dostał laskę, na której wszystkie nazwiska kolegów były wyrżnięte, a na czele nazwisko Stanisława Pileckiego; Pilecki otrzymał tabakierkę drewnianą, również kosztowne mającą napisy; słowem, każdy z kolegów to tém, to owém starał się przypomnieć dwom koryfeuszom tego grona. Wśród téj rozrzewniającej i miłej wspomnieniu każdego młodego człowieka chwili, jeden z kolegów, bliżej z bohaterami téj sceny połączony, przyniósł dwa rysunki. Na jednym było dwóch młodych ludzi przy rozstaniu, i to był właśnie ten, któryśmy już widzieli; drugi wyobrażał poważnego starca, w wieśniaczym odzieniu, z emblematami rolnika i kołodzieja, siedzącego pod wielkiem drzewem wśród grona dorodnych dzieci, które drugi starzec, w sukni kapłana, błogosławił. Cós prorockiego było w obu tych robotach, zrobionych z talentem, niewykształconym wprawdzie, ale pełnym życia i mocy. Całe grono przyjęło ten podarunek z uniesieniem i postanowiło, aby los oznaczył, który któremu z przyjaciół ma się dostać. Wszyscy obecni podpisali się na obu, a obdarowani przyrzekli sobie i kolegom, że drogą tę pamiątkę zachowają do śmierci, że ona będzie hasłem poznania się kiedyś, w dalszym życiu, jeżeli los ich do siebie zbliży. Otóż pierwszy z tych rysunków dostał się Pileckiemu; a gdy po pierwszym przywitaniu Czarosz z zana drza i swój wydobył i dawnemu przyjacielowi pokazał,

rzucili się znowu w objęcia i łzy słodkiego wspomnienia poważne twarze ich zrosiły.

VII.

Stanisław Czarosz, wróciwszy do domu, zastał gospodarstwo w ręku matki i szwagra, męża starszej swjej siostry. Matka nie bardzo lubiła syna, któremu wyrzucała nieraz, że zdatniejszy do książki, niż do roli i do rzemiosła, a szwagier, człowiek chytry i przebiegły, mąż faworytki matczynej, także kobiety nieszczerój i do rodzeństwa nie bardzo przywiązanej, za pomocą własnej sztuki i żoninych przebiegów, potrafił całą ufność matki do siebie przeciągnąć. Zmiarkował prędko Stanisław Czarosz, że przyszło-by mu wojować, gdyby chciał opanować rząd domu. Że zaś żadnej do tego nie miał ochoty, że przytém marzenia jego gnały go w świat po kosztowne doświadczenie i kosztowniejsze jeszcze zawody, zostawił wszystko jak było, i zapewniwszy pomoc pieniężną drugiej siostrze, która równie jak i on nie miała łaski w domu, i idąc za popędem serca, za ubogiego poszła rzemieślnika, opatrzywszy się oraz ladajakim zasiłkiem i potrzebnemi papierami, poszedł w świat za oczy, jakto mówią, pożegnawszy się z matką i rodziną, i nie mówiąc nic nikomu, dokąd idzie, i kiedy wróci.

Nie będziemy go śledzić w jego wędrówkach, dosyć będzie nadmienić, że przechodził rozmaite stany, znajdował się w różnych położeniach, że wszędzie, gdzie się na obszernój ziemi naszej obrócił, stan jego chłopski stawał mu na zawadzie, i jak grzech pierworodny nie dopuszczał go do rajy wyniesienia, do którego nieraz widział już

przed sobą wrota otwarte. Tak przeszło mu lat kilkanaście. Do domu się nie zgłaszał i w awanturniczém życiu swém hartował swą duszę i umysł swój kształcił. Gdy doszedł do zupełnej dojrzałości, gdy stracił wszystkie iluzye młodego wieku, pomiarkował, że to, co uważał za przeszkodę do dojścia na wyższy stopień społeczności, zaprowadziło go w rzeczy samej na wyższy stopień, ale w mądrości i ocenieniu słuszném położen życia i stanów, na które się ludzkość rozdzieliła. Poczuł on wówczas swoją wartość, jako człowiek, i uznawszy się równym wszystkim, w jakiegokolwiekby się znajdowali sukni, byle im dorównywał rozumem i prawością, pokochał swój stan chłopski, podniósł głowę w odzieniu wieśniaczém, które przywdział, i wydoskonaliwszy się w rolnictwie i rzemiośle ojcowskiém, zrzuciwszy z siebie wszystkie pretensye do tego, czém nie był, poczuł się dopiero prawdziwie swobodnym i dumnym, gdy się we własnej skórze obaczył. Wkrótce postrzegł, że to jego postanowienie, ten jawny szacunek, jaki dla swojego stanu okazał, zjednały mu także szacunek i przyjaźń tych, którzy dawniej od niego stronili, lub cofali swe dłonie, gdy im w uczuciu swęj wartości rękę podawał. Teraz szukali go ci sami ludzie, i dłoń swą do niego wyciągali, dając mu do zrozumienia, że nie pochodzeniem gardzili, ale człowiekiem, który sam go nie szacował i wyrwać się z niego pragnął. Takim sposobem, przeszedłszy rozmaite koleje, powrócił Stanisław Czarosz na łono własnego stanu z zamiłowaniem i szacunkiem, a dowiedziawszy się, że matka i siostry pomarły, że została tylko dorosła już dziewczyna po młodszéj, ulubionéj jego siostrze, że dom rodzicielski nachylił się do upadku i dawny dostatek został zmarnowany,

powrócił do Halicza, i tu postanowił żyć i pracować, uprawiając rolę ojcowską i ojcowskiem trudniąc się rzemiosłem.

Przed kilku dniami, gdy stanął w rodzinném mieście i spostrzegł ludzi gromadzących się do kościoła, poszedł i sam wraz z innymi, aby zacząć od modlitwy. Nie wiedział o tém, że towarzysz młodości, przyjaciel szkolny, klęczał, jako oficyant, przed tymże ołtarzem, przed którym i on ukląkł. Twarz mężka i poważna ks. Pileckiego uległa zwykłym zmianom, że go poznać nie mógł, ale było coś w ruchach i głosie, co mu dawne czasy przypominało. Przypomnienie to tém żywszém się stało, gdy, przechodząc koło ławek, rzucił okiem na twarz Apolonii ku sobie zwróconą, która w rysach swych, delikatniejszych wprawdzie i piękniejszych, miała przecież charakter familijny i podobną była do brata.

Tegoż samego dnia dowiedział się o nazwisku proboszcza, lecz stłumił w sobie radość i powściągnął niecierpliwość widzenia się dopóty, dopóki-by nie wszedł w posiadanie domu ojcowskiego i nie załatwił formalności policyjnych i rządowych, co do tożsamości swój osoby i praw, jakie miał do swego dziedzictwa. Sądząc bowiem, że znajdzie w tém więcej trudności, niż znalazł; że może przyjdzie mu wyruszyć dalej, nie nie sprawiwszy; myślał wcale nie zachodzić do ks. Pileckiego, nie dać się poznać, aby nie rozdrażniać napróżno serca chwilowém przypomnieniem i potem wiecznym rozdziałem. Lecz gdy szczęściem w kilka dni rzecz się załatwiła, do czego pomogły papiery, które miał przy sobie, poszedł śmiało pod dach przyjaciela, pewny, że czas nie zatarł dawnych wspomnień, i że szlachetny młodzieniec dojrzał w męża równie

szlachetnego i pamiętnego na przeszłość. Widzieliśmy już, jaka była radość obudwóch, i jak sprawiedliwie Czarosz, doświadczony życiem, osądził tego, którego instynktem serca w młodości pokochał.

Gdy po jakimś czasie Apolonia weszła do tego pokoju, w którym dwaj przyjaciele siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce, stanęła we drzwiach cała zapłonna, i z podziwieniem i biciem serca patrzyła na tak niespodziewaną scenę. Ks. Pilecki, patrząc na nią z uśmiechem, rzekł:

— Przybliź się, Apolonio! wypełnię co do słowa twoją prośbę, której z początku nie rozumiałem. Patrz! oto jest człowiek, dla którego wszystko gotów jestem zrobić, czego tylko zażąda. Stanisławie! — dodał, obracając się do Czarosza i ukazując na zarumienioną i zmieszaną siostrę — oto jest moja siostra, moja ulubiona i jedyna siostra! kochaj ją, proszę cię, tak, jak kochałeś brata.

Czarosz powstał, wziął rękę Apolonii i, trzymając ją w swoich dłoniach, rzekł:

— Podobna do ciebie; tak prawie wyglądałeś, gdyś był młodszym. Kilka dni temu widziałem ją w kościele, nie wiedząc jeszcze, że tu mieszkasz, i twarz jej przypomniała mi słodkie chwile młodości. Winienem ci więc, piękna Apolonio, pierwszą radość, jakiej doznałem, powróciwszy z długiej włóczęgi do miejsca, gdzie się urodziłem. Dziękuję ci, serdecznie dziękuję!

— Sądzę, że to nie będzie ostatnia radość, jaką ję będziesz winien.

— Jak to rozumiesz, przyjacielu? — zapytał żywiec Czarosz.

— Naturalnie — odpowiedział ks. Pilecki — bo ona

cię kochać będzie, jak ja kocham, a sędzę, że cię to ucieszy nieraz.

— Dałby to Pan Bóg — rzekł Czarosz, spoglądając na pannę, która jeszcze nie mogła znaleźć słowa do odpowiedzi.

— Możesz-że o tém wątpić, przyjacielu! Patrz na nią — rzekł ks. Pilecki — czyż nie czytasz w jej twarzy i w jej spojrzeniu, że tak będzie, jak mówię? Apolonio! czy się mylę?

— Nie — odpowiedziała stanowczo, co obu zastanowiło.

— I będziesz go kochała? nie prawdaż?

— Będę i powinam. — To powiedziawszy, wyrwała rękę z rąk Czarosza i uciekła z pokoju.

Długo siedzieli obok siebie, milcząc, obaj przyjaciele, tak ich zadziwiło wzruszenie i dziwny wyraz twarzy Apolonii; nareszcie Czarosz powstał i chciał się pożegnać.

— Jakto? już uciekasz? — zapytał ks. Pilecki.

— Daruj, przyjacielu — odpowiedział Czarosz, wyciągając do niego rękę. — Pójdę odpędzić niedorzeczną myśl, która mi raptem zajechała w głowę, jak fura siana.

— Czy ta myśl tak ci przykra? — zapytał proboszcz z domyślnym uśmiechem.

— W moim wieku i mojem położeniu przykra, bo niedorzeczna i niepodobna do spełnienia. Przypomina mi ona — dodał Czarosz, trąc czoło — dawniejsze niektóre zachcenia, gdy się wciskał między ludzi, różnych ode mnie stanem i urodzeniem, gdy się starał suknią i powierchowną ogłądą zakryć przed ich okiem to piętno chłopstwa; które w szkołach jeszcze było-by moją męczarnią, gdyby mnie była twoja przyjaźń nie podniosła i nie

obroniła. Od lat kilku leczyłem się z tego głupstwa, a dziś chcesz, żebym w nie wpadł znowu?

— Wszakże Apolonia widziała twoją siermięgę — rzekł z uśmiechem ks. Pilecki, wyciągając do niego rękę — a przecież powiedziała ci, że cię kochać będzie, i powiedziała to bardzo stanowczo.

— Stanisławie! — odpowiedział Czarosz, odstępując — to żart niezupełnie przyjacielski. Nie musiałeś mnie zrozumieć, kiedyś go sobie pozwolił. Ja ci powiadam seryo, że gdym patrzył na piękne i zapłnione lice téj dziewczyny, gdym trzymał w ręku jęj drżącą rękę, przyszła mi myśl, którą uważam za niedorzeczność, za dawniejsze głupie zachcenie, której się wstydzę, którą chciałbym odpędzić od siebie; a ty się uśmiechasz i przypominasz mi, że twoja siostra przyrzekła mnie kochać. Że mnie kochać będzie jak swego przyjaciela, o tém nie wątpię. Ale do téj staręj głowy — dodał uderzając się w czoło — co innego raptem wlażło.

— Słuchaj, Stanisławie! — odpowiedział ks. Pilecki — ja ci także mówię seryo, że gdym patrzył na ciebie, na twoją twarz czerstwą i poważną, na twój włos jeszcze czarny, i tylko gdzie niegdzie siwiejący; gdym widział obok ciebie ładne i zapłnione lice mojęj siostry, i jęj rękę w twojęj ręce; gdym pomyślał, że ona dobra i gospodarna, rozumna i pełna uczucia; przyszła mi także raptem myśl, którą uważam za mądrą, za zbawienną, i której odpędzać od siebie nie chcę, ale owszem karmić ją będę i wszelkimi siłami do skutku przyprowadzić postaram się. Czy to uważasz za żart, stary przyjacielu? — dodał rozrzuwniony ks. Pilecki, wyciągając do niego rękę. Czarosz rzucił się w jego objęcie, i po chwili odstępując, rzekł:

— Stanisławie! ja mam czterdziesty trzeci rok.

— A ona ma dwadzieścia sześć — odpowiedział proboszcz.

— Jam chłop, Stanisławie.

— A ona ma rozum, drogi przyjacielu, i serce, zdolne ocenić człowieka, a nie jego surdut. Ja i rodzina moja powinniśmy być przykładem we wszystkiém dobrem, i pierwsi wyłamywać się z téj skorupy, która na nas obrosła, i przez czas stwardniała, ale nie jest ciałem naszego ciała, ani krwią krwi naszej.

— Jam ubogi, Stanisławie.

— A ona gospodarna i pracowita, przyjacielu.

— Ależ czyż ona mnie zechce? stary argumentatorze! sprzedajesz wróbla na dachu.

— To, to insza kwestya — rzekł proboszcz. — Poradzić mogę; dać poznać, że mnie to zrobiło-by bardzo szczęśliwym, także mogę; ale przyniewolić nie, to już do ciebie należy, i do Tego — dodał, podnosząc rękę ku niebu — który cię tyle lat wodził po świecie, i przyprowadził napowrót tu z sercem nieskażoném i niezajętém.

Czarosz ścisnął jego rękę i rzekł z uśmiechem, w którym malowało się szczęście obecnej chwili:

— Nie spodziewałem się, mój dobry Stanisławie, że wyjdę od ciebie z takimi myślami. Sądziłem, że ta chwila poświęcona będzie całkiem przeszłości, a tymczasem niespodziewanie rzuciłeś całą myśl moję w przyszłość.

— Czy tym, czy innym sposobem odmłodziłem cię — odpowiedział proboszcz. — Ale zostawmy to czasowi. Twój widok dziwne jakieś na nią zrobił wrażenie. Uważałem to, chociaż zupełnie nie wiem, jaka może być tego przyczyna. Jeżeli taka wola Boga, i takie wasze przezna-

czenie, to się prędko wyjaśni. To ci tylko powiem, że przed kilku laty miała dwóch konkurentów, i to takich, jakich-by żadna dziewczyna, nawet lepiej uposażona od natury i losu, nie odrzuciła. Nie chciała ich. Gdym pytał czemu? odpowiedziała mnie: jeszcze nie czas. Gdy się zjawi ten, którego mi Bóg nazначzył, sama ci, bracie, powiem: daj mi go, on mój. Otóż, kto to wie? może ta chwila nadeszła, może tym naznaczonym dla mojej drogiéj Apolonii jesteś ty.

Umilkł proboszcz, Czarosz przechadzał się zamyślonny, a wtém drzwi się otwarły i weszła Apolonia, niosąc na tacy kawę, parę filiżanek i dwa małe garnuszczyki doskonałej śmietanki.

— Otóż widzisz, przyjacielu — rzekł proboszcz — tak ona zawsze myśli moje zgaduje.

— Sądziłam, że taki posiłek nie będzie nie w porę — rzekła śmielej już Apolonia. — Jeżeli pozwolicie, to wam sama ponalewam.

— Kiedy tylko dwie filiżanki — rzekł Czarosz.

— Chciałeś pan powiedzieć, że trzeciéj dla mnie niema? — odpowiedziała z uśmiechem i krzątając się z uprzejmością. — Już ja pamiętam o sobie i piłam. Braciszku! nie prosisz gościa?

— Alboż to moja rzecz? — odpowiedział proboszcz — tyś tu gospodyni.

— To bierz-że sobie — rzekła do brata — a ja powinność moję spełnię.

To powiedziawszy, nalała kawy, i z wdziękiem przystąpiła z nią do Czarosza, który stał z boku i przypatrywał się jéj poruszeniom.

Późno już w wieczór rozeszli się. Czarosz wrócił do

domu szczęśliwy i marzący, a Apolonia długo jeszcze słuchała opowiadania brata, w którym była historia ich młodości i ich przyjaźni.

Z energią i nakładem całego prawie kapitaliku, który przyniósł z sobą, wziął się Czarosz do dzwignienia ojcowskiego gospodarstwa i przemysłu. Dom także wymagał znacznych reparacyi, i te jednocześnie przedsięwzięte zostały. Wszystko rosło pod ręką przemysłną i pracowitą wykształconego chłopą, który umiał i zakierować robotą, i sam się jój nie wstydził. Ale bo też i piękne ożywiały go nadzieje. Z całą serdecznością i pokojem człowieka dojrzałego pokochał on Apolonią. Ona widziała to, i w postępowaniu jój widać było uległość przeznaczeniu, ale niewymuszoną, niezasępiającą jój czoła, nie napełniającą jój oka tajonemi łzami. Owszem, im bardziej poznawała Czarosza, tém widoczniej rozlewało się na jój twarzy jakieś szczęście, które ją coraz piękniejszą czyniło. Obchodzenie się jój z przyjacielem brata było pełne swobody, było nacechowane uczuciami szacunku dla jego charakteru i rozumu, i wdzięcznością za każdą oznakę przyjaźni, jakie od niego odbierała.

Był to szczególny romans, który się zaczął od pierwszego dnia, ale ani o jeden ton nie podniósł się w melancholicznych wejrzeniach, westchnieniach i t. d.,— owszem przeszedł w najlepszy humor, w wesołe i poufale rozmowy, w zażyłość przyjacielską i pełną powabu. A chociaż ani z jednéj, ani z drugiejj strony żadnych nie było oświadczeń, żadnéj wzmianki o miłości, żadnego napomknienia o dalszém, wspólném życiu, obie strony były prawie pewne, że już do siebie należą i że je tylko śmierć rozłączy.

Gdy po trzech miesiącach takiego życia dom Czarosza był już prawie gotowym i zamykał wszystkie sprzęty, których wymagała nie ozdoba, ale wygoda, poszedł ks. Pilecki z Apolonią obejrzyć go i udzielić aprobacją, lub, gdyby było potrzeba, jaką radę. Wszystko znaleziono stosowném do potrzeby i stanu zamożnego wieśniaka. Żaden sprzęt nie zdradzał jakiegós pretensyi szlacheckiej, i nie okazywał, że Czarosz miał myśl wprowadzić do tego domu szlachciankę, przywykłą do innego życia. W pierwszej izbie był duży stół lipowy i stołki także z poręczami, o które można się było oprzeć. Była szafa ze stołową bielizną i naczyaniem, biała, prosta, ale pełna. W drugiej izbie, równie obszerniej i czystej, było parę stołów mniejszych, parę szaf na rzeczy, skrzynia porządna i okuta, ławy szerokie i czyste, stołki wygodne i niewykwintne. Stołki nakryte były kilimkami, niedrogiemi ale dobranemi z gustem i prostotą, a na ławach były materace, okryte kwiecistém płóciennikiem. Trzecia izba, przeznaczona widocznie na sypialnię, chociaż w niej łóżka nie było, z równą prostotą i wygodą przystrojona, tém tylko zdradziła swoje przeznaczenie, że nad tém miejscem, gdzie miało stać łóże, był obraz Matki Bożej, z dzieciątkiem na ręku, a przy oknie była ciemna firanka, która je dobrze zasłaniała. Z téj izby było wyjście do komory, z półkami pełnemi różnych wiktuałów, i rzeczy do użytku dobrej gospodyni służących. Z komory można było wyjść innemi drzwiami do sieni, ciągnących się przez całą szerokość domu i mających drzwi jedne na ogród, drugie na dziedziniec. Z drugiej strony sieni była wielka izba czeładna, a dalej warsztat stelmacha i kołodzieja.

Przez czas pokazywania i obchodzenia całej zagrody,

Apolonia milczała, nie chwając, nie ganiąc. W izbach mieszkalnych, a zwłaszcza w trzeciej, Czarosz ukradkiem poglądał na nią, ale oczy jej były spuszczone i wyraz twarzy spokojny. Gdy, skończywszy przegląd, wrócili do średniego pokoju, ks. Pilecki, chcąc już rzecz doprowadzić do szczęśliwego końca, odchrząknął i, obracając się do siostry, zapytał :

— Apolonio! jakże ci się ten domek podoba?

— Bracie! — odpowiedziała wówczas — dla czego tak z daleka zaczynasz? Nie to chciałeś powiedzieć.

— Więc ja powiem — odezwał się Czarosz, przystępując do niej i biorąc obie jej ręce. — Apolonio! tu wszystko proste, chłopskie...

— Ale serce czyste i prawe pod sukmaną wieśniaka — przerwała mu Apolonia, ściskając jego rękę. — Ja tu będę szczęśliwą, Stanisławie! bo wiem oddawna, żeś tobie przeznaczona.

Uchwycił ją w objęcia Czarosz, przycisnął do serca, ona złożyła pocałowanie na jego czole, i wyrwawszy się z rąk jego, padła na kolana przed bratem.

— Bracie i opiekunie! — rzekła — com ci kiedyś mówiła, sprawdziło się: oto mąż dla mnie naznaczony! błogosław jako kapłan i ojciec.

Czarosz klęczał także przy niej, a ksiądz Pilecki ze łzą w oku, trzymając na ich głowach swe ręce, cichą, rzewną i słyszaną w niebie mówił modlitwę.

We dwa tygodnie potem zebrany był przed kościołem tłum ciekawych, których tam ściągwał mający się odbyć ślub wieśniaka Czarosza z siostrą księdza kanonika Pileckiego, urodzoną z pra-pradziadów, piękną i edukowaną, o którą starał się dziedzic Chorostkowa i posesor Wojni-

łowskiego klucza, których ręki przyjąć nie chciała, a za chłopą i kołodzieja poszła. Różni różnie o tém mówili, ale wszyscy umilkli zadziwieni, gdy obaczyli szlachetną i pełną rozumnego wyrazu twarz Czarosza, na którym biała sukmana z czarnemi wypustkami leżała ozdobniej i dumniej, niż frak na innym, — gdy obaczyli Apolonię w stroju miészczki halickiej, tak kształtnym, tak malowniczym, a który cudnie na niej leżał i dziwnie piękną ją czynił. Przemowa ks. Pileckiego, krótka, ale z uczuciem i prorockim natchnieniem, malująca braterstwo wszystkich stanów, do reszty zamknęła usta najdowcipniejszym żartownisiom.

Tak więc szczęśliwa para, po skończonej uroczystości, przeszła jakby tryumfalnie wśród życzeń znajomych i przyjaciół, wśród zadziwionych własnemi uczuciami spektatorów. I w rok potem z chłopą i szlachcianki, w tój saméj izbie, gdzie wisiał obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręku, urodził się chłopczyk, któremu na chrzcie świętym dano imię Gabryel.

VIII.

Nie było w całej okolicy szczęśliwszej i bardziej dobranej pary. Nie uniesienia młodości, nie zapach nierozumnych kochanków, nieznających jeszcze życia i jego warunków; ale przywiązanie stateczne dwojga ludzi dojrzałych, ale przekonanie głębokie o świętości powołania małżonków i rodziców, ale słodka przyjaźń dwóch dusz, zgodnych we wszystkiém, zaprawiana jeszcze rozkosznym związkiem dwóch ciał zdrowych i energicznych, ale ciężka praca, umiarkowanie we wszystkiém, wyrzeczenie się

wszelkiej próżności, a ztąd podwojone zdrowie i duszy, i ciała: oto były pierwiastki tego szczęścia, jakie się stało ich udziałem. Nawet przypadkowe, zewnętrzne okoliczności nie psuły tego pomyślnego bytu, jaki sobie ci ludzie rozumem, cnotą i miłością wyrobili. Zdawało się, że ten sam anioł, który ich połączył, czuwał nad nimi i odsunął każdą gorycz od téj czary, z której pili słodycz wspólnego pożycia.

Wszyscy z radością i szacunkiem patrzyli na tę dziwną parę. Czarosz zjednał sobie prędko przyjaźń i przychyłność swoich sąsiadów, Apolonia była cytowana jako wzór żon, matek i gospodyń. Kiedy, jaśniejąca pięknoscią i zdrowiem, niosła na ręku jasnowłosego Gabryela, dziecię cudnej piękności i uśmiechające się do przechodniów, gdy tak ustrojona najpiękniejszą koroną kobiety, swém macierzyństwem, szła do kościoła obok męża, pełnego powagi i miłości, wszyscy na nich oczy zwracali i niejeden elegancki kapelusz uchylił się przed białą siermięgą rozumnego wieśniaka, i przed gorsetem manszestrowym i spodnicą kwiecistą i jasną dobrowolnej wieśniaczki.

Wszakże taki stan, gdyby był potrwał długo, byłby nienaturalnym na ziemi, której pemyślność, jakkolwiek zasłużona, zdaje się tylko chwilowym snem, przenoszącym nas do utraconego na zawsze raju. Ledwie lat sześć żyli z sobą rodzice Gabryela. I kiedy chłopczyk jeszcze nie rozumiał, co to jest śmierć, co żałoba, ujrzał ojca na katafalku i matkę we łzach i w czarném odzieniu. Cios to był niespodziany i wielki, ale i siła moralna kobiety, którą dotknął, wyrównywała jego natężeniu. Na łonie religii i świętych obowiązków matki znalazła Apolonia wszystkie pociechy, jakie przyjąć może serce ufne i mężne,

w podobnym położeniu znajdujące się. Odtąd Gabryel stał się jedynym przedmiotem jej miłości. Prowadziła go za rękę drogą życia, z wytrwałością i poświęceniem bezprzykładnym. Nie psuła go pobytem, ale uczyła rozumieć miłość i jej troskliwe napomnienia, wlewała w serce jego wiarę w każde swe słowo, i nauczysz go szczerości, jawnego działania pod oczyma matki, dawszy mu to przekonanie, że oko jej czuwa nad każdym jego krokiem, że serce jej boli i ostrzega ją o każdym błędzie, którego by się dopuścił wtenczas, gdy na niego nie patrzy, — przyprowadziła chłopca do czuwania nad sobą, do świętego zachowania obietnic danych matce, wychowała go w takiej czystości uczuć i myśli, że nie do tej pory nie skaziło dziewictwa jego serca i jego ciała.

Gospodarstwo, przez męża zostawione, szło swoim trybem, chociaż nie na tak wielką skalę. Ograniczyła się w tej mierze Apolonia, nie dla tego, aby zatrudnieniu temu wydostać nie mogła, ale aby miała więcej czasu do czuwania nad synem i pielęgnowaniem jego głowy i serca. Skutek uwieńczył jej usiłowania. Gabryel wyrósł, piękny i dorodny, jak Apollo, silny i czysty duszą i ciałem, kochający matkę nad wszystko w świecie, i wielbiący wuję, który jej we wszystkiem pomagał i którego przywiązanie Apolonia nieraz powstrzymać musiała, aby nie przeszło w słabość i młodzieńca nie zepsuło.

W domu Apolonii nic się nie zmieniło od tego czasu, jakeśmy go widzieli w uroczystym na przyjęcie gospodyni przygotowaniu. Te same trzy izby jaśniały i teraz czystością, prostotą i porządkiem; ten sam stół stał w pierwszej, też stołki i ławy w drugiej; toż samo łóżko, pod obrazem Bogarodzicy, w trzeciej. Nie tak pełna

była izba czeladna, nie taki ruch na warsztacie, ale w zmniejszonej liczbie domowników i pracującej czeladzi panowała też sama karność i posłuszeństwo, a na twarzach ich też sama czerstwość, wesołość i dobra wola dla gospodyni rozumnej i czujnej. Całe obejście domowe, wszystkie budynki gospodarskie nie okazywały najmniejszego śladu upadku; drzewa tylko, które zdobiły sad, rozrosły się i obfitszy przynosiły owoc, i dąb na dziedzińcu, o którym wspominał Gabryel, zmężniał, urosł i wyżej ku niebu podniósł gniazdo domowego bociana, połączonego w myśli naszego bohatera ze wszystkimi wspomnieniami jego dzieciństwa.

Wszakże te dwa lata, które Gabryel był we Lwowie, zostawiły ślad swego przechodu. Apolonia w życiu samotnem i w tęsknocie za jedynakiem, którą jak mogła zwyciężała i tała, znacznie się zestarzała. Włosy jej posiwiały od ustawicznego myślenia i przenoszenia się w dalekie strony, czoło i twarz okryły się zmarszczkami i cała postać pochyliła się ku ziemi. Spostrzegać się nawet dawało pewne opuszczenie się w stroju, który dotąd, przy swój wieśniaczęj prostocie, był zawsze wzorowej czystości i okazywał jakąś wrodzoną elegancyą. Druga odmiana, którą miał zastać Gabryel, była ta, że na miejscu jego łóżka, w sypialnej izbie matki, gdzie zawsze sypiał, stało teraz łóżeczko dziewicze, białą kołderką okryte, i ustrojone w obrazki i kwiatki, z dziwną troskliwością pielęgnowane i zawsze świeże i wonne. Było to łóżko szesnastoletniej Agaty, która po wyjeździe Gabryela, zostawszy sierotą, miejsce jego zajęła i została w tym domu, który się stał jedynym jej przytułkiem.

Agata była wnuczką ulubionej siostry Czarosza. Po-

wiedzieliśmy już, że Czarosz, powróciwszy ze swęj wędrówki, zastał tylko dorosłą córkę swęj siostry, którą najtroskliwszą otoczył opieką, i wkrótce za mąż wydał. Ale biedna kobieta nie miała szczęścia w tym związku. Młody rzemieślnik, którego została żoną, póty tylko był dobrym, pracowitym i pilnym, póki żył Czarosz i troskliwie nad nim czuwał. Ale po śmierci jego odezwała się niesforna natura, i złe wychowanie przypomniało mu dawne nałogi. Po kilku latach swobody i hulanki, pijak ten i rozrzutnik umarł, zostawiwszy wdowę i córeczkę Agatę, niezupełnie w nędzy, gdyż żona wszystkiego stracić mu nie dała, ale w stanie dosyć blizkim tego położenia, tak okropnego dla każdej wdowy, gdy ma do wychowania nie tylko siebie, ale jeszcze i dzieci.

W tym przykrym stanie Apolonia i ksiądz Pilecki dawali jęj zawsze skuteczną pomoc, tak, że przy gospodarności i oszczędzaniu mogła się jakkolwiek utrzymywać i wychowywać pieścidełko i jedyną pociechę swoję, żywą, figlarną i dziwnie piękną Agatę. Miała wtenczas Agata lat czternaście, gdy Gabryel dom matki opuszczał i do Lwowa się udawał dla wyuczenia się filozofii. Rozkoszna i rozpieszczona dziewczyna, żegnając się z nim, a zawsze nazywała go wujciem, Apolonią zaś babunią, śmiała się, swywoliła, i gdy wszyscy obecni płakali, rzekła :

— Pamiętaj wujciu ! żebyś mi wyrósł i jeszcze ładniejszy wrócił, niż teraz jesteś. Masz czasu całe dwa lata. Przez te dwa lata ja także wyrosnę, jeszcze ładniejszą będę niż jestem, i kochać cię będę. — To mówiąc gładziła go po twarzy i całowała, a chłopiec nie zważał na to bynajmniej, oswojony z jęj swywolą, a za łzami i żalem

nie miał czasu odpowiedzieć na jej karesy i słów jej zapamiętać.

Co do pierwszego Agata dotrzymała słowa. Wyrosła, dojrzała i rzeczywiście stała się jeszcze ładniejszą, niż była. Rysów nie miała zupełnie regularnych, wzrostu słusznego, ale w twarzyczce jej kształtnej było tyle fizyognomii, tak wiele wyrazu żywości, życia, figlów; oczy jej duże, piwne, osłonięte gęstemi rzęsami, tak wiele mówiły, usteczka koralowe tak ładnie i tak serdecznie się śmiały, okazując ząbki drobne i białe; figurka jej niewielka, ale giętka i zgrabna, tak kształtnie była wcięta, tak rozkosznie umodelowana, tak elastycznie podnosząca się na nóżkach małych i lekkich: że Agata była pieścidełkiem wszystkich, którzy ją znali. A gdy, zaczesawszy gładko ciemne swe i lśniące włosy, spleła je w długie dwa warkocze, zakończone ponsowemi wstążeczkami; gdy nad skroniami zatknęła w nie różę lub parę gwoździków; gdy białą i cienką koszulę z wyłożonym małym kołnierzem zawiązała pod szyją czerwoną wstążeczką, a na siebie wdziała morderowy gorsecik, krótką i fałdzistą spódniczkę, elegancki fartuszek; stąpała zgrabnie i lekko małą i ładnym trzewikiem na koreczkach odzianą nóżką, i tak przechodziła z poważną Apolonią do kościoła: wszystkie oczy na nią się zwracały, wszystkie usta starały się do niej uśmiechać. Zdawało się, że śmierć matki, która nastąpiła w parę miesięcy po wyjeździe Gabryela do Lwowa, nie zrobiła na żywej i swywolnej dziewczynie wielkiego wrażenia. Płakała ona, modliła się serdecznie za pokój jej duszy, ale wkrótce śmiech figlarny znalazł się w jej oczach i śpiewka na ustach. To spostrzeżenie odstręczyło od niej trochę serce Apolonii, lecz gdy ją wzięła całkiem do siebie, gdy

pod jęj okiem rosnąc i rozkwitając, mimo żywości, mimo swywoli, mimo naśmieszek to z tego, to z owego, okazywała swęj opiekunce najczulszą wdzięczność, gotowa była na każde jęj skinienie, uprzedzała wszystkie jęj chęci i zgadywała myśli; zniechęcenie to znikło, i w sercu Apolonii znalazło się dla tęg skaczącęj i śpiewającęj sieroty matczyne przywiązanie. Patrząc nieraz na jęj krzątanie się, na jęj ruchy zgrabne i żywe, słuchając jęj szczebiotania, lub śpiewek pełnych harmonii i wdzięku, przypominając jęj dobre serce, które się przebijało śród swywoli i skłonności do żartów, czystość jęj myśli, niewinność jęj uczuć, przyjmowanie obojętne widocznego uwielbienia wszystkich, bez najmniejszęg kokieteryi i wyzywania pochwały; myślała sobie Apolonia, że może tęg Gabryel, jak wróci, oceni tak cudną dziewczynę, i już w sercu macierzyńskiem snuła złotą dla dzieci swych osnowę.

Otoż w takim-to domu, i w takich sercach list, dwa dni temu wyprawiony ze Lwowa, nadzwyczajną obudził radość i oczekiwanie. Gdy go przynieśli, poznała Apolonia rękę syna, a że przybycia jego samego spodziewała się, zdziwiła się cokolwiek i pierś jęj zadrżała przedwczesną i urojoną trwogą. Usiadła więc w dużém krześle z poręczami, staroświeckięj formy, ale wygodném, które jęj brat podarował, gdy się starzęc zaczęła, i trzymając list w rękę i nie śmiejąc go otworzyć, tak siedziała przez chwilę. Ale nareszcie zdecydowała się i zaczęła czytać. Za jęj krzesłem, oparta na poręczy, stanęła cicho Agata i przez ramię babki także czytała. W miarę czytania wyjaśniało się lice poważne, ale jeszcze piękne, staręg kobiety, uśmiech szczęścia, połączony jakby z dziekczynną modlitwą do Stwórcy, że jęj takiego dał syna, osiadł

na jęj ustach i dziwny na całą twarz rozlał wyraz. Sliczna twarzyczka Agaty, która tuż za głową babki jaśniała zdrowiem i młodością, miała także wyraz ukontentowania, że wujcio zdrów i powraca, wyraz jakiegoś niewysłowionej nadziei, że może myśli o niej wracając i ucieszy się, gdy obaczy, że tak wyrosła i wyładniała, i jakiegoś z dąsami połączonego smutku, gdy przyszło do końca, a o niej ani wzmianki, ani słówka.

Apolonia, przeczytawszy list, wzięła go w obie ręce, przycisnęła do ust i do serca i zawołała: — Dzięki ci Boże! — a potem, obracając się do Agaty, rzekła:

— Agato, Gabryel przyjedzie jutro, lub pojutrze.

— Wiem, babciu, wiem! ale to źle, że o mnie zapomniał, ani jednego słóweczka. — Potem, oparłszy się jedną ręką na poręcz krzesła, a drugą biorąc list, dodała: — Pokaż-no mi, babciu, gryzmolenie tego ślicznego wujcia; może tam jest co o mnie, choć gdzie na końcu, choć gdzie w jakim kąciku; bo wiesz, że ja nie umiem dobrze czytać pisanego, a ty, babciu, tak prędko czytałaś, że za tobą zdążyć nie mogła.

Gładząc jęj ładną główkę i całując ją wesoło, odpowiedziała Apolonia z uśmiechem:

— Próżnobyś szukała, moje dziecko; nie ma tam nic o tobie. Ale pewna jestem, że Gabryel myśli teraz i o tobie, zbliżając się do domu.

— Ach! to mi śliczna pociecha, moja babciu! Ja wiem o tém, że kiedy myśli o domu, do którego dąży, to i ja mu się zakręcę w głowie, tak nawiasem, jak nasz ganiek i komin. Ale już z tego co napisał widać, że więcej myśli o naszym bocianie, który i teraz stoi na jednej nodze i za Dniestr patrzy, jakby go wyglądał, niż o mnie. Ale

nie nie szkodzi, zapłacę ja mu za to, niech tylko zdrów przyjedzie.

— O! to dobrze mówisz, niech tylko zdrów przyjedzie!

Wśród takiej rozmowy nadszedł ksiądz Pilecki, który także swój list odebrał i pośpieszył do siostry, aby z nią o wspólném szczęściu pomówić. Rzuciła się w objęcia brata uradowana Apolonia, i po pierwszych wynurzeniach radości, zaczęła się długa rozmowa o przybywającym filozofie; zaczęły się spory i certowania, gdzie ma mieszkać, nim o dalszém jego pomieszczeniu pomyślą. Stanęło nareszcie na tém, że pierwsze kilka tygodni przebędzie u matki, a potem przeniesie się do wuja, aby mógł swobodniej zająć się pracą, jaką dalsze jego przeznaczenie wskaże.

Pomimo tak słodkich nadziei, źle jednak spała téj nocy Apolonia. Głowa jęj nabita obrazem syna, rojąca, jak wszystkie głowy matek, rozmaite niebezpieczeństwa, które mogą spotkać w drodze jedyne jęj dziecko, nie spoczęła i we śnie, i dalej snuła też same myśli, też same obawy, tylko bez porządku i ładu czuwania. Apolonia, nim zasnęła, uklękła przed swoim łóżkiem, gorąco się modliła, tą modlitwą macierzyńskiego serca, od której nie ma szerszej, nie ma czystszej na ziemi. Wtenczas przyszedł jęj na myśl mąż i westchnęła za jego duszę; przyszedł oraz na myśl ów anioł, którego w snach dziewiczych widziała, i w którego czuwanie nad sobą nie straciła wiary; westchnęła więc i teraz do niego i błagała go, aby skrzydłem swém i głowę syna jęj osłonił. Wśród takich myśli i takich obrazów zasnęła. I zdawało się jęj, że ją anioł zbudził ze snu, wyprowadził na dziedziniec i kiwając

ręką, ukazywał drogę za Dniestr. Ona zrozumiała go, pobiegła prosto na dół, przesliznęła przez ciche koryto rzeki, nie zmoczywszy nogi, i dostała się na jakieś puste miejsce. Tam obaczyła syna, który leżał na wznak, pierś jego była odkryta, twarz blada, a na czole i na sercu świeciło coś okrągłego. Gdy się nachyliła, obaczyła pieńdz złoty, nowy i błyszczący, wrosły w jego piersi i głowę. Chciała go zbudzić, i nie mogła; chciała wydrzeć z ciała mamonę, która się w nie wpiła, i nie mogła. Zalałamała więc ręce, płakać zaczęła, i wówczas przyszedł do niej mąż z twarzą smutną i surową, i odprowadził ją od tego widoku.

Gdy dręczona takim widziadłem obudziła się, obaczyła przed sobą Agatę w koszulce, z rozpuszczonymi włosami, z twarzą przelekłą, na którą przez szparę firanki padało światło księżyca.

— Babciu! — zawołała dziewczyna — co tobie? tak okropnie jęczałaś!

— Ach! nie, moje dziecię: zapal świecę, bo mi straszno!

Poszła dziewczyna do kuchni, zbudziła sługę, i wracając do izby z zapaloną świecą, zastała Apolonię modlącą się i płaczącą.

— Ej, babciu! babciu! — rzekła — ledwiebym się nie założyła, że to ten śliczny wujcio jakoś ci się źle przyśnił. Otóż widzisz, babciu, i mnie on się przyśnił, a przecież ja nie płaczę, tylko zła jestem.

— Jakże ci się przyśnił? — spytała Apolonia, sądząc, że znajdzie zniszczenie swego widzenia we śnie dziewczyny.

— Ach! nie bardzo dobrze — odpowiedziała, spuszczając oczy i rumieniąc się. — Zdało mi się, że chodziła

sobie po Dniestrze, zaczerpywała z niego wodę, umywała ręce i twarz, żeby być ładną na przybycie wujcia. Potém obaczyłam go zdaleka i biegłam po wierzchu fal, tak doskonale, jak po piasku na brzegu. A gdym się zbliżyła, obaczyłam go, że taki był piękny, tak mnie coś do niego ciągnęło, że ażem się przelekleła. I wyobraż sobie, babciu, chciałam go pocałować, a on w jednej ręce miał pełno złota, a drugą położył ciężko na mojej głowie i na dno Dniestru mnie popchnął. I wtenczas dopiero fale otworzyły się i ja utopiłam się. Czy można, żeby się coś podobnego przyśniło, proszę babci? a to wszystkiemu ten list winien. Gdyby był pamiętał o mnie, przysłał mi całusa, lub przynajmniej zapytał, czy ja żyję i czym zdrowa, nie byłabym się gniewała na niego zasypiając, i byłby mi się inaczej przyśnił. Ale w sny nie trzeba wierzyć, nie prawdaż babciu?

— Ukłęknij, moje dziecię, zmów jeszcze raz pacierz i idź spać — odpowiedziała jej na to Apolonia. I wkrótce obie leżały w pościeli. Agata spała cicho, smacznie, snem lat szesnastu, snem serca, które się jeszcze nie ocknęło. Apolonia nie zamknęła oka, tak ją dręczyły myśli, z których sprawy zdać sobie nie mogła, a które nawet modlitwą odpędzić się nie dały. Nareszcie słońce zeszło, dzień zajrzał do okien, a z nim wrócił porządek do głowy i trwogi na niczém nieugruntowane uciekły.

Od rana zaczęły się przygotowania w domu na przyjęcie drogiego gościa. W drugim pokoju przyrządzono mu łóżko. Agata prasowała i nawlekała poszewki na poduszki, podszyła wełnianą kołdrę czystym i cienkim prześcieradłem, zwijała się, krzątała więcéj jeszcze niż matka, która w komorze przeglądała przygotowaną dla niego bie-

liznę, świeżo i własną jęj rękę uszytą i niedawno przepraną i złożoną. Wśród tego zakrętu mówiła dziewczyna do babki :

— Moja babciu ! powiedz-że wujciowi, żem ja lepsza od niego, że to ja jemu zasłałam łóżko, nawlekłam poduszki, podszyłam kołdrę. Niech tęż się zawstydzi trochę, że o mnie zapomniał. Bo ja do niego nie zagadam i długo bardzo gniewać się będę.

A jednak, gdy przed wieczorem przyszedł znowu ksiądz Pilecki i postanowili pójść do przewozu naprzeciw Gabryela, ustroiła się Agata tak, jakby w jakie święto szła do kościoła. W ciemnych jęj włosach tkwiła lewkonia ; koszulka jaśniała jak śnieg, z pod kołnierzyka związanego wstążeczką, wychodziły trzy sznurki długich korali, spuszcających się coraz niżej na piersi wystające i podniesione jeszcze ciemnym manszestrowym gorsecikiem, w drabinkę zasnurowanym. Spódniczka była nowa, fartuszek biały i przezroczysty, trzewiczki czarne na korkach, ale tak obcisłe, tak maleńkie, jak u dziecka ; na tém wszystkiém kaftaniczek popielaty nie dochodzący do kolan, z przodu otwarty, z czerwonymi klapkami, ale tak zgrabny, tak wcięty w stanie, że całą figurkę i cały strój spodni można było doskonale widzieć.

Spojrzeni po sobie brat i siostra i uśmiechnęli się nieznacznie, gdy do nich weszła Agata. Poznała ona, że starzy odgadli myśl kokieteryi, która przewodniczyła całej jęj toalecie, i zaczerwieniła się od wstydu. Ale z tym rumieńcem na cudnej twarzyczce, z tém okiem zwilżoném i błyszczącym, tak jęj było pięknie, tak coś czarującego i lekkiego w całym jęj ułożeniu i jęj ruchach, że ją i matka uściskała, i ksiądz Pilecki pocałował w czoło.

Już wieczór zaczął się nasuwać, gdy opuścili brzeg Dniestru, wracając powoli pod górę, oglądając się co chwila na zwięzające się coraz koryto rzeki, w miarę tego, jak się od niej oddalali. Gabryel tego wieczora nie przybył. Wszakże i Apolonia, i Agata lepiej tę noc przespały. Bezsenność poprzedniej nocy, świeże powietrze nad rzeką i fatyga pokonały niepokoje matczyne i odeгнаły przykre widzenia. Za to nazajutrz, gdy się zbliżyło i minęło południe, Apolonia, rozliczając odległość i siłę koni, o których ję w liście swym napisał, już bardziej seryo i z rozmysłem trwożyć się i niepokoić zaczęła. Ksiądz Pilecki przyszedł także wcześniej, niż wczoraj. Choć perswadował siostrze, sam jednak był już zakłopotany. Dla odpędzenia trwogi ruchem ciała, co jest doświadczonem lekarstwem, postanowili zaraz pójść do przewozu. Ale tylko co ten projekt stanął, i Agata, która była dotąd w zwyczajnem domowem ubraniu, miała pobiedz do komory, żeby się trochę ogarnąć, chociaż już na ukaranie wujcia za to, że tak długo czekać na siebie dawał, stroić się nie myślała, gdy raptem drzwi się otwarły i młodzieniec rumiany i czerstwy, silny i wzrosły, z czołem jasnym i szerekiem, z błękitnemi pełnemi łez oczyma, wpadł do izby i rzucił się do nóg matki.

Jakie było przywitanie, któż to wypowie? jak silnie, jak prędko biły te serca, któż to zmierzy i wyrachuje? Ale potrzebaż ludziom malować uczucia syna, wracającego pod dach rodzinny, uczucia matki, ściskającej w objęciu swém wróconego ję jedynaka, uczucia świętego człowieka, który wychował duszę młodzieńca, i teraz przypatruje się dojrzewającym ję wdziękom?

Gdy Apolonia, którą rozrzewnienie i radość zmogły,

usiadła bez sił na krześle, gdy Gabryel, klęcząc przed nią, ścisnął jej kolana, a kapłan, stojąc z boku, rękę swą na głowie jego trzymał; Agata, o której w tej chwili wszyscy zapomnieli, usunęła się na stronę, i zapomniawszy figlów i swywoli, na które gotowała się przy powitaniu wujcia, zasmuciła się biedna, usiadła w kąciку, i przyłożywszy paluszek do ust zaciśniętych, pomyślała: — Mój Boże! mój Boże! jakież on piękny! jacy oni szczęśliwi! a na mnie nikt nie spojrział, zapomnieli o mnie! — I stan jej sierocy przyszedł jej na myśl, z ócz potoczyła się łza, piękna postać Gabryela boleśnie jakoś zaryła się w duszę, a ciało mimowolnie owiał ten chłód, jaki w śnie przeszłej nocy na dnie Dniestru uczuła.

IX.

Gdy piękny Gabryel cieszył się domem, widokiem matki, rozmową wuja, gdy bawiąc się wesołością i swywolą Agaty, która prędko zapomniała o chwilowym swym smutku, patrzył obojętnie na jej wdzięk i urodę, i nie myślał wcale, jaki robak wkładał się coraz głębiej do serca tego kwiatka; w tym samym czasie niedaleko od Firlejowa, w pałacu hrabiów Tumierskich w Dusanowie, był wielki ruch i cały dwór na nogach oczekiwał do późna swęj pani. Miała ona tego wieczora przybyć ze Lwowa, i naznaczyła godzinę, w której przybędzie. Że to była kobieta kapryśna, despotyczna, wymagająca, choć młoda i piękna, nikt się w całym domu nie położył, lampy gorzały przed gankiem, słudzy w złoconej liberyi stali przed bramą, gotowi do jej otwarcia, szwajcar wygalonowany czekał jej w sieni marmurowej, a marszałek dworu, pełen

niepokoju, w czarnym fraku, w krótkich spodniach materialnych i białych pończochach, biegał z jednego miejsca na drugie, patrzył czy gotowa wieczerza, czy dość wykwinna i smaczna, czy salony oświetlone, czy nie ma gdzie pyłku na jakim kosztownym meblu, czy wszystkie pokoje odświeżone, czy wonności i kadzidła wytworne są pod ręką na każde zawołanie.

Nareszcie po godzinie jedenastej w nocy dało się słyszeć klaskanie z bicia, i za chwil kilka wtoczyła się na dziedziniec, żwirem wysypyany i oświetlony jak wśród dnia, karetą piękna, wiedeńska, jaśniejąca od bronzów i herbów, i ciągniona przez sześć przepysznych koni, objuczonych złożonemi szorami, okrytych potem i kurzawą, i cisnących z pysków rozognionych pianę i parę gorącego oddechu. Gdy karetą stanęła przed gankiem, gdy kamerdyner otworzył drzwiczki, zrzucił z trzaskiem stopnie, a marszałek stał tuż gotów na rozkazy, wyskoczyła z powozu lekko, zgrabnie, nie dotykając prawie axamitnych schodków jego, ta sama dama, którąśmy nie tak dawno przed katedrą we Lwowie widzieli. Szlafroczek jój podróżny był kosztowny i pełen elegancji, otwierał się on z przodu, lekko związany pod piersiami, nie zakrywał ich prawie, i dozwalał widzieć szyję białą i gors, w najśliczniejsze formy umodelowany. Widać chłodziła młodą pierś swą świeżością nocy letniej w otwartém oknie karety, i czy zapomniała, czy nie chciała zaciągnąć sukienki i zamknąć swych powabów przed okiem sług, nie uważając może lokajów swych za mężczyzn. Na głowie nie miała nic, tylko włosy gęste, hebanowe, lśniące fioletowym odbłyśkiem i w dużym warkoczu, na wpół rozplecionym, spadające na ramię. W twarzy jój, nadzwyczajnej piękności,

czerstwój i kwitnącej młodości, nie było ani radości, ani smutku, ale cokolwiek zmęczenia po drodze, objawiającego się chęcią poziewania, które nie szpeciło wcale jój ślicznych ust i nie wykrzywiało rysów. Nawet oko jój czarne, mimo senności, błyskało przecież ogniem i dumą, i brwi lekko przymarszczone, odbijające czarnym i delikatnym łukiem od białego jój czoła, miały wyraz jakby nieukontentowania i niecierpliwości.

— Mój mąż u siebie? — zapytała marszałka, stanąwszy na kamiennej posadzce ganku, i podnosząc się elastycznie na palcach nóżki małej i eleganckim pantofelkiem ściśnionej.

— Jasnie wielmożny pan położył się spać — odpowiedział marszałek, kłaniając się.

Ruszyła ramionami piękna podróżna, na ustach jój pokazała się minka, jakby wzgardy i niechęci, i zwracając się prędko do marszałka, rzekła:

— Każ mi dać co jeść. — Potém oglądając się na karetę, dodała: — Cóż ty tam tak guzdrzesz się, Karolino?

— Zbieram rzeczy, które pani wszystkie do góry nogami porozrzuciła — odezwał się z powozu głos kontraltowy, ale czysty i młody.

Uśmiechnęła się piękna kobieta, dotknęła parę razy ręką piersi, jakby czego szukała, i zwróciwszy się znowu do marszałka:

— Pugilaresik mój musi być tam, przynieś, — rzekła, i poszła szybko i lekko, z głową podniesioną, jak pani, której tu wszystko ulega, przed którą drzwi wszystkie, jakby jój oczekiwały, same się otworzyć powinny.

Jakoż tak znalazła w rzeczy samój. Wschody marmurowe w sieni pysznej i okazałej oświecone były jaskra-

wemi lampami, przy drzwiach przedpokoju na górze stał lokaj wystrojony, i trzymał za złożoną klamkę. Przy drugich drzwiach, prowadzących do pierwszej sali, stał drugi i nie dopuścił, aby delikatna jej rączka dotknęła złożonego bronzu zamka. Paradne salony, przez które przechodziła, jaśniały światłem i tchnęły rozkosznymi woniami. Mijając je, rzuciła obojętném okiem na kosztowne ich przystrojenie, nie spojrzawszy nawet na tysiączne cacka i ozdoby, któremi jaśniały, a na których sprowadzenie ze wszystkich części świata pękały krocie i strumieniami lał się pot pracowitego rolnika, i weszła do sypialnego swego pokoju, gdzie jej dwie panny służące czekały przy drzwiach, trzymając każda ciężką i bogatą axamitną firankę, ozdobioną złotą frenzlą i sznurami, którą po wejściu pani natychmiast opuściły.

Był to pokój obszerny, przybrany w to wszystko, co tylko wygoda, zbytek i przemysł najwykwintniejszej rozkosznisi wymyśleć mogły. Zaścielał go ogromny i miękki kobierzec, jedwabne obicia okrywały ściany, nad brązowym, w cudne formy wyrabianym kominem świeciło lustro szerokie, czyste jak jezioro, i odbijało porcelanowe grupy figur dziwaczych, które stały na gżemsie komina. Po kątach marmurowe postacie to Bachusa, to Adonisa, to jakiejś Nimfy, trzymały kandelabry, z których blask padał na ich doskonałe i piękne formy. Z lewej strony, pod ścianą, stało szerokie łóże, najpiękniejszego kształtu, z drogiego drzewa, z zasłaniem i nakryciem miękkim i wygodnem. Od góry przesuwawa się przez koło złożone firanka biała, lekka, pajęcza, obszyta bogatą koronką, i zsuwająca się tak, że całe łóżko ogarnąć mogła. Na przeciwnej ścianie było zwierciadło, objęte złotymi rama-

mi, i podnoszące się od ziemi prawie do gżémsu. Pochodziło ono z dawnych weneckich fabryk, i wyjęte zostało z najpierwszego pałacu tego miasta, schylonego do upadku. Po bokach jego stały dwie piękne Bachantki, w pół nagie i wpół trzeźwe, i trzymały świeczniki lekkie i foremne. Ogromne okno, ozdobione kosztowną firanką, sięgało aż do podłogi, i otwierało się na ganek dość obszerny, który dawał widok na ogród, i prócz tego ozdobiony był gajem najpiękniejszych i najrzadszych kwiatów. Kilka obrazów najcelniejszych mistrzów ozdobiło ściany. Wszystkie wyobrażały przedmioty mitologiczne, i okazywały usposobienie czarodziejki, która tę ustroń rozkoszy i zbytku zamieszkiwała, to wyciągając śliczne swe ciało na tém łożu wykwintném, to odpoczywając, strudziwszy się próżnowaniem, na kanapkach, sofkach, fotelach miękkich, jaśniejących złotem, okrytych axamitem i jakby wyciągających do niej swoje rozkoszne ramiona. Ile tam było prócz tego kosztownych cacek na biurkach, na etażerkach pełnych elegancyi, ile tych bawidełek osobliwych, za które u nas tyle wsi ogromnych poszło za granicę, tego wyliczać nie będziemy. Ale zamileczć nie można, że wśród tych kosztowności, wśród tych marmurów, bronzów, zwierciadeł, kryształów, axamitów i złota, w sympialnym pokoju Polki i kobiety zameżnej, nigdzie nie widać było klęcznika, choćby także wysłanego axamitem, — nigdzie krzyżyk nie rozciągał błogosławiących snowi ramion, nigdzie nie było choćby małego obrazka Matki Bożej z dzieciątkiem na ręku, dla pokazania, że zamieszkująca pokój ten męzatka pogląda niekiedy na ten wysoki symbol macierzyństwa, aby jój dopomógł dopełnić najwyższego przeznaczenia kobiety na ziemi.

Milcząc, nie przywitawszy się nawet ze sługami, gotowemi na jęj skinienie, przeszła hrabina przez pokój na ukwieconą galeryą, i tam odetchnęła z głębi piersi świeżością nocy cieplej i powietrzem, które z liści drzew, z puchu kwiatów, z traw i roślin rozległego ogrodu, wzięło najkosztowniejszy ich oddech, aby nim owiać pierś i głowę, w której było tyle życia i tyle żądz używania go.

W pięć minut potem wszedł marszałek, na złotej tacy podał jęj pugilaresik i objawił, że w przyległym salonie kazał przygotować kolacyą.

Gdy się oddalił, hrabina weszła do bocznego pokoiku, który był cały wyłożony marmurem białym, pod ścianami miał rozkoszne sofki, na ścianach parę wielkich zwierciadeł, a w środku wgłębianą wannę marmurową. Służące w milczeniu zdjęły z niej szlafroczek, ściągnęły pończoszki z tęg nóżki małęg, pulchnej i białęg, jakby była ze słoniewęg kości utoczona, i rozkosznisia nasza, wskoczywszy do wanny, piękna jak Ewa i nie wstydzącą się swęj nagości, jak Ewa przedgrzeszna, opluskała się letnią wodą, obmyła się i odświeżyła z drogi, i w kilkanaście minut potem, w lekkim penioarze, przewiazanym w pasie wstążką, w pantofelkach miękkich i puchowych, z rozpuszczonymi i wilgotnemi włosami, które białe jęg odzienie, białą szyję i przeglądające ramiona jak gałęzie brzozy płaczącęj obrzuciły, usiadła do zastawionego stolika, i z apetytem godnym młodej żniwiarki zajaadała wyborną zwierzynę, smaczny pasztet, wypila parę kieliszków bordo, i delectowała się dobrą porcyą wabiącego i wyszukanego deseru.

Po wieczery weszła do swego pokoju i rzuciła się niedbale na fotel, który stał przygotowany przed wielkiem zwierciadłem. Tam, spojrzawszy na siebie i ułożywszy

się w krzesło w postawę pełną gracyi i zaniedbania, ucieczyła się własnym swym widokiem i uśmiechnęła się tym uśmiechem delikatnym i nieznacznym, jakim się wyraża ukontentowanie z siebie, którego lub nie ma się z kim podzielić, lub które się tylko ukradkiem osobie miłej okazuje.

Karolina stała za nią i wzięła się do ułożenia na noc i związania jej włosów. Karolina, Włoszka, przywieziona dzieckiem z Werony i wychowana w Polsce, była także ładna. Ale twarz jej bardziej wyrazista, oczy czarne, wielkie i jawnie wabiące, płeć śniada, choć świeża, zdradzająca ognisty temperament, okazywały jej pochodzenie i nie miały tego delikatnego powabu, jakim jaśniała jej pani. Hrabina, patrząc w zwierciadło na lice i ruchy swojej sługi faworyty i powiernicy, czy jakim poruszeniem zazdrości wiedziona, czy chcąc może wywołać pochwałę, rzekła:

— Tyś ładna, Karlina!

— Czy pani to dopiero widzisz? — odpowiedziała Włoszka z miną filuterną i domyslną. — Wiem, żeś ładna; cóż mi ztąd za pociecha?

— A czego-byś chciała? męża? — przerwała hrabina.

— Pani piękniejsza jesteś ode mnie, sto razy piękniejsza i masz męża — rzekła znowu z ironią faworytka.

— Tak, i cóż mi ztąd za pociecha? — odpowiedziała hrabina, ruszając ramionami i robiąc wzgardliwą minę. — Jestem nieszcześliwa!

— Któż pani winien? — odpowiedziała sługa.

— Dobrze mówisz, Karlina; długo tak być nie może.

To powiedziawszy, z pewną determinacją przechyliła na krzesło gibkie swe ciało, wyciągnęła nóżki i, patrząc na sufit, tak leżała przez chwilę. Ale gdy podniosła wzrok na

malowidło, którém był ozdobiony i na które padało żywe światło od lampy alabastrowej, wiszącej od środka, zaczęła przecierać oczy, jakby sobie nie dowierzała, przypatrywała się znowu i nareszcie, zrywając się równemi nogami, zawołała:

— To rzecz szczególna! tego pierwój nie uważałam. Zdaje się, że tam była twarz zupełnie inna .. tak, to on... nie pojmuję wcale.

Malowidło na suficie wyobrażało sen Endymiona, któremu się przypatruje Dyana. Był to obraz olejny, zrobiony tak, aby się z dołu dobrze wydawał, przyłożony do sufitu i wielkiém kołem złożoném zamknięty. Robiony był przed trzema laty przez biegłego malarza, którego hrabia z za granicy sprowadził. Grzeczny artysta dał Dyanie twarz i postać pięknej, dwudziestoletniej wówczas hrabiny, ale Endymion wcale mu się nie udał, i równie z postawy, jak z twarzy nie odpowiadał piękności Dyany, do której malarz miał przed sobą tak cudny model. Dziś ów Endymion jaśniał w oczach zadziwionej kobiety nadzwyczajną pięknoscią. Wady rysunku, które wprzód widziała, znikły, formy jego były doskonale urobione, na czole szerokiem leżał spokój i niewinność, włosy bujne i jasne ułożone były z wdziękiem i prostotą, od czarnych rzęsów padał cień delikatny na lice młode, przesliczne, jaśniejące zdrowiem, siłą i prawdziwie męzkim powabem. I nie dziw, że cała ta postać była tak urobioną i kształtną, że twarz była tak piękną i doskonałą co do rysów i wyrazu, gdyż ów Endymion był to żywy i na włossek jeden nie chybiony portret naszego Gabryela.

Nie mogła od niego wzroku oderwać rumieniąca się od wzruszenia kobieta, a imaginacya jój powtórzyła obraz

młodzieńca, podniosła zamknięte jego powieki i oddała blask i życie tym cudnym błękitnym oczom, któremi na nią patrzył, gdy żebrakowi kładł na dłoń dukata, które skromnie spuścił do ziemi, gdy tenże żebrak życzył im długiego życia razem. Po chwili rzuciła się w krzesło, i zakrywszy oczy obiema rękami, tak przez niejaki czas siedziała, jakby chcąc się przekonać, że to nie złudzenie, że gdy otworzy oczy i jeszcze raz spojrzy, obaczy tę samą twarz, te same rysy, które się wpiły w jej pamięć od razu, których zapomnieć nie mogła i wcale nie chciała. Gdy odjęła ręce od twarzy i spojrzała, porwała się znowu z krzesła i zawołała:

— Nie, ja nie śpię, to nie sen, to rzeczywistość jakaś dziwna i niepojęta.

Karolina, patrząc na jej poruszenia, słysząc te słowa, których zrozumieć nie mogła, i przez pół śmiejąc się, przez pół ziewając, zapytała:

— Co się pani stało? czy pani ten sufit pierwszy raz widzi?

— To, co widzę, widzę tam pierwszy raz; ale obaczmy jutro! Idź spać; ziewasz, Karlino? jużes mi niepotrzebna.

Karolina pogasiła światła, zamknęła okno, zapuściła ciężką, axamitną firankę i spięła ją tak, aby przez nią światło dzienne przedrzeć się nie mogło, i postawiwszy przy łóżku stoliczek ze świecą, odeszła. Hrabina położyła się, wzięła pugilaresik, który leżał na stoliczku, i dobywszy z niego notatkę, czytała głośno: „Ksiądz kanonik Pilecki w Haliczu, Apolonia Czaroszowa w Haliczu, Gabryel Czarosz pojechał do Halicza“. — Potém dodała: —

On musi być tam, dowiem się, dowiem się koniecznie — i zamknąwszy notatkę do pugilaresu, podniosła znowu oczy na sufit, oświetlony przez tę lampę, której blask cały padał na obraz, a której światło przez alabastrową urnę, w której było zamknięte, łagodnie i nie odstraszaając snu, rozchodziło się po pokoju.

Ledwie w parę godzin sen zamknął jój powieki i dziwaczne marzenia, niesforne i bez porządku po sobie idące, postawiły katedrę Lwowską na falach Dniestru, wyobraziły Dyane przypatrującą się śpiącemu żebrakowi, i Gabryela rzucającego na nią dukatami i tulącego się do łona jakiegoś księdza, z kąd go wydrzeć nie mogła. Wśród tych przykrych widziadeł były i inne, pełne wdzięku i szczęścia. To widziała pięknego młodzieńca u nóg swych na kolanach, bawiła się jego pięknymi włosami, patrzyła w jego błękitne oczy, ale tak blisko, że prawie ustami dotykała ust jego, i czuła jego oddech; to znowu zdało się jój, że z nim się przechadza po kwiecistych murawach, po polach zasłanych zbożem, lub jedzie, oparta na jego ramieniu, przez cudne i górzyste kraje. Ale wszystkie te słodkie rozmowy, rozkoszne przechadzki, te przejażdżki przy jego boku, kończyły się czémścis straszném, lub odrażającym. Raz, chcąc uściskać pięknego młodzieńca, objęła trupa jakiejś staréj kobiety; to znowu, idąc z nim, przyszła do oświeconéj kaplicy, gdzie stał katafalk, na którym mąż jój leżał; to pędząc z nim powozem, uniesiona była przez sześć karych koni między skały i niezgłębione przepaści, i gdy przestraszona chciała się do niego przytulić i błagać ratunku, obaczyła obok siebie nie piękne jego lice, ale twarz jakiegoś wysokiego mężczyzny bladą i długą, ze śpiczastym nosem, z małemi czarnymi

oczkami, z ustami, których końce zakrzywione do góry okropnie i po szatańsku się uśmiechały.

Gdy takie marzenia dręczą piękną kobietę w tym ogromnym pałacu, w tym zbytelnym pokoju, na tém łożu kosztowném i miękkim, my wdajmy się w niektóre objaśnienia, potrzebne do ciągu opowiadania, które, chociaż nie we wszystkiém zaspokoją czytelnika, bo tego mu nie obiecujemy, jednak znacznie do zrozumienia rzeczy pomogą.

Ludzi prozaicznych, przyzwyczajonych do zwyczajnego trybu rzeczy i codziennych wypadków życia, zastanowi najprzód to, zkąd się wziął na suficie, w sypialnym pokoju hrabiny Tumierskiej, portret naszego bohatera w postaci śpiącego Endymiona. Tego im wytłómaczyć nie możemy. Nie śmiemy bowiem dotykać téj delikatnej, niewidzialnej i trochę dziwnéj nici, na którą nawleczone są różnokolorowe obrazki téj powieści, bojąc się, aby przez dotknięcie zbyt rozbiorowe nie zerwała się i nie pękła. Kto ją widzi, temu tłómaczenie niepotrzebne; kto jéj dotąd nie dojrzał, temu żadne explikacye nie otworzą oczu i ciekawości jego nie zaspokoją.

Ludzie mniej prozaiczni, ale nie lubiący domysławiania się, które przeszkadza trawieniu, zapytają także, zkąd się wzięła w pugilaresiku hrabiny Tumierskiej notatka, w której były nazwiska wuja i matki naszego bohatera, w której i jego imię i nazwisko były wypisane, a nawet miejsce, do którego się udał. Dbali o zdrowie czytelników naszych, możemy im na to cokolwiek dokładniej odpowiedzieć i spodziewamy się, że okoliczność tę znajdą dosyć prostą i wcale nie naciaganą. Prosimy ich tylko, aby wrócili myślą w przeszłość i przypomnieli sobie spotkanie

przed farą we Lwowie tych dwojga ludzi, jak ich słuszenie tam nazwaliśmy, najpiękniejszych z całego miasta, a przypomną sobie i wrażenie, jakie na młodej elegantce piękność naszego bohatera zrobiła, oraz i tę okoliczność, że zaraz po wejściu jej do magazynu, inna kobieta ztamtąd wyszła i bystro mu się przypatrywała. Otóż tą kobietą nie był kto inny, tylko znajoma już nam Włoszka, Karolina. Poszła ona razem z panią do kościoła. Ale, że w głowach takich kobiet, jaką była hrabina, myśli o stroju i magazynie przychodzą wszędzie, przy pacierzu i przy śniadaniu, przede drzwiami kościoła i w czasie samego podniesienia; otóż i wówczas hrabinie, właśnie gdy dzwoniło na Sanctus, przyszło na myśl, że zamówiona z Paryża materya musiała przyjść już i znajdować się w sklepie. Gdy się więc nachyliła na głos dzwonka, siedząc na brzegu w ławce, szepnęła kłęczącej obok faworytce, aby się zaraz do pomienionego magazynu udała, dla zobaczenia, czy rzecz oczekiwana przyszła, czy nie, i żeby tam na nią oczekiwała.

Po spotkaniu się z Gabryelem, zajęta i zmieszana widokiem, którego wrażenie silnie uczuła, z całą żywością kobiety, która mocno czego chce, rozkazała faworytce swój iść ślad w ślad za młodzieńcem, którego jej przez szyby drzwi ukazała, i dowiedzieć się koniecznie, kto on? i gdzie mieszka?

Karolina, skuteczniejąc rozkaz swój pani, wyszła, i idąc za bohaterem naszym, weszła do izby pocztowej i obok niego wśród natłoku innych ludzi stanęła. Wtenczas, gdy on znowu przypatrywał się adresom swych listów przed ich oddaniem, gdyż od razu docisnąć się nie mógł, gdy sobie jeszcze czynił wyrzuty, że go zajęła na

chwilę piękna twarz i czarowna postać nieznajomiej pani, że zapomniał na mgnienie o wuju, o matce i nie wszedł do kościoła, który go odgłosem dzwonka przywoływać zdawał się, aby pobiedz za pokusą, co go tak silnie choć na krótko pociągnęła; ambasadorka téjże czarodziejki przeczytała i zapamiętała pomienione adresa. A nie przestając na tém, udała się za nim na Halickie i doszedłszy do kamienicy, w której znajdowała się owa studencka stancyjka, jak ją opisaliśmy wyżej, zatrzymała się, widząc, że młody człowiek zatrzymał się także i rozmawiał z chłopakiem, siedzącym niedbale na wózku i uderzającym batozkiem machinalnie i z lekka po chudych grzbietach dwóch koników, które pospuszczały głowy i nie uważały wcale na te łagodne karesy swojego automedona.

Gdy Gabryel, po kilkunastu słowach rozmowy, po których chłopak poskrobał się w głowę, wszedł do kamienicy, Karolina, domyslna jak subretka, przystąpiła przedko do zafrasowanego woźnicy i rzekła, dając mu kilka krajearów:

— Możebyś ty chłopaku wódki się napił i bułkę zjadł przed drogą?

— A jużci, żebym zjadł — odpowiedział, zdejmując czapkę i biorąc podarunek — bo panicz kazał przyjechać przed obiadem, a teraz mówi, że nie pojedziemy, aż po obiedzie.

— A dokąd-że to pojedziecie z tym paniczem?

— Albo to panna nie wie, kiedy mi daje na śniadanie? czy co? — odpowiedział, śmiejąc się głupowato.

— Do Stanisławowa? — rzekła na domysł.

— E, gdzie zaś, trochę bliżej; my jedziemy tylko do Halicza, do matki tego panicza.

— To on nazywa się Czarosz? — zapytała.

— A podobnoś — odpowiedział chłopak — ale nie wiem dobrze. Ale na co to pannie? — dodał, patrząc na nią z uśmiechem.

— Tak sobie, pytam się... jednak nie mów mu nie o tém — rzekła, dając mu jeszcze kilka krajcarów — że się ktoś o niego rozpytywał.

— Oho! a mnie co do tego?... jak panna nie chce, że-
bym mówił, to nie powiem.

Przy końcu téj rozmowy, wyszła z domu niemłoda już kobieta, sługa właścicielki kamienicy. Nasz bohater wielką miał u niej łaskę, że był skromny, obyczajny, choć tak młody i piękny. Ona-to codziennie zamiatała jego stancję i przynosiła mu wodę, a w zimie ogrzewała jego po-koik. Usłyszawszy o kim mowa, zaczęła sama Karlinę, udzielając posłanniczce w tak delikatnej sprawie reszty koniecznych szczegółów, to jest: jak imię i nazwisko młodzieńca, czém się trudnił, jak się sprawował i dokąd teraz jedzie.

Tym-to sposobem z opowiadania Karoliny uformowała się owa notatka, o której byłaby może zapomniała piękna hrabina, przybywszy do swego pałacu, gdyby jój był sufit nie przypomniał spotkania młodzieńca, nad którego żaden piękniejszy jeszcze oczom się jój nie pokazał, i gdyby tym osobliwym i niewytłómaczonym środkiem fatalność jakaś, nad obojgiem unosząca się, nie odnowiła była w jój młodej i gorącej piersi wrażeń, jakich wówczas doznała.

Dla dopełnienia tych wiadomości, przerywających wprawdzie ciąg opowiadania, ale potrzebnych, musimy dodać jeszcze więcej szczegółów o téj pięknej, młodej

i pełnej życia istocie, która już przez to, że się jej nasz bohater podobał, i że jakaś niepojęta siła wdała się w to, aby obraz jego jeszcze głębiej zarył się w jej pamięci, czytelników naszych interesować powinna.

Tyleśmy już o niej mówili, a jeszcześmy nie dali poznać jej imienia. A przecież imię jest jedyną własnością kobiety, która jej zostaje; i piękna kobieta powinna mieć koniecznie piękne imię. Hrabina Tumierska i w tém nie była upośledzona, bo natura i okoliczności złożyły się, aby ją zrobić we wszystkiém piękną i wszystkiém wabiącą. Nazywała się ona Helena Aloiza. Ale my przestaniemy na pierwszém jej imieniu, chociaż imię to złowrogie, i chociaż piękne jego brzmienie naprowadza myśl zguby i upadku. Helena urodziła się we Włoszech, z pięknej i lubieżnej Włoszki, która przed dwudziestu kilku laty opanowała umysł, serce i wszystkie siły ciała i duszy hrabiego Otyńskiego, dziedzica wielkich dóbr, w Stanisławowskim cyrkułe położonych. Hrabina Otyńska, przybywszy do Galicyi, wkrótce po urodzeniu tej córki, przejechawszy się po dobrach swego męża i widząc, że posiada połowę terytorjum Toskanii, wylała się na wszelkie zbytki, na szalone expensa, w tém przekonaniu, że takie skarby wyczerpnąć się nie dadzą. Mąż nie śmiał jej perswadować, bo i sam nie lubił rachunków, i uległością chciał dać dowód nieograniczonego przywiązania, i wreszcie bał się, aby piękna i namiętna Włoszka, którą otaczał ciągle rój czcicieli, w chwili gniewu i dąsów nie zemściła się za słowo rozsądku i perswazyi jaką extramatrymonialną próbą, w którejby zasmakować mogła. Szły więc stroje, ucztę, podróżę, upiększenia pałacu w Odajanach Otyńskich na ogromną skalę, póki długi nie zrównoważyły się z fundu-

szem, póki na dnie skrzyni kasowej, zamiast plików bankocetli, zamiast worów srebra i złota, nie pokazał się kawałek kredy, którym kasyer napisał wielkie zero. Takim sposobem hrabia Aloizy Otyński, wyssany przez żonę cudzoziemkę, zrujnowany na majątku i na zdrowiu, przy uszczuplających się środkach dogadzania wszelkim jój wymaganiom, uszkodzony i na honorze małżeńskim, umarł ze smutku i wyniszczenia, zostawiwszy wdowę jeszcze młodą, jeszcze nie przesyconą, i dwunastoletnią córkę Helenę Aloizę, daleko piękniejszą od matki, ale równie namiętą, równie żądną życia i używania, do wszelkich zbytków z dzieciństwa przyuczoną, i do korzystania z przykładów i nauk matczynych mającą i chęć i zdolność.

Umierający hrabia Otyński zostawił obie kobiety pod opieką hrabiego Tumierskiego, dawnego kolegi i towarzysza uciech młodości, terażniejszego zaś sąsiada, który wprowadzie trochę daleko mieszkał, ale od paru lat bardzo blizkim był ich domu, jako przyjaciel i gość może trochę zanađto częsty. Niemłody ten już i nieżonaty rozpustnik, posiadał jeszcze ogromną fortunę i używał jój wspaniale na rozmaite siurpryzy, na dogadzanie różnym zachceniom hrabiny Otyńskiej i młodziutkiój, wszakże już umiejacój napierać się, Heleny. Widział mąż co się święci, ale biedak przyszedł stopniowo do takiego upokorzenia, że dla spokoju, dla kilku chwil snu i odetchnienia, patrzył na wszystko przez szpary. Owszem, kochając córkę nadzwyczajnie, widząc jój usposobienie i jój nawyknięcia do dostatku, do zbytków, do dogadzania sobie we wszystkiém, sądził, że przynajmniej dziecku jego z tém będzie dobrze, i umierając mianował dla tego przyjaciela żony i opieku-

nem córki, i przy skonaniu uściśnął rękę zdrajcy, który ostatnie dni jego zaprawił goryczą.

Opieka ta trwała lat trzy. Helena skończyła rok piętnasty, a krew włoska, chociaż zmieszana z polską i nie pod skwarném niebem Italii, sprowadziła wczesną dojrzałość. Wzrosła, rozwinięta do pełności najcudniejszego kwiatu, piękna nad podziw, wychowana wykwinicie, pragnąca żyć i używać, a chociaż niezła w gruncie, ale zdrażną edukacją i przykładami matki zepsuta, zaczęła już oglądać się po okolicy, na kogo-by się rzucić i kajdany swój samowolności nałożyć. Wszyscy mężczyźni ją admirowali i czcili, ale bojąc się to o spokój małżeńskiego pożycia, to o majątek, któryby pękł prędko w pulchną rączkę takiej rozkosznicy, trzymali się odwodowo. Mniej ostrożnym od innych był stary jój opiekun, hrabia Tumierski. Częste obcowanie, poufałość, jaką mu nadawał tytuł opiekuna, kokieterya Heleny, która niewinnemi umizgami pupilki starała się wyłudzać od niego nowe dary i dogadzanie wymyślnym swym zachceniom, rozmarzyły siwą już głowę, i Fenix miłości wylągł się wśród popiołów jego przepalonego serca. Postrzegła to matka, a że się jój stary niedołęga sprzykrzył, postanowiła skorzystać z okazji i zapewnić sobie byt wygodny i niezależny, a córce, jeżeli nie szczęście, to bogactwo i świetną pozycją. Dla tego-to sama, już nastroczając im sposoby widywania się, już pokazując oczom jego powaby panny, niby przypadkiem, niby od niechcenia, popychała go w siłą młodej piękności. Dał się złapać stary hrabia, oczarowany kokieteryą dziewczyny, która, czując się bez posagu, weszła w widoki matki, i pół żartem, pół seryo przywiodła do zupełnego opętania zużytego Lowelasa.

Raz w ustronnym pawilonie ogrodu, w upał poobiedni, byli z sobą. Helena ubrana lekko i powabnie kusila starego, który rzucił się jej do nóg i w gorących wyrazach błagał, aby nie była okrutną. Młoda filutka podała mu obie rączki — i gdy zacny opiekun tulił w objęciu gibkie ciało swój pupilki, gdy całował jej cudne oczy i koralowe usta, krzyk przeraźliwy rozległ się za jego plecami i zimne ostrze dotknęło jego ramienia. Był to krzyk matki i sztylet Włoszki. Córka, niby przerażona, uciekła; a po scenie, pełnej wstydu i upokorzenia ze strony hrabiego, pełnej wybuchu udanej zazdrości ze strony matki, stanęła ugoda między dawnymi kochankami, że hrabia natychmiast ożeni się z Heleną, że jej cały majątek swój zapisze, a matce zapewni wielką pensyą dożywotnią.

Tym sposobem piękna Helena została hrabiną Tumierską i panią wielkiej jeszcze fortuny, a intrygantka Włoszka, tknięta raptem skrupułami za przeszłe swe życie i wszystkie jego grzechy, wkrótce po ślubie córki, uposażona znacznym dochodem, pojechała do Rzymu, gdzie współ z jakimś cię plecystym barytonem gorzko pokutowała.

X.

Słońce już było wysoko, w sypialnym pokoju Heleny parno, a ona, odrzuciwszy mimowolnie jedwabną kołderkę, odziana w cienki i przezroczysty batyst, orzucona bogactwem kruczych włosów, przy których jej twarz, jej szyja i łono na pół odsłonięte tém świetniej jaśniały, spała smaczno po długich i dręczących marzeniach. Wte-

dy firanka przy drzwiach jęj pokoju podniosła się i wszedł stary, wysoki i przygarbiony mężczyzna. Cicho i z trudem stąpał on po miękkim kobiercu, spojrział jakby z bólem na piękność uszpioną, i zbliżywszy się do okna, podniósł jego zasłonę. Gdy blask dzienny oświecił pokój, wrócił do łóżka, wsparł się oburącz na lasce, i tak stał w milczeniu, czekając widać, aż się śpiąca obudzi.

Był to człowiek już stary, ale więcej schorowany i wycieńczony. Czoło miał łyse i jeszcze dość okazałe, ale włosy już zupełnie siwe, a raczej biało-żółte. Twarz wyschła, wystające kości i nos, głęboko wpadłe oczy, wiszcząca spodnia warga, wklęsłe piersi i wypukłe plecy, wszystko to pokazywało, że zużyty ten zapaśnik dociągał tylko do mety, do której go pędziły suchoty i wyniszczenie. Na głowie nie miał nic; a ranny materyalny surducik, zapięty pod szyję drobnemi guziczkami, czerwone jedwabne spodnie szerokie i do kostek, czerwone safianowe buty, pokazywały, że tylko co wyszedł z sypialnego swego pokoju. W ręku miał chustkę białą, którą często zakrywał usta, tłumiąc napadający go kaszel, i na której widne były ślady krwi, jaką wyrzucał.

Czytelnicy domysłają się zapewne, że to był niegdyś opiekun, a teraz mąż pięknej Heleny, hrabia Janusz Tumierski. Kilka minut stał on tak nieporuszony, i przypatrywał się tym nieporównanym kształtom, które go dawniej oczarowały, a które i dziś, w śnie swobodnym i rozkosznym rozwijając się z całym urokiem, mimo boleści, jakieś doświadczał, i celu, z jakim przyszedł, ciągnęły ku sobie gasnący jego wzrok i zastygające serce. Choć dzień wdzierał się pod przymrużone powieki Heleny, nie obudziła się jednak przez te kilka minut. Owszem,

twarz jęj okryła się rumieńcem, usta złożyły się do prześlicznego uśmiechu, a ręce jakby przyciskały co do piersi. I nie dziw, ona była pod urokiem słodkiego marzenia. Zdawało się jęj, że zamieniła rolę z Endymionem; że ona spała, a on przykląkł na murawie, nachylił się nad nią i patrzył błękitnemi oczyma na śpiącą; że się potęm zbudziła i głowę jego tuliła do piersi.

Obraz ten niezupełnie był marzeniem, gdy w rzeczy samęj stał nad nią Endymion, ale z twarzą schorzałego Satyra, nachylał się coraz ku jęj ustom i byłby je ucałował, zapomniawszy o wszystkich wymówkach, z któremi przyszedł. Ale jest coś magnetycznego we wzroku utkwionym silnie na śpiącą osobę, co ją z najtwardszego snu przebudzi. Jakoż Helena ocknęła się i spostrzegłszy tak blisko siebie brzydką i zwiędłą twarz męża, zamiast pięknego lica Gabryela: — Fe! fe! — krzyknęła, i okrywszy się prędko kołdrą i zasłaniając oczy obiema rękami, odwróciła się do ściany.

Podniósł się hrabia, jakby żądłem zakłuty, wyprostował się jak mógł, i stłumiwszy gwałtowny kaszel, który mu to wzruszenie dało, rzekł z szyderstwem i bólem:

— Zapewne marzyłaś o kim innym i zdziwiłaś się, obaczywszy twarz męża, zamiast twarzy jakiego nowego czciociela?

— Spodziewam się, że tęg przynajmniej pretensyi nie masz, żebyś mi się śnił, zwłaszcza nad ranem. Zmory dręczą mię czasem z wieczora, gdy dużo jem na kolacyą — odpowiedziała prędko obrażona Helena i nie patrząc nań wcale. Gdy się hrabia znowu zakaszlał i nie nie mówił, dodała: — Idź sobie... ja chcę spać!

— Już jedenasta — rzekł znowu hrabia, przysuną-

wszy krzesło i siadając. — Musiałaś odpocząć po drodze i wypać się... dałem ci na to dosyć czasu.

— Co to jest za osobliwszy język? — zawołała Helena, siadając na łóżku i okrywając kołdrą piersi i ramiona. — Czy po toś mnie tu wezwał ze Lwowa, żebyś mnie tyranizował? Chcę być samą, mówiłam.

— A ja mam ci wiele do powiedzenia — rzekł hrabia — i dla tego tu jestem.

— Wstanę i przyjdę do salonu... a teraz wyjdź stąd — rzekła, ukazując mu drzwi.

— Nie ma potrzeby — odpowiedział tym razem z zimną krwią — możesz zostać jak jesteś, a co mam powiedzieć, to powiem ci zaraz.

Przygryzła wargi Helena, odgarnęła z czoła i twarzy włosy rozrzucone, i zasunawszy się głębiej w poduszki, żeby się lepiej oprzeć mogła, podparła twarz ręką i rzekła z nadąsaną miną:

— Ciekawam... słucham.

— Zacznę od tego, co cię najwięcej interesuje — rzekł, patrząc na nią przenikliwie. — Za kilka miesięcy, za kilka tygodni, może za kilka dni, już mnie nie będzie. Wszakże nie wiek mnie zabija... jeszcze nie mam lat sześćdziesięciu.

— Ale co? — zapytała spokojnie.

— Co? — odpowiedział gwałtowniej, zakaszławszy się i wyrzuciwszy kawał krwi na chustkę, którą jęj pokazał. — To... to, Heleno.

— Nie moja w tém вина — rzekła, odwracając się ze wstrętem. — Mogłeś mi oszczędzić tego widoku i tonu wyrzutu, z jakim mi pokazujesz, żeś suchotnik.

— Zapewne, byłbym niesprawiedliwym — rzekł hra-

bia — gdybym tobie jednej przypisywał stan mój dzisiejszy. Przygotowały mnie do niego excesa młodości; ale kto mnie w nim ostatecznie pogrążył, o tém wiesz dobrze i mówić ci nie trzeba.

— Ktokolwiek bądź — odpowiedziała prędko, spuszczać jednak oczy — zawsze nie ja.

— Ty dobijasz mnie tylko — mówił hrabia, zmuszając się do uśmiechu. — Ale mniejsza o przyczynę; skutki są ważniejsze i o tém chciałem z tobą pomówić. Bo chociaż na to nie zasługujesz, żałuję cię jednak i... kocham.

— Jeszcze? — zawołała uśmiechając się Helena. — Doprawdy, lepszym jesteś, niżem myślała.

— Słusznie — odpowiedział hrabia z przyciskiem — żartujesz sobie ze starego głupca, którego przed kilku laty opętały twoje wdzięki, twoja kokieterya i intrygi twojej matki. Ale jakkolwiek wstydziłbym się powinien takiej słabości, przyznaję się do niej i teraz jeszcze, chociaż już ciało moje stygnie i serce drży tylko ostatkami życia. Dla tego więc powtarzam ci, że cię żałuję i kocham, choć na to dziś i w tej chwili mniej zasługujesz, niż kiedykolwiek.

— Nie wiem — rzekła z ironią Helena — dla czego-bym dziś mniej zasługiwała na twoje przywiązanie, niż kiedykolwiek. Ale ponieważ nawet z dzisiejszemi mojami wadami kochasz mnie, widać, że mi z niemi dobrze, nie mam więc potrzeby z nich się poprawiać i wiedzieć o nich... dla tego dajmy temu pokój, a przystąpmy do tych skutków, o których miałeś mówić.

— Zostaniesz wkrótce wdową — wymówił hrabia ciszej i ze wzdrygnięciem.

— Zdaje się — odpowiedziała niemłosierna kobieta z ironiczną rezygnacją.

-- Zdaje ci się? — dodał, patrząc na nią z obrazą, i jakby śledząc wrażenia, jakie słowa jego robią. — Zdaje ci się także, że zostaniesz panią ogromnej fortuny, jaką posiadałem kiedyś.

-- Czy tak nie jest? czy akta urzędowe kłamią? Sądzę, żeś mnie nie oszukał. Zresztą — dodała z uśmiechem — radziłam się biegłego adwokata... przezierał twoje zapisy i upewnił mnie, że są formalne.

— W zapisie moim powiedziano, że zostaniesz panią i dziedziczką wszystkiego, co po mojej śmierci pozostanie. A wiiesz-że, nieszczęśliwa marnotrawnico! co pozostanie, jeżeli się nie opamiętasz, jeżeli się nie zatrzymasz nad brzegiem? Nic... prawie nic.

— Więc źleś gospodarował? źleś rządził? — zawołała głośniej Helena, nie dowierzając przesadzonym zapewne twogom męża. — Nie mieszałam się do twoich rządów; mogłeś i powinieś być staranniej chodzić koło rzeczy, która już nie była twoją. Tego wymagał honor uczciwego człowieka — dodała z udaną energią, uciekając się do zwykłego manewru kobiet i studentów, poczuwających się do winy, to jest: zwalając winę na kogo innego.

— Spójrzyj-że wokoło siebie, niebaczna kobieto! — rzekł wówczas hrabia z siłą i żalem — przypomnij sobie swoje podróże za granicą, swój pobyt w Paryżu i w Wiedniu, swoje zimy we Lwowie; przepatrz swoje mieszkania, swoją garderobę, swoje ekwipáže; przejrzyj miesięczne swe wydatki i zlicz... a obaczysz, czy jest jaka fortuna, któraby takie ci osy przez lat kilka wytrzymać mogła. I jeszcze mi wyrzucasz złe gospodarstwo? zły rząd? O! nie to mi wyrzucać powinnaś.

— A cóż? — zapytała naiwnie i znowu odgarnęła

z czoła włosy obiema rękoma, poruszeniem tém, czy mimowolném, czy umyślném, zsuwając z pleców kołdrę, i odkrywając ramiona i szyję.

— To, żem cię pokochał — odpowiedział stary, odwracając się od widoku, który miał przed oczyma. — To, żem nie miał dość siły, póki była pora, powściągnąć twojej szalonej rozrzutności, żem ulegał zawsze widokowi tych wdzięków, któremi i teraz, wprawna i misterna kokietko, chcesz gniew mój rozbroić i słuszne moje wyrzuty sparaliżować. Zakryj się! — krzyknął gwałtowniej, i znowu, wraz z mocnym kaszlem, kawał krwi wypadł na jego chustkę.

Helena zaciągnęła kołdrę, odwróciła się ze wstrętem, i zakrywszy oczy, siedziała w milczeniu, a hrabia tak mówił dalej:

— Dwanaście lat temu, nie miałyście nic, tylko chęci nieograniczone. Wielki majątek twego ojca znikł w rękach twojej matki. Wziąłem was na swój kark, wybrylantowane żebraczki, strojne i wyuzdane marnotrawnice. Wówczas byłem jeszcze panem wielkim i zamożnym; miałem jeszcze zapas sił i zdrowia, który przy umiarkowaniu i rozumie byłby mi wystarczył na kilkadziesiąt lat spokojnego życia. Obnażyłyście mnie ze wszystkiego, odebrałyście mi wszystko. Dziś nie mam nic. Dobra moje zadłużone, kapitały znikły, na ruchomościach ciężą ogromne wypłaty, a ja sam, nędzny i wyniszczony suchotnik, stoję nad grobem, i nie mam nawet pociechy, że kosztem majątku i życia kupię ci pokój i ochronię od roli, do jakiej cię prowadzi twoje obecne postępowanie i przykład twojej matki.

— Milcz, stary satyrze! — krzyknęła wówczas Helena, odrzucając kołdrę i uwalniając śliczne swe ręce do swobodnego ruchu, jak gladyator, gotujący się do śmiertelnej walki. Twarz jój przybrała wyraz groźnej Meduzy; zdawało się, że wszystka krew włoska oddzieliła się w niej od polskiej i sama tylko wstąpiła w jój oczy, rozlała się po jój licu i zapełniła serce... taką zemstą i nienawiścią zadrżały jój usta. Po krótkiej chwili milczenia, w czasie której chciała go zniweczyć wzrokiem, rzekła wreszcie syczącym głosem: — Mówisz, że ci odebrała majątek i zdrowie? a ty, co mi wzięłeś? gdzie są moje najpiękniejsze lata? jak je strawiłam? Czy masz to za nic, że walczę dzień i noc z przepędniającém mnie życiem, z tą krwią, która uderza silnie w moich żyłach? Czy nazwiesz to szczęściem dla młodej kobiety, żeś ją przywiązał do siebie, jak kwitnącą roślinę do spróchniałego drzewa, aby je zielonością swoją odświeżała? Bezecny rozpustniku! spekulowałeś na moję młodość i moję piękność. Zawiodłeś się, boś już pierwój był trupem, nim cię suchoty pochwyciły. Gdybyś był miał sumienie, nie byłbyś się narzucał piętnastoletniej dziewczynie, aby jój świat zawiązać, aby ją zmusić, że zbytciem, marnotrawstwem i czeżemmi zalotami odurza się i tłumi w sobie krzyk serca i krwi, które wołają o miłość i szczęście. Ale ty nigdy nie miałeś ani honoru, ani sumienia — dodała z większą furią i nateżeniem. — Byłeś zdrajcą jako przyjaciel mego ojca, boś mu wzięł żonę; byłeś zdrajcą jako kochanek mej matki, boś chciał uwieść jój córkę; byłeś zdrajcą jako opiekun młodej dziewczyny, bo zamiast chronić ją od zepsucia, sam prowadziłeś ją do rozpusty, i obudzałeś wszelkiemi sposobami jój krew i młodość. Idź precz ode

mnie! i umieraj prędko, jeżeli nie chcesz, abym od dziś zaczęła korzystać z nauk, któreś mi dawał.

Porwał się z miejsca swego hrabia, chciał gwałtownemi słowy odeprzeć furę młodej kobiety, ale gniew i oburzenie zatknęły pierś jego i odebrały mu mowę. Nagle, zamiast wyrzutów, odezwał się kaszel, krew wielkim strumieniem buchnęła z jego piersi, obryzgała łożę i koszulę Heleny, a nieszczęsny starzec, zwątlony raptowną jej utratą i bólem, który czuł w sercu, pobladł jak trup, zachwiał się i upadł na wznak, bez zmysłów.

Wyskoczyła z łóżka przestraszona Helena i, obejrawszy się z przerażeniem na leżącego bez ruchu męża, i na krew, którą zlane było jej posłanie, sądząc, że skończył, i obawiając się gadania sług i plotek sąsiedzkich, a za tém idących może i śledzeń sądowych, z załamanemi rękami i krzykiem wybiegła do blizkiego pokoju.

Ale trwoga jej była daremna. Hrabia tylko zemdlął. Przeniesiono go do jego pokoju, posłano po doktora, i Helena, uspokojona z tego względu, choć w duszy żałująca, że się już raz nie skończyło, ubrała się, i do sypialni swój, z kąd prędko znikły ślady upadku i choroby męża, powróciła.

Pierwsze jej spojrzenie padło na sufit, o którym przez czas rozmowy z mężem zapomniała. Ale jakież było jej podziwienie, gdy spostrzegła, że ów Endymion, który wczoraj miał tak wyraźnie twarz i postać Gabryela, dziś był znowu takim, jakim go pierwotnie zrobił artysta.

— Więc to było tylko przywidzenie — rzekła wówczas sama do siebie — więc on nie tam był, ale tu, w mojej myśli, w mojej pamięci? — I wówczas zaczęła chodzić prędko po pokoju, a w jej postawie i ruchach był jakiś

niepokój, w twarzy namysł i zafrasowanie, które się zawsze wybitnie maluje na licu młodem, niedyplomatycznym i namiętnym, wtenczas, gdy dusza coś stanowczego przedsiębierze.

Przedsięwzięcie to dojrzało prędko w jej sercu. Rozmowa dzisiejsza z mężem zrobiła je śmielszym i bardziej stanowczym. Po godzinie ledwie namysłu i walki z sobą, Helena stanęła przed zwierciadłem, i zaczęła się sobie przypatrywać. Był to przegląd sił, podobny do owych rewii, jakie zawsze biegli generałowie robią przed rozpoczęciem kampanii. Gdy się przekonała, że nieprzyjaciel nie wytrzyma ataku tylu cudnych powabów, którei wszystkie części jej ciała jaśniały, poszła do biurka, dobyła z niego najpiękniejszą swoją miniaturę, osypaną kołem przeslicznych pereł, i porównyując swój obraz z sobą samą, uśmiechając się, aby się przekonać, że nowy ten powab, którego nie miała kopia, uczyni oryginał niezwykłym, zadzwoniła na Karlinę.

— Gotuj się do drogi, Karlina! — rzekła do wchodzącej faworytki.

— Do drogi? a to dokąd?

— Pojedziesz dziś do Halicza.

— Do Halicza? — zawołała, niby to zadziwiona, Włoszka — i po cóż to?

— Przypominasz sobie tego młodego człowieka, za którym chodziłaś na pocztę we Lwowie? — rzekła hrabina, niby od niechcenia.

— Ach! tego ładnego studenta — odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem Karlina — co to pojechał do Halicza koszlawym wózkiem i dwoma konikami, jednym siwym, a drugim srokatym?

— Mniejsza o to — rzekła, zrozumiawszy przyczynę, Helena, i marszcząc piękne swe brwi — jakkolwiek pojechał, musiał już dojechać. Tu o to idzie, czy go pamiętasz?

— Jakże pani chcesz, żebym zapomniała młodzieńca, nad którego piękniejszego w życiu mojem nie widziałam — odpowiedziała przebiegła służka, poprawiając się i spostrzegłszy marsa swojej pani — takiej twarzy i takiej postaci nie można zapomnieć.

— Więc ci się spodobał? — rzekła znowu Helena, utkwivszy w nią wzrok badawczy.

— Gdyby był brunet, to może... ale ja blondynów nie lubię — odpowiedziała Karlina z domyślnym uśmiechem.

— Niechże ci to nigdy nie przychodzi do głowy... i pamiętaj o tém zawsze, że on blondyn — rzekła Helena, mocno czerwieniąc się i spuszczać oczy.

— Rozumiem — odpowiedziała Karlina — cóż mu mam powiedzieć?

— Nic; tylko dowiedzieć się o nim więcej szczegółów na miejscu i postarać się, żeby się to dostało do rąk jego, tak, iżby nie wiedział zkąd i jak... rozumiesz?

— Rozumiem; ale jeżeli pani chcesz, żeby on pani szukał, to tego nie dosyć — odpowiedziała Włoszka, patrząc na miniaturę.

— Któż ci powiedział, że ja tego chcę, aby mnie szukał? — rzekła z dumą hrabina. — Jaki mam w tém cel, to nie twoja rzecz. Do ciebie należy wykonać co ci każe.

— Si, signora — odpowiedziała Włoszka, kiwnąwszy głową na znak, że będzie wszystko wykonane. Helena uśmiechnęła się, poklepała ją po ramieniu, i rzuciwszy na

nią piękną tybetową chustkę, która leżała na fotelu, przygotowana dla niej samej, kazała powiedzieć marszałkowi, aby koczyk, trzy konie i dwóch ludzi było gotowych za parę godzin.

Karlina, zrozumiałwszy po kosztowności podarunku, jak mocno to poselstwo zajęło jej panią, obwinęła się w daną sobie chustkę, przejrzała się z kokieterią w zwierciadle, a uśmiechając się do siebie i krygując się, rzekła:

— Blondynów nie lubię — potem pocałowała hrabinę w rękę i pobiegła wypełnić dany sobie rozkaz.

Już tydzień upłynął pobytu bohatera naszego w domu. Owiany tym duchem, który obejmuje pierś dziecka, gdy po długiej przerwie odetchnie pod dachem rodzinnym; odwiedzający z rozkoszą niewypowiedzianą każdy zakąt, po którym skakał i bujał jako chłopak żywy i poczuwający w sobie siłę i życie; pieszczony przez uszczęśliwioną matkę, słuchający ze czcią i rozkoszą rozmów wuja, — zapomniał o swojem spotkaniu przed katedrą we Lwowie, które mu z początku kiedy niekiedy przychodziło do głowy, i o swój przygodzie w podróży, która mocniej utkwiała w jego pamięci, to dziwiąc go, jako wydarzenie niepojęte, to dręcząc, jako groźna pokusa. Im był szczęśliwszym, im bardziej z głowy jego wychodził, że tak powiem, czad miasta, i zacierały się obrazy jego zepsucia, im więcej oko i myśl zaczęły przylegać do téj prostoty i czystości obyczajów, które go otaczały i w których wyrósł, — do téj szczerości i swobody myśli i słowa, które zawsze sobie odpowiadały wiernie i bez skazy, jak obraz w czystém zwierciadle odbity, — tém więcej zaczął się przypatrywać wdziękowi, naiwności i rozkosznemu rozwiciu pięknej Agaty. Dawne ich rozmowy wróciły, poufałe

i pełné żywości i zachepek; odnowiły się dawne swywole i igraszki, które ich tak bawiły przed wyjazdem jego do Lwowa; ale biedna dziewczyna, przed której duszą rozbudzoną stał dzień i noc obraz pięknego wujcia, która drżała za jego zbliżeniem się, nim się z bytnością jego oswoiła, która czerwieniła się jak róża, gdy brał jój rękę i ciągnął ją, aby mu jaki szczegół gospodarstwa swego pokazała, — nie śmiała wrócić do dawnych, niewinnych karesów, do tych pieścizot i całusów, któremi niegdyś okrywała go, to, rzucając mu się wprost na szyję, to z nie-nacka zakradłszy się i zakrywszy mu paluszkami oczy, to wyskakując z jakiego kącika, gdzie się skryła, i klaszcząc rączkami póty, póki nie przybiegł i jój nie uściskał.

Gabryel także zrobił się poważniejszym i sam tém bardziej teraz nie narzucał się pięknej Agacie, gdy widział, że czas jój dzieciństwa minął, że rozwinięta i świeża jak kwiat, na którym stoi święta kropla porannej rosy, jakby na straży jego czystości, nie nadstawia mu się jak dawniej i na podaniu rączki przestaje. Zresztą nie czuł on dla niej jeszcze nic, oprócz braterskiego przywiązania; a chociaż cieszył się jój wdziękami, jój wabiącym uśmiechem, jój dowcipnemi żarcikami, cieszył się tą niewinną radością, jakiej doznaje brat, kiedy przypatruje się pięknej swój siostrze i nie może się przezwyciężyć, aby jój nie admirował. Był to już dla niej tryumf wielki, gdyż bracia są zwykle ostatni, którzy widzą, że siostra ich piękna.

Szóstego dnia po przybyciu Gabryela, w sobotę, byli na obiedzie u księdza Pileckiego i mieli razem być na niesporach. Około godziny trzeciej, gdy proboszcz, wstawszy od stołu, usiadł w swém krześle, żeby się trochę

przedrżać, Apolonia i młodzi ludzie wyszli na wystawę i tam usiedli, patrząc na Dniestr i rozmawiając.

Po jakimś czasie Agata spostrzegła niżej, pomiędzy bocznymi krzewami wisienkę, obrzuconą czerwonymi i do-rodnymi jagodami; porwała się z miejsca i pobiegła. Gdy już była na dole, Gabryel powstał także, obszedł na lewo po pod samym parkanem i chciał złapać na uczynku dziewczynę, zrywającą wiśnie, które proboszcz pielęgnował, okrył siatką przed wróblami, i nie kazał zrywać, póki zupełnie nie dojrzały. Gdy się zbliżył o parę kroków, stanął cicho i przypatrywał się usiłowaniom Agaty i jej minkom nieukontentowania, że ani siatki odsłonić, ani przez nią jagód dostać nie mogła. Poruszenia jej były tak zgrabne, ruch i chęć dostania, podnosząc jej rumieniec, uczyniły ją tak piękną, tak powabną, że młody człowiek nie mógł od niej oczu oderwać i poczuł, że krew jego mocniej krąży i serce silniej uderza. Raptem Agata, posłyszawszy szmer liści blisko siebie, obejrzała się, i chociaż ją zmieszał niespodziewany widok Gabryela, dostrzegła jednak we wzroku jego i w twarzy coś takiego, co pierś jej zalało niewypowiedzianą radością. Spuściła więc oczy, zarumieniła się, i kładąc ręce na sercu, tuliła silne uderzenia. Wówczas jeszcze piękniejszą wydawała się Gabryelowi, który, obejrawszy się wokoło i widząc, że ich ściana gęstych krzewów zasłoniła i tylko niebo nad nimi, zbliżył się, drżąc od wzruszenia, wziął jej rączkę i, tuląc na sercu, rzekł łagodnie:

— Przestraszyłem cię, Agato!

— Nie, wujciu! — odpowiedziała stłumionym głosem i podniosła oczy na twarz Gabryela, aby się przekonać, czy to wzruszenie, które dostrzegła, nie było złudzeniem

jój oczu. Ale Gabryel objął giętką jój kibić, przycisnął do siebie, i nachylając twarz swą do jój płonącego lica, szepnął:

— Jakaś ty dziś śliczna, moja droga Agato!

— Dziś — odpowiedziała, jakby z wymówką.

— Bo dziś nie uciekasz ode mnie — rzekł, nachylając się jeszcze bliżej, i cisnąc tulącą się do piersi swych dziewczynę.

— Wujciu! Gabryelu! czyż ja biedna od ciebie uciekam? — wyszeptwała, nieprzytomna prawie od wielkiego szczęścia, Agata; usta jój zawisły na ustach młodzieńca i długie pocałowanie, z którym słodka trucizna przeszła do jój duszy, odkryło oczy tym pięknym i niewinnym istotom, pokazawszy jój, ile jest nieba w prawdziwej miłości, pokazawszy jemu, ile jest rozkoszy na ustach pięknej kobiety.

— Puść mnie, drogi mój Gabryelu! — zawołała Agata, wyrrywając się z jego objęcia, i zawstydzona, zakryła oczy i rzewnie płakać zaczęła.

— Czegoż ty płaczesz, Agato? — zapytał Gabryel prawdziwie mężkiem pytaniem.

— Idź do babci, wujciu! — rzekła, patrząc nań z miłością, jakby oczyma i ich wyrazem chciała mu powiedzieć, dla czego płacze. — Zostaw mnie tu; mnie tu tak dobrze, choć płaczę; idź, wujciu, idź!

Poszedł Gabryel, przedłużając umyślnie swą drogę, i obszedłszy cały ogród, drugą stroną na wystawę powrócił. Szczęściem, że matki już nie zastał, bo byłby może musiał jakimś kłamstwem skalać te usta, do których tylko co przyklejały się czyste usteczka niewinnej dzie-

wczyny, nie z myślą rozpusty, ale z mimowolném uniesieniem pierwszej, jedynej i nieograniczonej miłości.

Agata została wśród téj gęstwiny, gdzie przed chwilą tyle szczęścia na nią się zlało. Usiadła sobie na trawie, zakryła oczy i marzyła. Myśli jej, bujające po rajach przeszłości, wyobrażały jej wszędzie Gabryela, widziała go ciągle obok siebie, czuła się w jego objęciu, czytała w jego oczach, że ją kocha, że ją znajduje piękną, i gorący oddech ust jego owiewał ją i całą jej istotność upajał i przenikał.

Gabryel usiadł na wystawie i, rozmarzony rozkoszą, jakiej doznał, pierwszą i tak czarującą, spojrzawszy ognistém okiem na dół, ale oko to i myśl jego minęły gęstwinę, gdzie siedziała Agata, a pobiegły za Dniestr, daleko, i dziwnym, nagłym, choć może mimowolnym rzutem, postawiły go przed katedrą we Lwowie, gdzie widział utkwione na sobie, błyszczące ogniem czarne oczy, obejmował ręką kibić wyniosłą i w cudne kształty wyrobioną, i usta swe zbliżał do tych ust koralowych, które się do niego tak pięknie uśmiechały i tak melodyjnie wymówiły: dziękuję panu, bardzo dziękuję.

XI.

Na drugi dzień Agata wstała blada i z zapuchłemi oczyma, Gabryel smutny i zamysłony. Gdy się spotkali z sobą, nie powiedzieli sobie dobrego dnia, jak zwykle, nie przywitali się braterskimi karesami i swywołą, ale ona ze spuszczonej oczyma przechodziła koło młodzieńca, który nie śmiał jej zaczepiać i zatrzymywać. Matka spostrzegła tę zmianę, lecz udała, że nie widzi. Pe-

wna, że to nie jest skutek jakiejś kłótni i nieporozumienia, bo nie podobnego nie widziała, i wnosząc ze zmieszania dziewczyny i z ukradkowego spoziewania za nią syna, że może skłonność wzajemna w nich się rozbudza, że może te serca nowe i czyste, poczuwszy jakiś nieznany niepokój, nie mogą sobie jeszcze z niego zdać sprawy i przez to straciły humor i wzajemną do siebie śmiałość, uradowała się w duszy i zostawiła ich samym sobie.

Gdy przyszło iść na mszę, Agata nie wystroiła się jak zwykle, ale ubrała się skromnie, choć czysto i przystojnie; nie uczepiła się także ręki wujcia, jak zwyczajnie, ale stanęła przy babce i to z przeciwnej strony, z której był Gabryel. On udawał, że tego nie widzi, ale spoglądał co chwila na biedną dziewczynę, i widząc ją jeszcze piękniejszą w smutku i zamyśleniu, niż była w wesołości i swywoli, zaczynał zbliżać się do niej myślami i sercem, i nabierał tego przekonania, że to on jest powodem tej chmurki na jej jasnym czole, że on tylko może i powinien ją rozpędzić. Postanowił więc staraniem i dobrocią dla Agaty ująć ją jeszcze bardziej, i gdyby spostrzegł, że to ją robi szczęśliwą, że ona go doprawdy kocha, że jej radość i wesele od niego zależy, powiedzieć o tym matce i wujowi, i prosić ich, aby mu ją oddali i ustalili tym sposobem jego skromny zawód w tym życiu. Ta myśl zrobiła go weselszym i śmielszym. Przy samych drzwiach kościoła chciał się do niej zbliżyć, szepnąć jej jakie miłe słówko i zachęcić, aby się spokojnie pomodliła.

Ale tylko co miał tę myśl do skutku doprowadzić i przeciskał się przez tłum ludzi, który go był cokolwiek od matki i Agaty odsunął, gdy obaczył przed sobą znajomą sobie babę z owiej doliny, gdzie na cmentarzu noc

przepędził. Ubrana była czysto i świątecznie, choć zawsze chustka na głowie zsunięta była na prawo, i okazywała kosmyki siwych i pomiętych włosów. Ale wyraz jęj twarzy był tenże sam. Oczki jęj czarne i małe bystro wpatrywały się w zmieszanego młodzieńca, a uśmiech szyderski odkrywał parę wyżółkłych zębów. Odwrócił się Gabryel i chciał się oddalić, ale ona zatrzymała go za poję surduta i rzekła:

— Jak się masz, paniczu! Nie poznajesz mnie, bom stara i brzydka, ale tę panią poznał-bys pewnie, co to dała dukata ślepemu przed katedrą we Lwowie?

Zdumiał się młodzieniec na te słowa i, spostrzegłszy, że się baba usuwa na bok i do kościoła nie wchodzi, poszedł za nią, i dziwną jakąś ciekawością zjęty, zatrzymał ją i rzekł:

— Kto ty jesteś, czarownico, że wiesz o tém, co było przed katedrą we Lwowie?

— Dziecko z ciebie, mój śliczny paniczu! — odpowiedziała, śmiejąc się. — Nazywasz mnie czarownicą, a pytasz się, zkąd ja wiem. Choćbym nie była czarownicą, tobym mogła wleźć. Tam przed kościołem siedziało dużo dziadów i bab, aleś ty nikogo nie widział, boś się bardzo zapatrzył.

— Więc i ty byłaś tam wtedy?

— Oho! ja zawsze tam jestem, gdzie potrzeba żebym była — odpowiedziała baba, patrząc nań z ukosa i uśmiechając się złośliwie. — Anastazyja wszędobylska, i wiele, wiele wie. Zapytaj się o mnie tych, co mnie znają, oni ci powiedzą. I teraz mogłabym ci coś powiedzieć o tej pięknej pani, ale ty pewnie rzucisz moje słowa tak, jak rzuciłaś dukaty na „Pustce Djabelskie“. Oj! szczęśliwy

paniczu! niedarmo ci kwiat paproci zapadł do kieszonki. Choćbyś nie chciał, będziesz tak bogatym i będziesz miał prześliczną żonę.

Stał nieporuszony Gabryel, tarł ręką czoło i sam nie wiedział, co myśleć i co począć. Chęć dowiedzenia się o tej pięknej kobiecie, której rysy, wejrzenie i głos zostały w jego myśli, bojaźń i wstyd takiej ciekawości nieporzebnej i może grzesznej, staczały w sercu jego chwilową, ale silną walkę. Gdy podniósł głowę, spostrzegł babę z daleka, opartą o jedną z lip kościelnego dziedzińca, i patrzącą nań z jakąś szatańską ironią. Obejrzał się wokoło i widząc, że dziedziniec był pusty, że oprócz ich dwojga nikogo nie było, przystąpił do niej prędko, i biorąc za rękaw jej koszuli, rzekł:

— Słuchaj, babo! ty mnie kusisz i kłamiesz... tyś nie była we Lwowie i nie znasz tej pani, o której wspomniałaś.

— Ej! gadaj sobie zdrów, paniczu! — odpowiedziała, zaśmiaawszy się głośno — a zkądżebym wiedziała, że ty o niej pamiętasz, i żeś się dobrze zagawronił, kiedy ci podziękowała za to, żeś podjął z ziemi dukata i położył na dłoni ślepemu dziadowi.

— To rzecz niepojęta! — mruknął Gabryel, a po chwili dodał głośniej: — I ty ją znasz, dziwna babo?

— Jakbym jej nie miała znać? — odpowiedziała baba seryo i drapiąc się w głowę. — To wielka pani, młoda i śliczna jak łania, i umie kochać, kiedy jej kto w oczy wpadnie. Oj! szczęśliwy paniczu! ona ciebie pamięta tak, jak ty o niej nie zapomniałeś. Pewna jestem, że gdybyś ją obaczył, tobyś od razu poznał.

Gabryel westchnął, odwrócił się i nie na to nie odpo-

wiedział. Baba tymczasem wyjęła z zanadrza pudełko, otworzyła je i, trzymając w ręku, rzekła:

— A patrz-no, paniezu! czy widziałeś to kiedy?

Spojrzał młodzieniec i widząc w ręku stariej kobiety znaną sobie twarz, która zdawała się patrzeć na niego, do niego się słodko uśmiechać: — To ona! — krzyknął mimowolnie, i pochwyciwszy miniaturę, przypatrywać się jej zaczął. Dłonie jego drżały, nogi się pod nim trzęsły, krew dwudziestoletnia zaczęła grać w jego żyłach i bić mocno we wszystkich pulsach. Nie mógł się napatrzeć na tę cudną twarz, na te oczy czarne, jaśniejące miłością, na te usta koralowe, z których zdawał się wydobywać oddech rozkoszy i szczęścia, na to łono odkryte, które ciągnęło ku sobie wzrok i ćmiło go blaskiem śnieżnej białości. Nachylony nad swoją dłonią, w której była miniatura, odwrócił się od plugawej baby, żeby nie widziała wrażeń, jakiego doznawał, i tak stojąc długo się wpatrywał, przysuwał coraz obraz, jakby ożywiający się pod jego wzrokiem, i byłby go tysiącznemi okrył pocałowaniem, gdyby nie wspomniął, że nie jest sam, że ma świadka, którego brzydkie lice i śmiech szatański mogą mu zepsuć całe złudzenie. Gdy po kilku minutach opanował pierwsze wzruszenie i obejrzał się po-za siebie, już baby nie było. Zadziwiony i strwożony, wybiegł za furtę kościoła, ale ulica na prawo i na lewo była pusta, i żywej duszy na nią nie widział. Sądząc więc, że stara czarownica weszła do kościoła, zbliżył się prędko ku drzwiom jego, ale i tam jej nie dostrzegł. Zatrzymał się więc na miejscu, i w jednej ręce trzymając miniaturę, której stał się właścicielem, a drugą zakrywszy oczy, zagłębił się w myślach: jakim sposobem rzecz tak kosztowna dostała się do tej podej-

rzanęj kobiety? dla czego jemu właśnie przyniosła ją, i w jakim celu w rękach jego zostawiła? Wszystko to wydało mu się dziwném, niepojętém, i przywodziło na myśl spotkanie z owym jeźdźcem na karym koniu, nocleg na cmentarzu, owe dukaty, któremi się kieszenie jego napełniły. Strach go ogarnął, zimno jakieś mimowolne przeżywało jego członki, i choć go dziwna jakaś siła ciągnęła do tego wizerunku, od którego ócz oderwać nie mógł, czuł się nieszczęśliwym, czuł się występny, i sam nie wiedział, co począć i gdzie szukać ulgi i rady. Z razu chciał odrzucić od siebie pokusę, którą widać na zgubę w rękę jego zostawiono; ale gdy spojrzał na tę twarz anielską, nie mógł się zdobyć na tyle odwagi. Zamknął więc pudełeczko, schował swój skarb i stanął we drzwiach otwartych kościoła. Od wielkiego ołtarza dzwonek dał się słyszeć. Lud cały upadł na kolana. Było to podniesienie. Gabryel widział ode drzwi pochylone głowy pobożnych, widział siwą głowę swego wuja, i wyciągnięte jego ręce, w których podnosił Hostyę. Chciał także uklęknąć, chciał się ukorzyć przed tym widomym obrazem męki i ofiary, ale uczuł się niegodnym, uczuł, że ten wizerunek, który miał na piersiach, pali go dziwnym ogniem, i niejako pisze na sercu jego rozbrat z niebem i Bogiem. Przestraszył się więc sam siebie i uciekł, sam nie wiedząc dokąd pójdzie, i gdzie przed przesładującą go pokusą schronić się zdoła.

Tymczasem nabożeństwo się skończyło. Apolonia, która tym razem modliła się bez uwagi i z roztargnieniem, gdyż co chwila oglądała się, gdzie Gabryel, wyszła z Agatą, prawie przed wszystkimi, i udała się prosto do

domu. Ale i tu nikt młodzieńca nie widział. Niespokojna, co się z nim stało, rzekła do Agaty:

— Co to jest Gabryelowi? Czy nie zdrów, czy zmaltwiony? gdzie on teraz?

— Nie wiem, babciu droga — odpowiedziała dziewczyna, blednąc i spuszczać oczy.

— Na mszy nie był.

— Nie był, babciu — odpowiedziała, wzdychając.

— Czegoż ty wzdychasz i bledniesz? — zapytała Apolonia, biorąc jej rękę.

— Nie wiem, babciu droga — rzekła Agata — alem niespokojna i tu mi źle bardzo. Serce mi się czegoś ścisła i chce płakać. — To powiedziawszy, zalała się łzami i utuliła głowę swą na piersiach babki.

— Może Gabryel jest na probostwie. Pójdź, moje dziecko, obacz.

Agata już była za drzwiami i pobieгла pędem strzały. Tymczasem Apolonia usiadła w swoim krześle, oparła głowę na dłoni i myślała sobie: czemu z tak małej przyczyny tak wielki ją ogarnął niepokój; dlaczego Gabryel tak się raptem zmienił; dla czego Agata zdaje się cierpieć i być nieszczęśliwą? Dziwne przecucia, obawy i trwogi powstały w jej sercu. I nie dziw! — Nie masz bujniejszej i obfitszej w obrazy imaginacyi, szczególnie w obrazy trwogi i klęsk, jak imaginacja matki, gdy ma powód zaдрżeć o swoje dziecko. Bo jak oko jest najdelikatniejszą, najdrażliwszą, najszlachetniejszą ze wszystkich części naszego ciała, tak uczucie macierzyństwa jest najświętszą i najwznioślejszą, ale także najdotkliwszą modyfikacją naszej duszy. Jest to prawdziwie boski rys wiary naszej, że ubóstwiła macierzyństwo, i w cudny przyodziewając je

symbol, umieściła przy tronie Najwyższego. Jako pośredniczka między stworzeniem a Stwórcą, jako opiekunka i orędowniczka większej połowy rodzaju ludzkiego, stoi tam w koronie gwiazdzistej matka, źródło życia, szczęścia i miłości. Reformatorowie katolicyzmu, oskubawszy święte drzewo wiary z tego kwiatu, z tej najwyższej jego piękności i duszy, zrobili z niego trupa, przyszli rozbiorem do szkieletu, do gołych i wysuszonych przez rozum gałęzi, które nie mają ani kształtów dla ich oka, ani cieniu i ochłody dla ich znużonej duszy. Ile razy widzę w smutku i trwogach matkę jaką niekatoliczkę, jakże serdecznie jęj żałuję! jęj serce nie ma nigdzie przytułku, jęj myśl tuła się po niebie i nie znajduje tam żadnego oblicza, w którym byłoby dla niej miłosierdzie, obietnica pociechy i wstawienia się. Apolonia znalazła prędko ratunek w swoim niepokoju. Nie mogąc się doczekać Agaty, która dłużej bawiła, niżby tego wymagała odległość domu od probostwa, młodość i żywość posłanniczki, — wstała, poszła do swego pokoju, i upadłszy na kolana przed obrazem Bogarodzicy, na jęj łonie macierzyńskim złożyła swoje trwogi, swoje modlitwy, swoje nadzieje. Łzy ulgi zalały jęj szanowne oblicze, i umocnienie spłynęło z tej boskiej twarzy, która zdawała się jęj mówić: Uspokój się, matko! znam twoją boleść, jam z tobą!

Agata nie znalazła Gabryela na probostwie. Nikt go tam nie widział nawet przed nabożeństwem, gdyż dziś nie przychodził oddać dobrydzień wujowi, co zwykle czynił. Zmieszana, więcej przeczuciem kochającego serca, które od chwili samopoznania zrobiło się trwożliwszém niż dawniej, więcej niż nieobecnością krewnego, nie mogącą jeszcze zatrwazać i tak bardzo niepokoić, wbiegła do ko-

ściola, chcąc powiedzieć ks. Pileckiemu, co się stało. Ale proboszcz modlił się jeszcze przy ołtarzu, po odprawieniu mszy świętej. Nie chciała mu Agata przerywać, a bojąc się narazić babkę na czekanie, kiwnęła na zakrystyana i szepnęła mu, aby prosił ks. Pileckiego, aby przyszedł zaraz do siostry, jak skończy modlitwę, a sama pobiegła do domu.

W wąskiej przedmieściowej uliczce, zarosłej trawą, pomiędzy parkanami i płotami, które ją z obu stron ograniczały, szła zakochana dziewczyna z głową nachyloną ku ziemi i ciężką myślami przyszłości, które snuła, ciągnąc to nitkę różową, to złotą, a najczęściej czarną. Żadnej sąsiadce nie rzuciła z uśmiechem *dobrydzień, jak się macie*; żadną śpiewką nie objawiła bytności swojej na ulicy jak dawniej, aby mieszkańcy jój wiedzieli, że ich faworytka jest, choć jój nie widzą, jak rolnik wie, że skowronek nad nim buja, choć go oko jego nie dostrzega.

Już niedaleko od domu poczuła, że ją jakaś ręka za spódniczkę przytrzymuje. Obejrzała się i spostrzegła obok siebie siedzącą na kłodzie babę, której widok ją przeraził. Była to Anastazyja ze swym przenikliwym wzrokiem, z pomarszczoną twarzą, z tym szatańskim uśmiechem, co jakby szydził z cudzych myśli, które zgadywała. Jedną ręką ciągnęła z lekka idącą Agatę, a drugą skrobała się w głowę, zsuwając na bok jój nakrycie, i okazując siwe potargane włosy.

— Gdzież to tak prędko bieżysz, moja śliczna? — rzekła Anastazyja.

— Puść mnie, kobieto! — odpowiedziała Agata, wyrrywając swoją spódniczkę, i pragnąc jak najspieszniej uciec od tego straszdyła, z którym spostrzegła się sam

na sam. — Puść-że mnie, nie mam czasu, mnie pilno do domu.

— Wiem, wiem, że ci pilno — rzekła, śmiejąc się, stara, i puszczając dziewczynę. — Idź, idź, ale jego tam niema.

— Kogo niema? — zawołała zdziwiona Agata, i widząc, że baba, oparłszy brodę na dłoni, patrzy na nią i śmieje się, dodała: — Czego ty się śmiejesz, stara?

— Hm! stara, stara! myślisz, że to tak łatwo być starą? — odpowiedziała Anastazy, wlepiając w nią wzrok przenikliwy. — Kto wie, czy doczekasz starości. Kto wcześniej zaczyna kochać się, ten prędko umiera.

— O mój Boże! — rzekła sama do siebie biedna dziewczyna, blednąc i cofając się. — Zkąd-że ona to wie? więc mój sekret już wszystkim wiadomy?

— Czemuż nie idziesz? — dodała Anastazy z ironią — a tak ci było pilno! Gabryelowi widać nie tak pilno do ciebie. Szkoda cię, moja dziewczeczko, boś ładna. Ale cóż poradzisz, kiedy są ładniejsze na świecie.

Agata załamała rączki i tak stała bez ruchu, drżąc i milcząc. Anastazy, powstawszy, zbliżyła się do niej i, gładząc ją pod brodę, rzekła:

— No, no, nie bój się, jest na to rada. Chodź-no, siadź tu przy mnie, pogadamy. Ja dużo rzeczy na świecie widziałam, i poradziłam już niejednemu. Oho! chłopiec to, jak złoto, ten Gabryel! warto się postarać, żeby go mieć, a zwłaszcza, kiedy i serduszko do niego rwie się. A prawda, że rwie się? Co, może nie?

Agata zakryła twarz obiema rękami, nic nie odpowiadając. Stara wzięła ją za rączkę, pociągnęła ku sobie i posadziła obok siebie na kłodzie. A potem, zaśmiawszy się głośno, rzekła:

— A widzisz, jak to źle tak nie patrzeć na ludzi. Żebyś cię była sama nie zatrzymała, byłabyś przebiegła koło mnie, nie widząc, i bywaj zdrów! nieby nie było z miłości. A teraz, jeżeli mi się ładnie wypowiadasz, wszystko powiesz, co masz w główce, to kto wie, może prędko, prędiutko Gabryel będzie twój duszą i ciałem.

Agata podniosła głowę i patrzyła na babę z niedowierzaniem. Anastazy spostrzegła to, odgadła jej myśl i dodała:

— Nie wierzysz mi, dziewczeczko? to źle, a ja mam już siedemdziesiąt lat, i babkę twoję wykołysałam.

— Ty znasz moję babcię, kobieto? — zawołała Agata, oswajając się z czarownicą, która się przymiliła.

— Ehe! kogo ja nie znam? — odpowiedziała Anastazy, drapiąc się w głowę. — Już więcej jak pięćdziesiąt lat chodzę po świecie, to tu, to tam. A pięćdziesiąt lat, to bardzo wiele! tego na palcach nie porachujesz; można wiele biedy doświadczyć i wiele ludzi zaznać. A tobie pewnie szesnaście lat, nie więcej?

— O! już dawno minęło — rzekła, ośmielając się, Agata — już blisko trzy miesiące, jak były moje urodziny. Teraz mam już siedemnasty rok.

— Aj, aj! siedemnasty rok dla ładnej dziewczyny — odpowiedziała baba — to słiczny wiek; to rok miłości i szczęścia.

— Gdzie tam — odezwała się smutno Agata — szczęścia nie ma. Nim wujcio wrócił, to mi tak dobrze było na świecie! tylko skakałam i śpiewałam, czekając aż przyjedzie. A jak przyjechał...

— A jak przyjechał, to się zaraz śnił i spać nie dał. Nie prawdaż? — dodała baba, zaśmiawszy się i pokazując

dolne zęby, które się pochwiały. Odwróciła się Agata ze wstrętem i umilkła, a stara, wzięwszy jej pulchną rączkę, rzekła: — Nie bój się, to tak zwykle bywa, że dziewczyna, kiedy wyrośnie w domu i obaczy ładnego chłopca, który jej do serca przypadnie, to go z razu więcej pokocha, niż on ją. Bo ona nie widziała nikogo i czysta, jak woda zdrojowa, a on był między ludźmi, i widział to tę, to drugą, a może się jaką i zabałamucił, i nim zapomni tamtych, a przypatrzy się tej, to trzeba na to czasu i cierpliwości. Ale to przyjdzie, oj! co przyjdzie, to przyjdzie! On ciebie potem nawet więcej będzie kochał, niż ty jego, jeżeli tylko dobrej rady posłuchasz.

— A któż mi poradzi? — odpowiedziała Agata — kiedy ja biedna sierota, nie mam nic, jestem na łasce babci, a może i nie taka ładna, jak tamte, które on widział.

— E, wszystko to nic — rzekła baba, patrząc na nią z ukosa — wszystko to nic, choćby mu tam gdzie i wpadła w oczy jaka wielka pani, młoda, śliczna i bogata. Zapomni on o niej, bądź pewna, tylko posłuchaj mnie i rób tak, jak ja ci poradzę.

— Wielka pani, młoda, śliczna i bogata? — powtórzyła zalekniona dziewczyna, prawie z jękiem. — Wielka pani! o mój dobry Boże! gdzież on mógł się poznać z wielkimi paniami, albo jak śmiał do nich przystąpić?

— Dziecko jesteś, żeś się tak przestraszyła — rzekła Anastazyja — ja to tak sobie powiedziałam na domysł. Może tego i nie było wcale — dodała, przechyliwszy głowę i zsuwając na bok jej nakrycie — może on żadnej i nie widział, może się żadnej nie podobał. Choćby nie było nic dziwnego, bo wielkie panie mają dobre oczy i umieją przywabić i ośmielić biednego chłopca, jeżeli taki

piękny, jak Gabryel. Bo pięknyż on, piękny, jakby jakie malowanie! Nie prawdaż, moje dziecię?

Agata spuściła oczy, zaczerwieniła się i westchnęła głęboko; a potem, załamując ręce i cisnąc niemi serce, zawołała:

— Oj! biedna ja dziewczyna! bardzo biedna!

— Ej! daj-no pokój temu smutkowi — rzekła, klepiąc ją po ramieniu Anastazy. — Co to za bieda kochać ślicznego chłopca, kiedy sama młodziutka i ładna i kiedy ja ci obiecuję, że cię będzie kochał jeszcze więcej, niż ty jego?

— Więcej on nie potrafi mnie kochać nigdy, jak ja jego pokochałam, ot tak, ni ztąd ni z owąd, od pierwszego dnia, jak wrócił do nas — odpowiedziała Agata, płacząc i ocierając oczy fartuszkciem. — Nawet nie chciałabym, żeby mnie więcej kochał, bo to tak jakoś boli tu, że świat boży zamyka się przed oczyma, i niczego się nie chce, tylko płakać. Pierwój ja nie taka byłam. Śpiewałam sobie i skakałam, jak ptaszek w gaju, co o niczém nie myśli, tylko żeby było ziareczko i słońce. Ledwo rano wstałam i zmówiłam pacierz, zaraz brałam się, śpiewając, to do jakiej roboty, to do jakiej posługi dla babci; a jeżeli Pan Bóg dał niedzielę, lub jakie święto, to zaraz myślałam sobie, jak się wystroję, żeby ludzie na mnie wytrzeszczali oczy, i żeby mi wszystkie dziewczęta zazdrościły. A od kiedy wujcio przyjechał, wszystko to ani mi w głowie, tylko wszędzie jego widzę, jego kroki słyszę i o tém tylko myślę, żeby na mnie spojrzął, żeby mnie pogłaskał, żeby do mnie dobre słowo przemówił. Bo sama nie śmiem, jak bywało dawniej, do niego przyskoczyć, rzucić się na szyję, wycałować go, albo drażnić się z nim i uciekać

przed nim, kiedy jemu przyszła ochota mnie złapać i uściśkać.

— Więc teraz przed nim nie uciekasz? — zapytała baba z uśmiechem.

— A nie — odpowiedziała dziewczyna. — Wczoraj zastał mnie w gaju na probostwie, kiedym chciała wiśnie zrywać. Przestraszył mnie, bo mnie szedł znienacka; ale jak spojrzałam mu w oczy, co tak słodko na mnie patrzyły, jak mnie objął i przycisnął do siebie, to mi ciemno się zrobiło, zapomniałam o świecie, i tylko to pamiętam, że ust moich od jego ust oderwać nie mogłam, że gdybym tak była skołała wtenczas, kiedy mnie całował i tulił do siebie, to nie pragnęłabym nic więcej i dziękowałabym Bogu za taką śmierć. Ale potem...

— Cóż potem? — zapytała ciekawa czarownica.

— Potem gorzko płakałam, jak poszedł... oh! byłam taka nieszczęśliwa, że gdyby mnie kto był wziął i do Dniestru wrzucił, tobym była wdzięczną. O Boże! Boże! mnie się w głowie miesza, jak pomyślę, co ze mną będzie, jak Gabryel nie znajdzie się, albo jeżeli to prawda, że jemu jaka pani podobała się.

— Posłuchaj-no mnie teraz, biedna dziewczeczko! — rzekła, niby z interesem Anastazyja, wzięwszy jęj rękę: — już ja to widzę, że ty go bardzo kochasz... no, ale nie płacz-że tak... kochać, to dobrze i miło, tylko samej kochać, to wielka bieda i nieszczęście. A żeby tak nie było, to ja na to poradzę, bo mi cię żal bardzo.

Agata obtarła fartuszkciem oczy, popatrzyła na babę z ciekawością i oczekiwaniem, i płacząc i śmiejąc się, rzekła:

— Powiedz, powiedz, dobra staruszeko... ja cię we

wszystkiem usłucham, bo widzę, że mi ciebie Pan Bóg zesłał.

Drgnęła twarz czarownicy na te słowa, na ustach jej pokazał się szyderski uśmiech, ale pokonała się prędko, i udając przeniknioną stanem dziewczyny, rzekła:

— Najpierw powiem ci, że Gabryel za dwie, albo za trzy godziny przyjdzie. Widziałam go, jak pobiegł za miasto ku lasowi. Jemu także widać niedobrze w głowie i w sercu. Przebiega się, ochłodzi, namyśli i powróci spokojniejszy.

— I ty wiesz, co jemu jest? — spytała strwożona Agata.

— E, może wiem, może nie wiem — ale co tam, to do rzeczy nie należy. Otoż słuchaj! jak przyjdzie Gabryel do domu, niech ciebie zastanie na ganeczku. Przemyj oczki, żeby nie widział, żeś płakała; udaj, że ciebie to nic nie obeszło, że go tak długo nie było. Bądź wesoła, jak pierwój, i żartuj sobie z niego, że się wałęsa nie wiedzieć gdzie.

Agata zaczęła kiwać główką, jak gdyby chciała dać poznać, że jej to będzie trudno; a stara, zgadując jej myśli, dodała:

— Czy myślisz, że to tak trudno? Spróbuj tylko, i myśl sobie: poczekaj, chłopcze, zapłacę ja ci tę mękę wtenczas, jak mnie szalenie pokochasz i będziesz za mną biegał. Bo tak będzie, ja ci to mówię.

— Ach! trudno to, trudno — zawołała Agata ze zwątpieniem.

— Gdzie-tam trudno, takiój dziewczynie jak ty, co jak krew z mlekiem. Albo to ty nie masz czarnych oczu, rumianych ustek, białych ząbków? Alboż szyjka twoja

nie okrągła, piersi nie wypukłe, koszulka nie cienka i nie roztwarta, żeby przez nią oko jego mogło tam zajrzeć, gdzie twoje serduszko bije. Widzisz, trzeba się starać, żeby cię zawsze widział piękną; trzeba się do niego czasem przysunąć i jak cię obejmie, jak się do ciebie przytuli, to nie stronić od niego, pozwolić mu, żeby z bliska popatrzył w twoje oczki, żeby usteczka twoje były blisko ust jego, kiedy do niego będziesz szeptać. A jak czasem w ogródku zobaczysz, że on tamże wieczorem chodzi zamysłony, to przybiegnij tam i pociesz go. Przypomnij sobie, jak ci było wczoraj, kiedyś z bliska patrzyła w oczy Gabryelowi, a on tulił cię do serca i usta twoje całował. Otoż tak i jemu, bo on także młody i ma oczy, i wie co ładne i dobre. Jak zmiarkuje raz, że jemu z tobą raj na ziemi, to zawsze tego zechce i obaczysz, jak cię pokocha. A dobrzeż to razem, nie prawdaż?

Agata zaczerwieniona i rozmarzona tym zdradzieckim obrazem, zakryła twarz obiema rękami i czuła, jak jęj płonie, jak ją wstyd oblewa i żądze jakieś trawia. Stara, oparłszy ręce na swojej laseczce, patrzyła na nią z dziwnym jakimś wyrazem, a potem, zaśmiaawszy się, rzekła:

— Idź teraz, dziewczyno, do domu; tylko nic nie mów przed nikim, żeś tu ze mną gadała.

To powiedziawszy, poszła. Agata została jeszcze na miejscu, dręczona i trwoga, i miłością, która ziścić się miała. Chciała się pomodlić, aby ją Bóg natchnął, co zrobić, co począć. Ale słowa pacierza płątały się z obrazem szczęścia i miłości. Nie mogąc dokończyć krótkiej modlitwy, powstała, obejrzała się po pustej już ulicy i poszła do domu.

We trzy godziny potém Gabryel wrócił, blady i zmęczony. Agata przywitała go na ganeczku z twarzą na pozór spokojną, choć jój serce okropnie biło. Młodzieniec zbliżył się do niéj i, wyczytawszy w jój oczach cały niepokój, który ją dręczył, wziął łagodnie jój rękę i zapytał o matkę.

— Babcia czeka cię, wujciu, i płacze, i ksiądz proboszcz tam jest także. Wszyscyśmy byli bardzo niespokojni. Co się tobie stało ?

— Nie — odpowiedział Gabryel, spuszcżając oczy. — Poszedłem sobie za miasto, tam w lasku położyłem się pod drzewem i zasnąłem. Dla tego tak późno wracam.

— Chodź-no tu, wujciu, bliżej, ja ci coś do uszka powiem. — Gabryel przystąpił, ona przyklękła na ławce obydwoma kolanami, uczepiła się obiema rękoma jego szyi, i, nachylając jego głowę i przykładając usta do jego ucha, szepnęła: — Kłamiesz, wujciu!... ale idź, idź do babci; pogadamy potém.

Gabryel zmieszał się trochę; prędko jednak przychodząc do siebie i czując magnetyczne zbliżenie ślicznej dziewczyny, objął klęczącą, przycisnął do piersi, a drugą ręką, podnosząc z lekka ładną jój twarzyczkę, zbliżył swe usta do jój usteczek, parę razy pocałował i prędko wszedł do sieni, cały drżący i zaczerwieniony.

Agata, odurzona tak niespodziewaném przywitaniem, usiadła, zakryła rękami zapłnione lice i szepnęła sobie: — Oh! jabym umarła, żeby on mnie nie kochał.

Gabryel uspokoił, jak mógł, matkę i wuja. Mówił, że sam nie wie dla czego mu się zrobiło jakoś smutno i tęskno; że go powietrze miasta dusiło; że dla téjże przyczyny i do kościoła nie wszedł, tylko przy drzwiach Mszy

Świętej słuchał; a potem pobiegł zaraz za miasto, w las, tam długo chodził, później zmęczony położył się pod drzewem i zasnął. Mówiąc to, czerwienił się chłopak i spuszczał oczy, bo kłamał, i kłamał po raz pierwszy przed tą jedyną matką, która dotąd znała całą jego duszę; przed tym wujem, który wlał w niego wszystkie myśli i zawsze je dotąd przenikał.

Apolonia, siedząc w krześle, słuchała spokojnie jego opowiadania; ksiądz Pilecki przechadzał się po izbie i kiedy niekiedy tylko stawał, wpatrując się głębiej w twarz siostrzeńca; ale ani matka, ani wuj nie wierzyli zupełnie tej powieści, ułożonej niezręcznie i wypowiedzianej z rumieńcem, spuszczeniem oczu i jękaniami się.

Wszakże nie dali mu poznać, że nie wierzą i posadzają go o kłamstwo. Ksiądz Pilecki tylko dodał, że mógł być doczekać do końca Summy, choćby pod lipami dziedzińca kościelnego, i uprzedzić ich przez kogokolwiek, że pójdzie w las i zabawi z parę godzin.

— Nabawiłeś niepotrzebnie niepokoju nas wszystkich — dodał surowiej — a szczególnie matkę, która płakała z twojej przyczyny.

Gabryel rzucił się do nóg matce, ona go podniosła, uściskała, i tak się tymczasem wszystko skończyło.

Gdy brat i siostra zostali sami, ksiądz Pilecki rzekł:

— Kłamię, kłamię, moja siostro! trzeba jak najprędzej wydobyć z niego prawdę, żeby się nie przyuczył kryć się przed nami. Jakaś tajemnica go dręczy. Możesz ty nie uważać tego, ale ja ci powiadam, że on już wrócił ze Lwowa nie tak swobodnym, nie tak spokojnym, jak się w ostatnich listach odmalował.

— To ci się wydało, mój drogi bracie — odpowiedzia-

ła Apolonia z uśmiechem. — Widzę ja to i sama, że teraz Gabryel nie powiedział nam wszystkiego, co myśli, że jakiś niepokój go opanował, że się w nim coś zmieniło. Ale żeby miał takim z drogi wrócić, to nie, mój bracie. Ta zmiana zaszła w nim tu i to niedawno. I nie tylko w nim ją postrzegam. Agata dziś całą noc wzdychała. Biedne dzieci, same nie wiedzą, co się im zrobiło.

Proboszcz kiwnął ręką, jak gdyby nie dowierzał. Apolonia, postrzegłszy to, dodała:

— Czyżbyś nie kontent był, gdyby czysta i święta skłonność skojarzyła ich serca? Co do mnie, mój braci-szku, jabym podziękowała Bogu za to natchnienie. Życzenia serca mego spełniłyby się prędzej, niżem się spodziewać śmiała.

— Ależ on taki młody, moja sestro! — zamknąłby sobie świat i cały zawód jego już byłby skończony.

— A jakież ma być jego zawód? — odpowiedziała matka, strwożona temi słowy brata. — Czy znowu rozdział? czy znowu miałby pójść ode mnie? i dokąd? na naukę? Nauka dla niego najzdrowsza, najpożyteczniejsza, w pracy i w przykładach, jakie ma z naszego życia. Wszak on syn chłopą, rolnika i kołodzieja. Niech robi to, co ojciec jego robił, do czego ten, po długim doświadczeniu, po ciężkich zawodach powrócił, i w czém dopiero na starość znalazł spokój i szczęście. Czy chciałbyś, bracie, aby doświadczenie ojca było straconém i nieużytecznym dla syna? aby przez ciernie i głogi, przez jakie tamten przechodził, i ten szedł, i żeby dopiero pokaleczone i poraniony wrócił do tego, co może mieć zaraz, gdy jeszcze cały, młody i niewinny duszą i ciałem? O! ja na to nie pozwolę, mój bracie, i pewna jestem, że ty, któryś

był moim i jego dobroczyńcą, nie zechcesz wystawić go na próby życia, a mnie na troski i męczarnie, któreby może złamały od razu moje serce.

— Obaczmy, obaczmy, moja siostró — rzekł ksiądz Pilecki, uspakajając Apolonię. — Jeżeli doprawdy tak jest, jak ci się wydaje, i miłość, która się niespodzianie ocknęła w jego sercu nowém i niewinném, jest istotnie przyczyną tego niepokoju, to się pokaże; i wtenczas Bóg da natchnienie i nauczy, jak postąpić. A tymczasem przypatruj się im pilniej i staraj się przekonać, czy tak jest, jakeś sobie ułożyła.

— A ty, bracie, zawsze myślisz, że to co innego.

— Nie mówię ani tak, ani nie... obaczmy.

Ksiądz Pilecki pożegnał siostrę temi słowy, i — przechodząc przez dziedziniec — postrzegł Gabryela, który stał oparty pod dębem, na którym było bocianie gniazdo, i patrzył daleko, za Dniestr; patrzył z napięciem, jak gdyby dusza wyrывała się przez oczy i pobiedz chciała tam, gdzie ją przeznaczenie jakieś ciągnęło. Zasmucił się tym widokiem przezorny i doświadczony kapłan, ale zostawił to czasowi, i nie badając bynajmniej Gabryela, ani dając mu poznać, że go widzi, poszedł do domu.

XII.

We trzy dni po téj niedzieli, tak pamiętnéj w rodzinie naszego bohatera, w Dusanowskim pałacu cała służba była na nogach. Dwa ważne powody sprawiły ten ruch i zakręt: najprzód, pan hrabia Tumierski był mocno chory i prawie konający; powtóre, pani hrabina wstała wczęsniej, niż zwykle, bo przed jedenastą godziną, i kazała

sobie raptem podać śniadanie. Co ważniejsza, że pani hrabina była w złym humorze, nie dla tego, że pan hrabia konał, ale, że posłana przez nią Karolina nie wracała. Na nieszczęście, kucharz nie miał jeszcze nic gotowego, gdyż całą godziną pierwěj, niż zwykle, dzwonki rozbijające się dały znać, że pani chce jeść i to zaraz. Herbatą zbyć jēj nie było można, nie lubiła bowiem herbaty, jako mdlėj, — kawy nie pijała, jako rozpalającėj krew, już i tak płonąć ogniem młodości i życia. Potrzeba więc było wymyślić jaką essencyonalną zupę, sporządzić bifstek, lub podać pularde, albo kapłona. Wszystko to nie dało się tak prędko zrobić, żeby było świeże, i gorące, i smaczne.

W eleganckim salonie, wychodzącym na dziedziniec, siedziała Helena, w lekkim ranném ubraniu, przed stolikiem nakrytym przepyszną porcelaną, — i oczekując śniadania, które nie przychodziło, z niecierpliwości szczerbiła nożem talerze. Już tym sposobem kilka ich zepsuła, których szczątki kamerdyner zbierał i innemi zastępował. Z tego salonu przez kilka pokoi był apartament hrabiego, z kąd przez drzwi otwarte słyhać było czasem jęk starca, oraz rozmowę lekarza i sługi, krzątających się koło chorego.

— Pozamykaj te drzwi — rzekła Helena do kamerdynera, ukazując z grymasem na drzwi mężowskich pokoi. — Tak tam hałasują, a odor lekarstw nie da mi zjeść śniadania.

Pobiegł kamerdyner i, zamknąwszy dwoje drzwi, powrócił.

— Karoliny niéma jeszcze? — zapytała znowu Helena.

— A niéma, jasnie wielmożna pani — odpowiedział

kamerdyner, schylając się po kawałki talerza, który w téjże chwili pękł pod nożem uderzającym go z niecierpliwością.

— Czy śniadanie to będzie dziś, czy nie? — zapytała Helena, kładąc się na krzesło i zakładając ręce, jak czynił niegdyś Napoleon.

— W ten moment — odpowiedział kamerdyner. — Jasnie wielmożna pani całą godziną raniiej dziś wstała. Nie może być tak prędko.

— Osły jesteście! — krzyknęła Helena, i delikatną nóżką trąciwszy stolik, wywróciła go z całém nakryciem, także tak, jak Napoleon wywrócił stół z rosołem w Dreźnie, kiedy mu dano znać o wzięciu Vandama. Potoczyły się szklaneczki rżnięte i kieliszki, karafki stuknęły o posadzkę; popłynęło bordeaux krwawym strumieniem i zmieszało się z wodą rozlaną, jakby to było w lochu jakiego kupca; brzękły noże i łyżki srebrnym dźwiękiem, a porcelana, uderzywszy o ziemię, zaległa w kawałkach przed nogami zdumionego kamerdynera. Patrzyła na to wszystko zimno, nadąsana Helena; a stary sługa, ruszając ramionami i kiwając głową, zwołał prędko kolegów, którzy te ruiny uprzątnęli, i za parę minut wniesli inny stolik, zupełnie jak tamten nakryty.

Nareszcie pokazało się śniadanie i w téjże samej chwili dał się słyszeć turkot na dziedzińcu.

— Obacz! — zawołała Helena, maczając lewą ręką kawałek bułeczki w zupie, którą przelewała prawą, żeby ją cokolwiek ostudzić.

— Ten doktor, po którego nasz konsyliarz z rozkazu jasnie wielmożnej pani posyłał — rzekł kamerdyner, patrząc w okno. — Ruszyła ramionami głodna żona umie-

rającego, i zaczęła kosztować i smakować doskonale przyrządzoną potrawę. Po chwili wszedł wyelegantowany młody jeszcze mężczyzna, w czarnym fraku, z batystowymi żabotami, zapiętymi dużą brylantową szpilką, w kolorowym halsztuku, którego węzeł przechodził przez pierścion, naokoło obsadzony brylantami i świecący na froncie drogiem kamieniem, większym niż inne, które go otaczały. Był to mocny brunet z ufryzowaną głową, z wielkimi bakenbardami czarnymi, z nosem śpiczastym i ostro wyciętymi wargami. W jednej ręce trzymał kapelusz, a w drugiej, obnażonej z rękawiczki i ustrojonej w mnóstwo pierścioni, trzymał trzecinę z gałką topazową, ładnie w złoto oprawną. Łańcuszek bogaty od zegarka zaczepiony był na ostatni guzik kamizelki i zakończył się pękiem złotych kluczyków, brylantowych pierścioni, koralowych główek i sporym onyxem, który reprezentował głowę Alexandra Macedońskiego w hełmie sztucznie wyrabianym. Uśmiechnęła się Helena na widok wybrylantowanego Eskulapa, i niby z podziwienia, niby z radości, że go widzi, zawołała: ach! — Ale w intonacji tego wykrzyknika była cała biografia jój nowego gościa. Wszakże pełen widać swojej wartości medyk, czy nie postrzegł się na tym niewinnym żarcie, czy nie chciał go uważać, przystąpił z poufałym dość ukłonem, i rekomendując się, rzekł:

— Doktor medycyny i chirurgii, Szmulicki.

Hrabina ukazała mu krzesło.

— Pani hrabina zapewne dziwi się — mówił dalej medyk — żem tak pośpieszył na jój łaskawe wezwanie. O! bo ja jestem akuratny i zawsze gotów. A przytém oczekiwałem tylko szczęśliwój zręczności, żebym mógł się

dać poznać w tak znakomitym domu. I teraz winszuję sobie...

— Jakto? — rzekła hrabina, trzymając z gracyą łyżkę pełną przed koralowemi ustami. — Pan Szmulicki winszuje sobie, że mój mąż umiera?

— O! my bo umrzeć mu nie damy — odpowiedział lekarz z uśmiechem i patrząc jęj w oczy z dziwną śmiałością. — I właśnie dla tego sobie winszuję, że choroba jest niebezpieczną, że tém świetniejszy tryumf odniesie sztuka, i tém lepiej zarekomenduje się ten, który nią włada.

Helena zakrztusiła się zupą, chcąc przytłumić w sobie śmiech, który ją napadł, a pan Szmulicki, poprawiając za-
boty, i połyskując pierścieniami, któremi palce jego były ozdobione, dodał z uśmiechem :

— Patrząc na panią hrabinę, i widząc ten śliczny rumieniec, który zdobi cudne jęj lice, wnosząc oraz z tego śniadania, tak dostatecznego dla dwóch osób, o apetycie, a zatem o zdrowiu pani, bardzo żałuję...

— Czy tego pan żałujesz? — zawołała Helena, kładąc łyżkę i patrząc mu bystro w oczy — że go nie zapraszam do mego śniadania, czy tego, że to nie ja jestem w suchotach, i że nie ja umieram? Bądź pan spokojnym — dodała z ironią i dumą — będziesz dobrze zapłaconym, choć nie oboje nas na tamten świat wyprawisz.

— Pani hrabina nie chciała mnie zrozumieć — rzekł Eskulap trochę zmieszany. — Nie życzę pani suchot bynajmniej, bo wolałbym sam uleść takiemu nieszczęściu, niż widzieć więdnący tak cudowny kwiat pod zaraźliwym oddechem straszliwego wroga, na którego w medycynie nie mamy oręża. Nie idzie mi także o pieniądze — dodał poprawiając halsztuk, i połyskując brylantami — ale nie

taje, że byłbym bardzo szczęśliwym, gdyby jaka lekka niedyspozycya oddała panią w moje ręce... abys pani mogła przekonać się o całym mojem poświęceniu na jej usługi... abym mógł...

— Bardzo panu jestem obowiązana za tę gotowość — przerwała z szyderstwem Helena. — A tymczasem chciał pan pofatygować się do mego męża, i jeżeli zdołasz mu co poradzić, daj tam dowód swojej sztuki. Nim będę miała szczęście spożywać to, co mi pan przepiszesz, przestanę tymczasem na tym oto kapłonie, który zdaje się dobrze wyglądać. — To powiedziawszy zadzwoniła, a gdy wszedł kamerdyner, dodała, ukazując niedbale na lekarza: — Zaprowadź tego pana do mego męża. Do widzenia, panie Szmulicki! bardzo pana przepraszam za moje uparte zdrowie. Ale zdaje mi się, że nie prędko panu sprawię tę przyjemność, o której mówiłeś.

— A ja nie tracę nadziei — rzekł śmiało Eskulap, i ukłoniwszy się, spojrział na nią tak, że szybko ściągnęła szlafroczek pod szyję i zapłoniła się.

— Efront! żydziuk! — zawołała potem, patrząc za odchodzącym wzgardliwie, a wypiwszy spory kieliszek bordeaux po zupie, którą już sprzątnęła, wzięła się do gruntowniejszej części śniadania, które było jego zasadą.

Kiedy Helena utopiła widelec w pulchnej i soczystej piersi kapłona, a pociągnawszy ostrym jak brzytwa nożem i odchylając część odkrojoną, delektowała się widokiem mięsa białego jak jęj łono, i sączącego gdzie niegdzie złotą kroplę przezroczystego soku, dał się słyszeć powtórny turkot szybko zajeżdżającego powozu. Kamerdyner, nie czekając już rozkazu pani, pobiegł do okna, i nie obracając się nawet zawołał: — Panna Karlina!

— Prędzěj — rzekła Helena — niech tu przyjdzie, jak stoi. — Pobiegł sługa, a młoda kobieta z apetytem podniesionym przez radość, że się wreszcie dowiē o skutku swego poselstwa, ugryzła kawał piersi kapłona, którą w delikatnych trzymała paluszkach, i żując powoli, zwyczajem smakoszków, mających cały czas na jedzenie, wytężyła wzrok ku drzwiom salonu.

— Chodź-że prędzěj, niežnośna! — krzyknęła wreszcie do wchodzącěj Karliny, która, jak na złość, szła z powagą ambasadora. — Gadajże, czemu tak długo siedziałś? czekam cię od dwóch dni. Cóż?

— Najprzód to, proszę pani — odpowiedziała sługa — żem bardzo zmęczona i głodna.

— Napij się tymczasem i mów, jeść będziesz potēm — i nalęła jēj kieliszek wina, które faworytka duszkiem wychyliła. Ale gdy jeszcze milczała, zniecierpliwiona pani rzekła: — Czemuż milczysz?

— Ach! — odpowiedziała z westchnieniem Karlina — już to dla tego, że mam bardzo dużo do powiedzenia, a potēm...

— A potēm co? nudzisz mnie, moja kochana.

— A potēm, że mi tu jedna rzecz przeszkadza.

— Cóż takiego?

— Ten kapłon, proszę pani, tak pięknie pachnie — rzekła Karlina, połykając ślinkę — że nie mogę słowa przemówić.

Komiczna minka Karliny pokonała niecierpliwosć Heleny, zaśmiała się więc i, ukroiwszy jēj spory kawał pieczystego i kładąc obok bułkę, trochę ciastek, trochę konfitur i innych przysmaczków, które stanowiły deser, podała jēj to wszystko na jednym talerzu, jak się daje

pieskowi faworytowi, który dostaje kąski smaczne, ale wszystkie razem zmieszane. Wzięła Karlina dar pani, usiadła sobie z boku przy oknie, i prędko sprzątnęła wszystko. Potém, przystępując do Heleny, rzekła:

— Teraz uprzedzam panią, że nie mogę tak prędko skończyć.

— Zacznij przynajmniej, nudziarko! a najprzód powiedz mi, czy byłaś w Haliczu?

— Byłam.

— I widziałas go? — zapytała Helena, czerwieniąc się.

— Widziałam. Blondyn, jak był; piękny, jak był; rumiany, jak dawniej, i patrzy cudnymi niebieskimi oczyma. Ale czy wie pani? wszak te przesliczne niebieskie oczy, zapewne na miniaturze pani, pierwszy raz spostrzegą, że kobieta jest najpiękniejszą rzeczą na świecie.

— Więc ma moją miniaturę?

— Musi mieć bez wątpienia.

— Musi? bez wątpienia? Więc nie jesteś pewna?

— Niech mi pani pozwoli — odpowiedziała zaambarasowana Włoszka — wszystko opowiedzieć z początku, inaczej nie trafię do końca.

— No, mów, mów — rzekła Helena — ale już z oczu twoich widzę, że się nie tak stało, jak-em kazała.

— To pani obaczy i osądzi sama. — Karlina nie śmiała usiąść. Obróciła więc sobie krzesło poręczą do piersi, oparła się na niem i tak dalej mówiła:

— Wszystko to, co mam pani powiedzieć, nie jest rzecz pospolita, i taka, jak się zwyczajnie dzieje na świecie. Zrobiłam znajomość, która mnie i cieszy, i straszy. Cieszy mnie dla tego, że ten jegomość, któregom poznała,

zdawał się tak na mnie spoglądać, że gdybym tylko chciała, miałabym wszystkiego po uszy.

— Proszę! — odezwała się Helena z ironią.

— Cóż to dziwnego, proszę pani? — rzekła faworytka, spoglądając nieznacznie w zwierciadło, które jęj piękną twarz i błyszczące oczy odbijało.

— Zapewne — rzekła znowu Helena z uśmiechem. — Jesteś ładna i ten jegomość musi być konessor. Ale dla czegoż cię ta znajomość straszy?

— Dla tego, że w nim jest coś djabelskiego.

— Doprawdy? czy taki brzydki?

— To nie — odpowiedziała Karlina, spuszczać oczy — ja lubię brzydkich mężczyzn, bo im mężczyzna brzydszy, tém bardziej różni się od kobiety. Ale w jego wzroku, w jego uśmiechu jest coś takiego, co przenika nawskróś. Jakoś tak przy nim było mi z początku niedobrze, tak straszno, że kiedy na mnie spojrzał, chciałam mimowolnie przeżegnać się; ale, wyobraź pani sobie, nie mogłam. Ręka mi tak zdrętwiała w téjże chwili, że ani podobieństwo podnieść jęj było do czoła.

— Gdzież to zrobiłaś tę piękną znajomość? — zapytała Helena, przebierając na złotym talerzyku frukta smażone w cukrze, któreby jęj lepiej przypadły do smaku.

— W piątek popasałam w Bursztynie. Stałam sobie w bramie austeryi i patrzyłam na rynek pusty, choć tak ładnie zabudowany, że każdy dom zdaje się z inśzej wsi i innego kraju. Co temu panu było w głowie, który to wszystko budował, to Bóg raczy sam wiedzieć. Aż patrzę, jedzie w galop jakiś jegomość wysoki, chudy, oliwkowy, z błyszczącemi oczyma, ze śpiczastym nosem, z ustami zakrzywionemi do góry, ostro i nieprzyjemnie,

w migdałowym surducie, w czarnej axamitnej czapeczce — słowem, brzydki, odrażający i nie bardzo okazałe ubrany. Ale jechał na karym koniu tak cudnym, że jeszcze jak żyję tak pięknego i tak dzielnego konia nie widziałam. Co to za grzywa! co za ogon! co za oczy! jakie iskry przyskały mu z nozdrzy! gdybyś to pani obaczyła, tobys oczu od niego oderwać nie mogła.

— Proszę! nie wiedziałam, żeś taka amatorka koni? — rzekła, uśmiechając się i leżąc prawie na swojem krześle, Helena. — Czy to pan Frantz, koniuszy mego męża, dał ci taką znajomość koni i takie włąk zamiłowanie?

Ruszyła ramionami nadąsana Karlina i rzekła:

— Właśnie mnie pan Frantz obchodzi? ani ja dla pana Frantza, ani pan Frantz dla mnie. Gdybym chciała, mogłabym mieć coś lepszego, niż jakiś tam pan Frantz.

— Może nawet właściciela tego cudnego konia, o którym mówisz? — rzekła Helena, wydłubując sobie piórkiem ząbki białe i czyste jak perły.

— A może, kto to wie? — odpowiedziała Karlina. — Ale widno, że pani już nie ciekawa. To może pani każe mi już pójść.

— I owszem, każe zostać i kończyć — rzekła z uśmiechem hrabina. — Więc jak ten pan galopem zbliżył się i obaczył cię w bramie austeryi...

— Stał jak wryty. Patrzył na mnie, i koń jego jeszcze bystrzej patrzył i kopał ziemię przednią nóżką rzał, wyciągając do mnie mordeczkę. Ja zmieszałam się i chciałam się cofnąć. Ale ów jegomość skłonił mi się nisko, i, klepiąc konia swego po szyi, rzekł do mnie: — Sługa uniżony pięknej sąsiadki mojej. — Sąsiadki? — odpowiedziałam — a to jak? ja pana nie znam. Musisz

się pan mylić. Nie mam szczęścia być sąsiadką pana — dodałam, kłaniając się z szyderstwem, bo mi się zdał za śmiałym, i chciałam odejść. On zeskoczył z konia, zbliżył się do mnie, i wlepiając we mnie wzrok bystry, tak, że mi struchlała i ruszyć się z miejsca nie mogła, rzekł: — Nie uciekaj, piękna Karolino! powierz mi tę sprawę, z którą cię posłano do Halicza, a ja tak jej dopełnię, że i ty będziesz kontenta, a co lepsza, że się dogodzi twojej przesłicznej pani, którą radbym nie wiem czém zobowiązać.

Helena podniosła się na krzesło, przysunęła się bliżej do stolika, i oparłszy główkę na rękę, uważniej słuchać zaczęła.

— Widzi pani — mówiła dalej Karlina — że to rzecz ciekawa. Z początku zalekłam się tak, że mi języka w gębie zapomniała. On spostrzegł to, zaśmiał się, że aż drgnęła, a potem rzekł: — Zawsze mi to mówili, że brzydki, ale są jednak osoby, które się z czasem oswiają z moją twarzą, zwłaszcza gdy się im chcę przysłużyć. O! gdybym mógł widzieć się z twoją panią, piękna Karolino! byłbym bardzo szczęśliwym. Ale mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi. Usiądźmy tu i pomówmy, jakimby sposobem najrzęczniejszy i stosownie do życzenia hrabiny wsunąć w ręce temu szczęśliwemu chłopcu jej cudny подарunek.

Helena zerwała się z krzesła, i przystępując do swojej faworytki, krzyknęła prawie:

— Kłamiesz! komponujesz, niegodziwa! Zkąd? jakim sposobem mógłby ten człowiek to wszystko wiedzieć? Idź precz! nie spodziewałam się, żebyś mnie tak haniebnie zdradziła.

Karlina załamała ręce i stała, nie poruszając się z miej-

sca. Helena przeszła się parę razy po pokoju, potem spostrzegłszy, że dziewczyna stoi jak martwa, z twarzą zasmuconą i bladą, zbliżyła się do niej i rzekła:

— Karlino! i to wszystko prawda?

Wzruszona tym powrotem dobroci swój pani, którą rzeczywiście kochała, Karlina rzuciła się do jej ręki, i całując ją z rozrzewnieniem, rzekła:

— Pani droga! czyżbym ja śmiała takie rzeczy zmyślać? czy kiedykolwiek wydałam najmniejszy sekret? Ja bym za panią w ogień wskoczyć gotowa, a pani mnie posądza o zdradę!

— Ale kiedyż to rzecz niepojęta!

— Ja pani mówiłam, że to coś dziwnego i djabelskiego. — Helena ruszyła ramionami z niedowiarstwem, a służga tak dalej mówiła: — Pani nie wierzy, że w tym człowieku jest jakaś moc i przenikliwość, jakiej inisi ludzie nie mają; ale pani może się przekonać.

— Przekonać? a to jak? — rzekła hrabina z zajęciem i gotowością.

— On nie napróżno mówił, że jest naszym sąsiadem, bo tak jest.

— Sąsiadem? gdzież mieszka?

— W zamku Firlejowskim.

— Jako? w tych ruinach? w tym gmachu od dwóchset lat opuszczonym? Żartował sobie z ciebie.

— Wcale nie — odpowiedziała Karlina. — Opisywał mi swoje mieszkanie, które niedawno kazał wyporządzić. Mówił mi, że ma dopiero parę pokoi odnowionych i przygotowanych na pomieszkanie, ale że wszystkie mury, które jeszcze są całe, przyprowadzi do dawnego stanu i zrobi z nich królewską rezydencję. Bo to bogacz niesłychany.

— Bogacz, mówisz? — zapytała Helena, pocierając ręką czoło.

— Powiadał mi, że ma u siebie przesliczne rzeczy i godne widzenia. „Szczęśliwym byłbym, rzekł, gdybym mógł powitać u siebie panią hrabinę. Parę mil drogi nie wieleby ją sfatygowały, a fatyga nagrodziłaby się wieloma ciekawymi rzeczami, któreby obaczyła i którebym jój powiedział. Bo ja wiem wszystko“, dodał z uśmiechem.

— Cóż on może wiedzieć? — zapytała, czerwieniąc się z lekka, hrabina.

— Wiedział, że jadę do Halicza, i po co jadę — odpowiedziała sługa — a przytém... ale któż to taki?

Tu Karlina przestała mówić, i rzuciła okiem na drzwi do apartamentów hrabiego prowadzące. Helena obróciła się także i postrzegła we drzwiach doktora, który, widząc ją zajętą rozmową, czekał widać, aż skończy. Zmarszczyła się Helena i, postępując parę kroków, zapytała z niecierpliwością:

— Co pan powie?

— Chciałem — odpowiedział, przybliżając się, pan Szmulicki, i trzymając rękę wybrylantowaną przy żabotach, którymi się bawił — chciałem pomówić z panią o stanie zdrowia pana hrabiego. Stan ten jest zdesperowany i wymaga umiejętnego ratunku.

— Wiem o tém, że zdesperowany, i dla tego wezwalam pana — odpowiedziała prędko i z niechęcią.

— Ale może pani nie wiesz, że niebezpieczeństwo jest bardzo blizkie?

— Stało się, jak pan życzyłeś — rzekła Helena obojętnie. — Im niebezpieczniejsza choroba, tém świetniejszy tryumf odniesie sztuka pana.

— Jest to Hemophtisis w wysokim stopniu i wylewy krwi są zbyt obfite. Nie można tego brać za prostą transsudacją, ale za zerwanie naczyń. Takie Hemorragie płuc — dodał, obrzucając wzrokiem jój kształty — przytrafiają się suchotnikom, zwłaszcza w skutek jakiegoś gwałtownego poruszenia gniewu, z którym musiał być połączony silny upadek.

— To być wszystko może — rzekła, czerwieniąc się, Helena — ale na cóż mi te szczegóły? ja medycyny nie znam.

— Do odleglejszych przyczyn — mówił dalej lekarz, nie zmieszany niechętném wejrzeniem młodej kobiety — należy życie niewstrzemiężliwe, jakie hrabia musiał zawsze prowadzić, a późniejsze jego, chociaż bardzo dające się pojąć nadużycia — dodał ze znaczącém i prawie lubieżném wejrzeniem — w takim wieku...

— Mój panie — zawołała obrażona Helena — ja do konsylium nie należę. Powiedz pan to wszystko swojemu koledze, i jeżeli możecie co poradzić, to poradźcie. — To powiedziawszy, skłoniła mu się, dając znać, żeby sobie poszedł.

Uśmiechnął się pan Szmulicki i, zbliżywszy się, rzekł:

— Mój kolega jest człowiek staréj daty. Razem z siłami stracił śmiałość, i nie zgadza się na ten środek hazardowny, którego chce użyć.

— Cóż mnie do tego, proszę pana? — rzekła Helena, cofając się od natarczywego Eskulapa.

— Puszczenie krwi — mówił dalej, przystępując co raz — może pana hrabiego uratować. Czy pani upoważniasz mnie do użycia tego środka?

Zmieszana tém zapytaniem, spuściła oczy, zacisnęła

wargi i nic nie odpowiedziała. Wyraz twarzy lekarza był ironiczny. Cekał on odpowiedzi, nie nie mówiąc, ale nie spuszczał oka z jej ruchów i lic. Uczuła Helena, że jest pod badawczym wzrokiem człowieka, który przenika jej myśli i chęci, i chcąc go przekonać, że się myli, podniosła głowę z dumą i rzekła:

— Pan powinienes lepiej wiedzieć niż ja, co masz robić. Ale jeżeli ten środek ma uratować mego męża, to go użyj. W każdym razie odpowiedzialność padnie na pana, nie na mnie.

— Bądź pani spokojna — odpowiedział, prostując się, medyk, i podnosząc głos, dodał: — Pan hrabia będzie żył. — To powiedziawszy, uklonił się i wyszedł.

— Będzie żył! — powtórzyła jakby do siebie hrabina i, trąc ręką czoło, rzuciła się na krzesło. Po chwili, podnosząc oczy i spostrzegłszy, że Karlina patrzyła ku drzwiom za odchodzącym lekarzem, rzekła: — Czegożeś się tak zapatrzyła?

— Jaki to przystojny brunet! — odpowiedziała Włoszka i na smagłe jej lice wystąpił żywszy kolor krwi południowej. Ruszyła ramionami Helena i, poprawiwszy się w krześle, rzekła:

— Cóż dalej? Mówiłaś, że on wiedział, po co jedziesz?

— „Zkąd wiem — rzekł do mnie — o tajemnych życzeniach twojej pani, to jej samój powiem, jeżeli raczy mnie odwiedzić w moim mieszkaniu w Firlejowie. A teraz, piękna Karlino, upewniam cię, że ja tylko jeden poselstwo twoje wykonam tak, jak pani twoja chciała, to jest, żeby młodzieniec, który zajął wszystkie jej myśli, otrzymał jej dar, nie wiedząc jak i od kogo. Dodam je-

szcze i to, że on wart względów i szczęścia, które go czeka. Piękny nad wszystkie pochwały, niewinny jak panienka, zdrow i czerstwy jak woda ze źródła. Ma on wprawdzie obok siebie śliczne, niewinne dziewczę, które go kocha pierwszą i jedyną miłością, ale Gabryel nie widzi tego przywiązania, i jedna tylko twarz została w jego myśli, to jest ta, którą widział przed katedrą we Lwowie, i którą masz w pudełeczku swojem, piękna Karlino.“

— To rzecz niepojęta! — zawołała Helena.

— Ale jak niepojęta! Mnie włosy na głowie wstawiały, kiedy do mnie mówił — odpowiedziała, oglądając się, faworytka.

— Cóż dalej? mów prędzej.

— „Dajże mi tę miniaturę, moja miła sąsiadeczko — rzekł potem z uśmiechem — a ja wsunę ją do rąk Gabryelowi i powiem ci, jaki to sprawi skutek.“

— I ty oddałaś? — zapytała, powstając, Helena.

— Jak go pani obaczysz — odpowiedziała sługa — to dopiero powiesz, czy mogłam oddać, czy nie. Przytém on zaraz postrzegł, że sama nie wiem, co robić; urwał guzik od swego surduta, i dał mi go, mówiąc: „Żebyś nie myślała, że jakiś oszust, który pragnę tych pereł, jakimi miniatura osadzona, weź to w zakład, i jak się dobrze sprawię, oddasz mi to na powrót.“

— Guzik? jakżeś ty głupia!

— Patrz-no pani, jaki to był guzik. — To mówiąc, Karlina wyjęła z za gorsu zwitek, który rozwinawszy, pokazała hrabinie spinkę złotą, ozdobioną brylantem tak wielkim, tak błyszczącym, tak cudnej wody, że Helena, zdumiona, przypatrując mu się z różnych stron, zawołała:

— Jak żyję, nic piękniejszego nie widziałam!

— A widzi pani! jakże miałam mu nie wierzyć? — mówiła dalej Karlina — oddałam mu miniaturę. On otworzył ją, przypatrywał się długo i zawołał z dziwnym jakimś zapalem: „Co to za oczy! co za usta! jakie czoło! jaka łabędzia szyja! jabym na to czoło położył dyadem, którego każdy brylant wartby był milion. Szczęśliwy chłopiec! i on dostanie taki klejnot za nic, tylko za swoją piękność, za swoją młodość i za to życie, które tryska z jego błękitnych oczu! Ale niech tak będzie! Skarby takie nie dla mnie.“ Tak mówiąc, zamknął pudełko i schował.

— Słuchaj, dziewczyno! — zawołała Helena — czy tobie się to wszystko śniło, czy ja teraz śpię i marzę?

— A toż sen, proszę pani? — zapytała Karlina, ukazując na spinkę.

— Prawda, prawda — rzekła Helena, trąc mocno czoło — ale zawsze to rzecz niepojęta.

— Kiedym i ja tak myślała, czy to sen, czy prawda, co widzę i słyszę, — mówiła dalej Karlina — już ten jegomość był na koniu, uklonił mi się uprzejmie, przesłał pocałowanie od swoich szatańskich ust, i puścił się pędem strzały. Zimno mnie przeszło, i sama nie wiedziałam, co zrobić. Nareszcie wzięłam na serce, kazałam zaprządz i pojechałam do Halicza. Całą sobotę przepędziłam, czekając i rozpytując się. W niedzielę, kiedy wszyscy postrojeni szli na Sumnę, stałam w oknie i patrzyłam, czy nie obaczę naszego chłopca. Wprzód dowiedziałam się, że jego matka, to siostra proboszcza, ale wyszła za prostego chłopca, rolnika i kołodzieja; że proboszcz i matka wychowali go jak świętego; że ta dziewczynka, o której mi ów jegomość wspomniał, nazywa się Agata; że to śliczne,

szesnastoletnie dziecko, sierota i krewna jakaś Gabryela; że ich dom tam za miastem, i że właśnie przed oknami téj austeryi, gdzie zajechałam, przechodzić będą do kościoła.

— I widziałas ich? — zapytała, czerwieniąc się, Helena.

— Widziałam. Matka poważna kobieta i jeszcze ma twarz piękną. On siedł koło niej, smutny czegoś, ale jeszcze piękniejszy, niż był we Lwowie. Dziewczynka tak sobie, ładniutka, w gorseciku, w spodniczce, jak mieszczańka, z koralami na szyi, ale także była smutna i milcząca. Musieli się pogniewać, bo nie patrzyli na siebie wcale. Gdy się Summa skończyła, szła tylko matka i dziewczyna do domu. Matka była wyraźnie zmartwiona, a dziewczynka obcierała oczy fartuszkiem.

— A Gabryel? — zapytała prędko i z zajęciem Helena.

— Gabryela nie było. Myślałam, że ten jegomość przyjdzie do mnie i powie mi, co się z nim stało i czy mu oddał miniaturę, ale minęło południe, i wieczór nadszedł i dalej noc, a nikogo nie było. Nazajutrz czekałam jeszcze do południa, ale nikt się nie pokazał. Nareszcie znużona, kazałam zaprządz i pojechałam na noc do Bursztyna. Tam zajechawszy do téjże saméj austeryi, pytałam się, czy nie był tu ten pan na karym koniu, ale nikt nie widział ani djabła, ani jego konia. We wtorek czekałam znowu do południa w Bursztynie, oczy wypatrzyłam, jakby na jakiego kochanka, wyglądając tego szkaradnego bogacza. Wreszcie, nie mogąc się doczekać, myślę sobie: jużci nie wyrzeczcie się takiego kosztownego dyamentu; choć nie wiem, kto on taki i jak się nazywa, ale wiem przecie, że mieszka w Firlejowie, a Firlejów nie za gó-

rami; znajdziemy go tam, pomyślałam, i pojechałam do domu.

— I nie wiesz, kto on jest? i jak się nazywa? — zawołała z nieukontentowaniem Helena.

— A nie wiem, proszę pani.

— To-żeś mądra! — krzyknęła prawie Helena.

— Ja sama wiem, że się nie tego znalazła — odpowiedziała z pokorą Karlina, — ale niech mi pani wierzy, że to nie moja wina. To tak jakoś stało się nienaturalnym i niepojętym sposobem, że każda na mojem miejscu dałaby się tak zdurzyć, jak ja.

— Dla czegoż mi powiedziałaś, że ten młody człowiek musiał otrzymać moją miniaturę, kiedy ja tego nie widzę wcale. To piękna rzecz!

— Bałam się od razu powiedzieć, że nie wiem — odpowiedziała spuszczać oczy sługa — ale musiał otrzymać, bo na cóżby się ona przydała téj poczwarze?

— Na co? hm! tego i ja nie wiem — rzekła Helena, a oczy jój szukały mimowolnie zwierciadła, a potem zsunęły się na kosztowny brylant, który połyskał w jój palcach.

W téj-że chwili jakaś wrzawa dała się słyszeć w apartamencie hrabiego. I pani, i sługa umilkły i nastawiły ucha. Po chwili drzwi się otwarły i wszedł pan Szmulicki, z twarzą spokojną i uśmiechającą się. Ręka jego ubrana brylantami igrała ze spinką żabotów, w drugiej, odzianej w rękawiczkę, miał kapelusz i laskę. Helena patrzyła na zbliżającego się milcząc, a on przystąpiwszy o krok, skłonił się i rzekł:

— Stosownie do upoważnienia pani, kazałem krew puścić.

— I cóż? — zapytała Helena, patrząc nań bystro.

— Pan hrabia umarł — rzekł Eskulap, i ukłoniwszy się, podniósł oczy, i śmiało i przenikliwie na nią patrzył. Helena odwróciła się, przeszła na drugi koniec salonu i, oparłszy się o słup marmurowy, na którym stała statua Merkuryusza, tak przez kilka minut tłumiła w sobie rozmaite wzruszenia, których tak wiele doznała. Tymczasem przebiegła Karlina, wiedząc dobrze, jak przykra jest pozycja jój pani, i jak trudno jój pokazać teraz twarz swoją przed obcym, zbliżyła się do lekarza i szepnęła mu: — Idź pan teraz, jedź do domu. Pani hrabina będzie wspinała, choć nieszczęśliwie się panu udało.

— Powiedz pani hrabinie — odpowiedział medyk — moja panienko, żem zawsze gotów na jój usługi. Honorarium niech mi teraz nie przysyła. Na właściwą nagrodę i jedynie dla mnie pożądaną, zaczekam, a ta w swoim czasie przyjdzie.

To powiedziawszy, spojrzał raz jeszcze na hrabinę okiem zuchwałój pewności, i nie skłoniwszy się Karlinie, która słodko nań spoglądała, wyszedł.

Gdy Helena spostrzegła, że już go niema, odwróciła się od słupa i, przechodząc prędko przez salon, zadzwoniła. Wszedł kamerdyner, a Helena, na której twarzy malowały się krzyżujące poruszenia, zawołała:

— Kareta i cztery konie. — Potém, obracając się do Karliny, dodała: — Pójdź, ubierz mnie, i bądź w pogotowiu; pojedziesz ze mną.

— Dokąd-że, proszę pani?

— Do Firlejowa.

— A, a! otoż to rozumnie! — odpowiedziała sługa i pośpieszyła za panią.

XIII.

O ćwierć mili od miasteczka Firlejowa stały ruiny zamku, który zbudował niegdyś Jan Firlej, gdy był starostą Rohatyńskim. Ruiny te wznosiły się na wzgórzu kamienistém, zarosłém tu i owdzie drobnemi krzaczkami, ocienioném gdzie niegdzie małemi kupkami krzywój i mizernej brzeziny, pomiędzy którą sterczały lub rodzime kamienie, lub złomki zrzadka i daleko od zamku odsunione. Im bliżej samych murów, tém więcej ich było na ziemi, już zamszonych i obrosłych. Tu leżał kawał pół-łuku, urwany z arkady, należącój do wspaniałój niegdyś galeryi; tam jakiś głaz nieforemny i niewiadomo od czego oderwany i do czego należący, zarywał się w ziemię; owdzie leżały złomki sztuczną gipsaturą ozdobione, lub kapitel z ciosu, który zdobił pilastry, pomiędzy arkadami znajdujące się. Kto widział ruiny zamku w Dąbrowicach, może sobie zrobić wyobrażenie, jak wyglądał zamek w Firlejowie. Zdaje się, że ci możni właściciele dwudziestu kilku majątności dziedzicznych, posiadacze bogatych starostw, pochlebiając może łaskawój dla nich królowej Włoszce, w budowie swych mieszkań zachowywali formy, przypominające gmachy téj klassycznej ziemi.

Ile ze złomków dojść można, widać, że zamek w Firlejowie był razem pałacem i fortecą. Składał się on z nieforemnego wielokąta; jeden jego bok, ozdobiony zewnątrz arkadami, wychodził na obszerne jezioro, przez rzeczkę Lipę uformowane; drugi, którego tylko półtrzeci arkady pozostało, obrócony był na miasteczko i ciągnące się za niem piękne wzgórze. Musiały to być najcelniejsze

części całego gmachu i w nich pańskie pokoje, gdyż i widok z nich był nadzwyczaj piękny i urozmaicony, i pozostałe wewnątrz ślady sal, oraz w części obrócona ku jezioru ogromna sień, ze złomkami wspaniałych schodów, domyślać się każą takiego przeznaczenia.

Pozostałe boki okazywały zewnątrz tylko mur potężny, umocniony szkarpami i mający na rogach ślady wież także wielokątnych. Do wnętrza zamku prowadziły dwie bramy, z których jedna tylko pozostała dosyć cała, a z drugiej ledwie został ślad, gdzie się znajdowała. Z budynków wewnątrz zamku, do murów przypartych, a w których zapewne pomieszczała się służba, gdzie były kuchnie i stajnie, zostały tylko gruzy. Mało co w lepszym stanie znajdowała się i ta część budowy, w której zapewne były wspaniałe sale, a w nich sute i huczne uczty, — gdzie za dębowymi stołami siedziały poważne postacie, z gorejącymi od wina i zdrowia twarzami, z silną ręką trzymającą równie mocno puhar i szablę, z szeroką piersią, w której było tyle serdeczności dziecięcej i lwiej odwagi, w tych okazałych strojach, które późniejsze, zfrancuziałe pokolenie odrzuciło, a z niemi ślad dawniej powagi i piętna dawnego charakteru mocy. Wszystko to przeszło i przebrzmiało. Dziś sale owe były puste, zarzucone złomami ścian, bez okien i drzwi, bez nakrycia i podłogi, bez żadnego śladu, żeby tam ktokolwiek od wieku mieszkał. Porysowane mury sterczały nieforemnie, okopcone kominy zasypywał gruz, drzwi i okna zamieniły się w szerokie i niekształtne otwory; sklepienia upadły, z dachów nie zostało najmniejszego szczątku, nie nie zakrywało wnętrza komnat od promieni słońca, od deszczu i śniegu. Brzozy wiotkie tylko, wyrastając w rozpadlinach

murów, spuszczać do środka zielone gałęzie, zdawały się chcieć osłaniać od upału i niepogody tę ruinę straszłą i opuszczoną.

Gdy karetą stanęła na dole, naprzeciwko bramy wjazdowej, do której droga podnosząca się w górę zarzucona była kamieniami, tak, że wjechać było niepodobna, Helena wyjrzała oknem, rzuciła okiem na gmach ponury, połamany, i z którego nie widać było, żeby tam ktokolwiek mógł mieszkać, i dziwny jakiś wyraz i strachu, i postanowienia, wybił się na jej twarzy. Karlina, także zamysłona, wysadziła głowę z okna i cofnęła się napowrót, zasuwając się w głąb powozu. Obie przez całą drogę i teraz milczały. Po chwili przystąpił do okna lokaj, i cichszym niż zwykle głosem zapytał:

— Co pani teraz każe? dalej już jechać nie można.

Długo Helena nie odpowiadała. Nareszcie, jakby jej wstyd było wahania się i obawy, z którymi zdradzała się przed sługą, rzekła z postanowieniem:

— Otwórz! Wsiadę.

— Jakto? Pani myślisz tam iść? — zapytała Karlina, przytrzymując panią za suknię.

— A dla czegożbym nie miała pójść obejrzyć ruiny, których jeszcze nie widziałam? To rzecz ciekawa — dodała z uśmiechem, tłumiąc jednak w sobie tajemną trwogę, której oprzeć się nie mogła.

— To prawda — rzekła faworytka — ale jabym skwitowała z tej ciekawości, i gdybym była na pani miejscu, dałabym wszystkiemu pokój i wróciłabym do domu.

— Wszakżeś niedawno mówiła, że rozumnie robię, że tu jadę — odpowiedziała Helena, patrząc przenikliwie w oczy Karlinie.

— I to także prawda, że mówiłam — rzekła Włoszka, spuszczać oczy — ale widzi pani, to mi się jakoś tak wyrwało, bom jeszcze tego okropnego zamku nie widziała. A teraz coś mnie strach bierze. Niech-no pani patrzy, jakie to poczerniałe i podrapane mury. A jak jeszcze wspomnę, że on tam mieszka z sowami i puszczykami, to doprawdy, że nie wiem sama, jak już pani poradzić.

— Alboż ja cię proszę o radę? — odpowiedziała dumnie Helena. I ambicya, chęć okazania się wyższą nad przesady gminnych ludzi, którzy ją otaczali, wreszcie i to przekonanie, że Karolina plotła jej duby smalone, w które wierzyć nie powinna, ona, kobieta oświecona, światowa i w nic nie wierząca, umacniały jej odwagę. — Jeżeli nie chcesz — dodała po chwili — zawstydzić się, żeś mi tyle nakłamała, to sobie zostań w karecie. Ja pójdę sama. — To powiedziawszy, wysiadła.

— O, jeżeli pani tak mówi — rzekła wówczas Włoszka, nadąsana i z pewną determinacją — to obaczmy, czy to była bajka, czy prawda. Ja pani nie odstąpię.

— Pójdźmyż — odpowiedziała na to, uśmiechając się, Helena, kontenta w duchu, że będzie miała towarzyszkę. — Chodź za nami — dodała, obracając się, do lokaja, który zwolna zarzucał stopnie karety i drzwiczki zamykał. Zdjął kapelusz galonowany drymbłas, i drżąc prawie i skrobiąc się w głowę, bo dziwne baśnie krążyły pomiędzy gminem o tym zamku, ociągał się, i oglądał na wąsatego woźnicę. Ten uśmiechał się, patrząc na bojaźń kolegi, i zacinając batem licowe konie, które jakoś niespokojnie stały, rzekł:

— A idź-że, cymbale, prędzój za panią, a jak wrócisz, to mi powiesz, jak djabeł wygląda. Hou! — krzyknął

znowu na dzielną czwórkę, i ściągnawszy mocniej cugle, mruknął pod nosem: — Tu wyraźnie jakiś bies siedzi, że te bestye, choć zmęczone, stać nie chcą.

Tymczasem Helena z Karoliną i idącym za nimi leniwo lokajem, weszła pod górę i stanęła przy potężnej bramie, wiodącej na dziedziniec. Już samo zbliżenie się do téj posepnej budowy, której wymiary jakby nagle wzrosły w jéj oczach, przejęło ją tajemném drzeniem. Nie wchodząc więc pod sklepienie nieotynkowane i wysokie, o które niegdyś odbijał się tentent tyłu dzielnych koni, gdy niosły na zamek starostę ze świetnym jego orszakiem, usiadła jakby dla odpoczynku na leżącym tam kamieniu. Karolina stanęła przy niej, milcząc i oglądając się to na mury, to na piękną w około okolice, a lokaj, trzymając nogi za pasem, gotów był drapnąć bez ceremonii, gdyby mu się cokolwiek najpospolitszego pokazało, i przysięgałby się na wszystko, że widział djabła, któremu ogon z pod niemieckiego fraka wystawał.

Helena przyszła prędko do siebie i przywołała zwykłą sobie przytomność umysłu i moc charakteru, a przypatrując się téj milczącej budowie, z której szczątków trzy wieki na nią patrzyły, zajęła się tym widokiem malowniczym i tak rozmaitym. Wsparła więc piękną, choć bladą twarz na dłoni i dumiała, to o ubiegłych czasach i dziejach zgasłego domu, to o obecném swém postanowieniu, to o trupie męża, który tam leżał, jeszcze niezastygły i nieobleczony zwykłą pogrzebową paradą, to o Gabryelu, dla którego miło jéj było narazić się jakby na niebezpieczeństwo spółki i znajomości z jakąś podejrzaną istotą, to o powieści Karoliny, która wydała się jéj istotną bajką, to nareszcie o tym dyamencie, który miała z sobą, a który zdawał się

zamieniać w prawdę banialukę, przez faworytkę jój tak niezgrabnie skleconą. Wśród tych dumań, zdało się jój, że słyszy mierzone uderzenia, jakby podkowy o bruki dziedzińca. Podniosła więc głowę i w téjże chwili zarżał wewnątrz zamku koń, który widać poczuł bytność innych koni na dole, za murami. I jeden, i drugi z koni Heleny odpowiedziały temu głosowi rzeniem, a ta rozmowa niemych i dziwnym instynktem obdarzonych zwierząt wśród milczenia, które je zewsząd otaczało, przejęła mimowolną trwogą i Helenę, i jój orszak. Karolina, przysuwając się bliżej do swój pani, rzekła:

— Słyszysz pani? to pewnie ten piękny kary koń, na którym go widziałam. Niech mnie pani posłucha! Wróćmy do domu.

— Możesz — odpowiedziała Helena i, powstawszy, weszła pod bramę.

— Już ja pani nie odstąpię, kiedy pani koniecznie się uparła — rzekła rozdąsana faworytka i poszła za Heleną.

Minęły prędko sklepioną bramę i, gdy się znalazły wewnątrz gmachu, spostrzegły masztalerza, który przeprowadzał parę wierzchowych koni. Masztalerz był człowiek młody, przystojnej twarzy, w czarnym pół-fraku, w jasnych spodniach i w butach ze sztyłpami; koń jeden był gniady, anglezowany i bardzo piękny, drugi zwyczajny stepak, jakiego się dla sług używa.

— Widzisz — rzekła Helena do Karoliny — że tu nie ma nic tak strasznego. Jakiś pan zapewne ogląda ruiny, równie ciekawy, jak i my. Konie nie kare i masztalerz nie ma ani rogów, ani ogona.

— Dobrze pani żartować — odpowiedziała Karolina,

uspokojona cokolwiek tym zwyczajnym widokiem — ale obaczmy, co będzie dalej.

— Dalej będzie to — rzekła Helena, uśmiechając się — że się najprzód dowiemy, czyje to konie, a potem pokaże się ich pan, i naturalnie zawiąże się rozmowa i znajomość. Ale koń bardzo piękny, i ten pan musi być człowiek majątny i dobrze wychowany. Pójdź, dowiedz się, czyje to konie — dodała, ukazując lokajowi, co ma zrobić.

Pobiegł sługa i wkrótce wrócił, donosząc pani, że to są konie pana Jana Firleja, który przyjechał tu oglądać zamek.

— Jana Firleja? — powtórzyła Helena nieco zmieszana i z podziwieniem. — Co to za Firlej? i z kąd się wziął? — mówiła sama do siebie. — Nie przypominam sobie, abym o takim panu słyszała. To imię zgasło i cała familia znikła. Rzecz dziwna!

Tak zastanawiając się, rzuciła okiem w około siebie i spostrzegła tylko połamane szczątki, puste, dość malownicze, ale nie okazujące najmniejszego śladu, aby tam kto mieszkał.

— Gdzież te pokoje? gdzie ten pałac, który-to znajomy twój wystawił i którym się chwalił? — rzekła, patrząc przenikliwie w oczy Karolinie.

— Pani zawsze myśli, że ja to wykomponowałam — odpowiedziała Włoszka.

— Pokazuje się — rzekła Helena, śmiejąc się. — Wiadac, że albo ci się to wszystko śniło, albo cię jaki oszust w pole wyprowadził.

— Dotąd jeszcze, proszę pani, nic się nie pokazuje. Prawda, że tu w tych murach tylko sowy i puszczyki mogą mieszkać; ale kto to wie, może i on gdzie w jakiej

szczelinie siedzi. Djabłu nie wiele miejsca potrzeba. Ja to tylko wiem, że mi się to nie śniło, żem go widziała, z nim gadała; że wziął ode mnie miniaturę pani i dał mi ten dyament, który pani masz przy sobie. A to już nie sen i nie kłamstwo — dodała z niechęcią i jakby z obrazą — to można zawsze obaczyć i przekonać się, czy prawdziwe, czy nie? Zkądbym ja to dostała, jeśli nie od niego?

— Szkiełko! — rzekła Helena, śmiejąc się.

— Dobrze to szkiełko — odpowiedziała Karolina — żeby to szkiełko było moje i żebym je mogła sprzedać, tobym sama miała pannę służącą i jeździłabym sobie koczem.

— Czy tak myślisz?

— Znam się na tém trochę — odpowiedziała sługa.

Helena, jakby nową jakąś ciekawością tknięta, wyjęła dyament, odwinęła cieniutki papier, w którym się znajdował i przypatrując się i migocząc w palcach kosztownym kamykiem, który błyskał cudnymi ogniami i wielkością swoją przechodził wszystkie brylanty, jakie miała, rzekła:

— Przecudny! jak żyję, nie podobnego nie widziałam; to rzecz niepojęta!

— A widzi pani! — odpowiedziała sługa, tryumfując.

— Ale patrz-no pani!

W téj chwili, z pomiędzy ruin téj części gmachu, gdzie musiały być pańskie pomieszkania, a która, jak powiedzieliśmy, w lepszym cokolwiek znajdowała się stanie, niż inne budynki, wyszedł mężczyzna już nie pierwszej młodości, ale jeszcze czerstwy i we wszystkich ruchach i ułożeniu ukazujący moc i siłę wieku. Ubiór jego był zwyczajny, cały czarny, ale pełen elegancyi, na głowie

miał kapelusz, a w ręce, okrytą nową rękawiczką, szpicróżgę. Był słusznego wzrostu, niezbyt słuszny i nie otyły, a na twarzy jego przystojnej jaśniała intelligencya i widać było od razu wyraz dobroci i uprzejmości. Pan Firlej, wyszedłszy z tego otworu, który prowadził do sieni, obrócił się jeszcze ku murom, które opuszczał, i tak stał przez chwilę. Wtedy Helena przypatrywała mu się z ciekawością i szepnęła Karolinie:

— Czy to ten?

— Ale gdzież tam! — odpowiedziała Włoszka, ruszając ramionami. — To jakiś piękny męczyzna, choć widać, że już nie tak bardzo młody. Tamten szkaradny, odrażający jak szatan.

— Ja zawsze powtarzam, że ci się musiało przyśnić — rzekła Helena, nie spuszczać oka z nowo pojawiającej się postaci. Karlina znowu ruszyła ramionami i nie odpowiedziała. Tymczasem pan Firlej obrócił się, i spostrzegłszy niedaleko od siebie damę, uderzającą pięknosci, z ułożeniem i strojem pełnemi gustu i prostoty, zastanowił się, potrząsł z lekka głową, jakby się chciał przekonać, że nie marzy, i gdy piękne to zjawisko nie zniknęło z jego oczu, gdy Helena nieznacznie odwróciwszy się, zaczęła niby przypatrywać się ruinom, a Karlina coś jej szeptała, powstał jeszcze chwilkę na miejscu, a potem, uśmiechnąwszy się, jakby rad był ze zdarzenia, zbliżył się do Heleny.

— Daruje pani — rzekł czystym, dźwięcznym głosem — że się ośmielę ofiarować się jej za przewodnika i Cicerone po tym zabytku dawnych czasów i zaginionego rodu, którego noszę nazwisko. Zwiedziłem już te ruiny we wszystkich szczegółach, a sądzę, że panią, zapewne

w tych okolicach mieszkającą, nie co innego tu sprowadziło, jak ciekawość.

— Nie mylisz się pan — odpowiedziała lekko czerwieniąc się — mieszkam ztąd niedaleko, w Dusanowie. Przejeżdżałam blisko tych ruin, a żem ich jeszcze nie widziała, wstąpiłam.

To powiedziawszy, odetchnęła i spuściła oczy, tak jój ciężko było wymówić te ostatnie słowa, które były oczywiście kłamstwem. Wkrótce jednak przyszła do siebie, i, spoglądając na interesujące lice mężczyzny, który patrzył na nią z zajęciem, starała się wykryć w nim jakiś ślad tożsamości z tą zagadkową osobą, której tu szukała. Ale w licu tém, co się jój coraz przystojniejszém wydawało, był tylko rozum, była uprzejmość, była ta spokojność i pewność wejrzenia, która okazuje niezależność ducha i znajomość świata i ludzi. Wzajemny ten examin był krótki, ale widać, że obie strony były kontente z tego niespodziewanego spotkania.

— Więc panią hrabinę Tumierską mam honor widzieć? — rzekł po krótkiej chwili Firlej. — Doprawdy, w szczęśliwy moment wyjechałem. Widziałem panią dawno, kiedyś była dzieckiem. Od tego czasu wiele rzeczy się zmieniło; tylko pani nie zmieniłaś się.

— Jak to? pan sądzisz, że jestem zawsze dzieckiem? — podchwyciła Helena, domysłając się, jaki obrót weźmie jego frazes.

— Jesteś pani równie piękną kobietą, jak byłaś piękném dzieckiem, za którym biegaliśmy wszyscy po wałach we Lwowie, żeby tylko obaczyć cudną dziewczynkę, która znajomym i nieznanym przesyłała od ust powitanie -- odpowiedział Firlej, i w oczach jego był wyraz szcze-

rego uwielbienia. Potém, uśmiechając się, dodał: — Musiałem się wytłómaczyć, w jakim rozumieniu wymknęły mi się te słowa, żeś się pani nie zmieniła, i niechący zrobiło się coś, co ma minę komplementu. Najszczerzej panią za to przepraszam, ale to nie moja wina. Jakże się ma pan hrabia, którego także znałem, ale już nie dzieckiem?

— Mój mąż nie żyje — odpowiedziała Helena, spuszczać oczy, tak jój było wstyd dodać, że tylko co umarł, a ona tu przyjechała oglądać ruiny. Ale Firlej powtórzył głośniej i prędko! — Nie żyje! — i gdy Helena podniosła na niego wzrok, zdawało się jój, że spostrzegła jakby rumieniec na jego twarzy, jakby radość w jego oczach. Dziwném się jój wydało to wrażenie, jakie na obcym zupełnie człowieku śmierć jój męża sprawiła; chcąc jednak rozmowę co prędzej od tego przedmiotu odwrócić, postąpiła parę kroków i rzekła:

— Czy są tam jeszcze jakie mieszkalne pokoje?

— Niéma ani jednego — odpowiedział, idąc obok niej. — Zamek ten, zniszczony za Jana Kazimierza, po upadku i wygaśnięciu rodu, który go wzniósł, nie przyszedł już do dawnego stanu, został opuszczonym i czas zrobił swoje.

— Czy można tam wejść bez niebezpieczeństwa? — dodała Helena, patrząc nań z tym wdziękiem słabiej kobiety, która się boi i wzywa opieki mężczyzny, poddając się niejako jego sile. Jest-to także rodzaj kokieterii i nieźmiernie pewny w swoich skutkach.

— Jeżeli pani pozwoli sobie towarzyszyć — rzekł, podając jój rękę, której ona nie odrzuciła — wejdziemy tam. Wszakże uprzedzam panią, że podłoga, po której pani stąpać będziesz, nie przykryta miękkim kobiercem. Przebierać się trzeba po gruzach ostrych i niegrzecznych.

— *J'aime cela* — odpowiedziała Helena, stąpając śmiało po kamieniach, które zasypywały się, opierając się śmielęj na ramieniu swego przewodnika, i śmielęj także i jakby z zaufaniem dawniej znajomości spoglądając na jego twarz, gdy do niego mówiła. Była Helena niezmiernie kontenta i wpadła w najlepszy humor. Nastroiwszy bowiem imaginacją swą według opisanja Karliny, spodziewała się znaleźć tu jakąś postać odrażającą i rogatą, jakąś twarz pełną złości i szyderstwa, któraby ją napełniła odrazą i żalem, że się odważyła na tak hazardowne przedsięwzięcie, że mogła powziąć myśl zaznajomienia się z istotą zakrawającą na diabła; tymczasem znalazła miłego człowieka, pełnego grzeczności i wychowania, w którego oczach zdawało się jęj widzieć, że mógłby się stać jęj hołdownikiem; że gdyby chciała, przywiązałaby go jedném słówkiem do swego wozu, i zrobiłaby go posłusznym skinieniom swęj woli. Ta niespodziewana radość rozlała dziwny powab po jęj pięknej twarzy, któryby był każdego innego mężczyznę oczarował. Nawet Firlej, jakkolwiek był człowiekiem poważnym i doświadczonym, i zupełnie czém inném zajętym, widział to wyraźnie i wyznał sobie w duchu, że obecność jego nie była jęj niemiłą.

Pod wpływem tak przyjemnych zobopólnie wrażeń, przechadzali się po ruinach zamku i rozmawiali, dochodząc ze złomków, co to lub owo kiedyś być mogło.

— Jakie to musiały być ogromne sale — rzekła Helena, patrząc w jednę z nich na pusty obszar, do którego widać kilka należało okien, i który ogrzewały dwa olbrzymie kominy, na przeciw siebie w bocznych ścianach znajdujące się.

— Tak było — odpowiedział Firlej — we wszyst-

kich prawie starożytnych zamkach i pałacach. Wielcy panowie nasi byli to ludzie publiczni, i całe ich życie wylewało się na kraj, na prowincyą, której przewodniczyli, na braci szlachtę, która podpierała ich potęgę i znaczenie, ale która nawzajem domagała się opieki od magnata, na którego skinienie była gotowa, i uważała dom jego za swój, gdzie miała wolność i prawo zbierać się tłumnie, i ogrzewać się przy tém wspólném dla wszystkich ognisku. Ta potrzeba wzajemna częstego zgromadzania się, i idących za tém uczt i festynów, wcale różnych od naszych herbacianych balów, ten napływ częsty braci, którzy uszanowaniem i gotowością płacili za opiekę, za wychowanie i promocyą synów, za szczodre uposażenie córek, za protekcyą u dworu i w trybunach, ten dziwnie poetyczny i patryarchalny stosunek między obywatelem, pierwszym w okolicy dla tego, że go miłość i wdzięczność równych mu co do rodu i praw współobywateli pierwszym mieć chciała, kreśliły plany ich mieszkań, ich zamków, ich pałaców. Dla siebie miał dawny wielki pan polski kilka małych komnatek, gdzie się mieścił z żoną i dziećmi, reszta ogromnej budowy, złożona z sal okazałych i obszernych, należała prawie wyłącznie do braci szlachty, dla której bramy zamku były zawsze otwarte, która, czy strojno na ucztę, czy skromnie i cicho na naradę, czy zbrojno i hucznie na jaką wyprawę, wchodziła bez meldunku tam, gdzie się uważała jak w domu, jak u siebie. A dziś... — dodał Firlej, i, ruszywszy ramionami, umilkł.

— A dziś? — powtórzyła Helena, patrząc nań z uśmiechem.

— Dziś... — odpowiedział seryo — inny czas, inne

potrzeby. Dziś epoka i panowanie kobiet, a ztąd wszystko, co się dzieje, a równie w domu, jak za domem, ma piętno i charakter niewieści, do którego by się przodkowie nasi przyznać nie chcieli. W urzędzeniu naprzykład pałaców naszych, i dziś pan domu ma jeden lub dwa pokoje, gdzie się mieści ze swemi fajkami, ze swemi strzelbami, ze swemi książkami, jeżeli je posiada i lubi; reszta pałacu należy do pani, gdzie mu gospodarować nie wolno, gdzie są salony dla niej i dla jej gości, gdzie się mówi po francuzku o polityce i o afekcyach serca, o książkach, które wyszły w Paryżu i o magazynach bulwarów, i dokąd nie ten dostać się może, kogo pan mieć chce, ale komu pani wejść pozwoli, i mile się do niego uśmiechnie.

— Któż temu winien — odpowiedziała Helena z kokieterią — żeście panowie złożyli przed nami berło swój władzy?

— Naturalnie, ten winien, kto przegrał — rzekł Firlej poważnie.

— Czyż panom tak źle pod naszym panowaniem? — zapytała znowu, i piękne jej oko podniosło się na twarz zamyśloną Firleja.

— Bardzo wygodnie i miło. Bawimy się — odpowiedział.

Poszli dalej, milcząc. Helenę zastanowił ten sposób widzenia rzeczy, tak zgodny z prawdą i okazujący w tym, który go objawił, godność spokojną i czującą upadek i ponizienie dostojeństwa mężczyzny. Po krótkim więc milczeniu zapytała:

— Czy pan jesteś potomkiem tego rodu, po którego popiołach tu chodzimy?

— Nazywam się Jan Firlej — odpowiedział — i wła-

śnie tak, jak się nazywał znakomity obywatel i wojownik, który zamek ten wybudował. Ale czy jestem jego potomkiem, tego nie wiem. Dom ten zgasł w historii za czasów Jana III, i majątności jego z córkami Samuela przeszły do innych rodzin. Ale wielkie familie są jak wielkie rzeki. Mają odpowiednie sobie mniejsze strumyki. Wisła ma Wisłokę, San Sanok, Boh Bożek, Dunaj Dunajec. Być może, że od tego wielkiego szczepu oderwała się jakaś mała gałązka i cicho i w ukryciu rosła i krzewiła się, nie zostawiając po sobie śladów wyraźnych, i nie zasłużywszy niczém na odgłos i rozpowszechnienie swojego bytu na ziemi. Od téj nieznanéj i zapomnianej gałązki i ja pochodzę.

Helenie dziwnie podobał się ten wywód nazwiska, w którym było coś melancholicznego, w którym widać było i skromność właściwą człowiekowi, czującemu w sobie dosyć godności i zalet osobistych, i szacunek dla przeszłości i imienia, które nosił. Postanowiła więc nie rozłączać się z nim, póki by się nie dowiedziała więcej szczegółów, z kąd się tu wziął i po co przybył. Udając sfatygowaną, usiadła w cieniu padającym od murów, na szerokim i dość wygodnym kamieniu, a patrząc na Firleja, który stał obok, i nie miał widać chęci pożegnać jéj, póki by zamku nie opuściła, rzekła:

— Jakkolwiek pan nie przyznajesz sobie prawa należenia do wygasłego rodu Firlejów, musi jednak panu być miło patrzeć na dawny zabytek ich zamożności i mocy.

— Bez wątpienia — odpowiedział — tem bardziej, że się tak nazywam, jak oni. Jest w nazwisku wsławioném coś szanownego, co obudza cześć, bo w niém rezuluje się massa czynów i zasług, ciąg chwalebnych tru-

dów, źródle krwi przelanej i wysiłki poświęcenia. Nazwisko historyczne nie jest czczem brzmieniem, i mam za złe każdemu, kto je z lekceważeniem wymawia. Jest to płochość niedarowana we wszystkich, a zwłaszcza w pisarzach, którzy, bez dostatecznej zasady i dowodu, szarpią poważne imiona przeszłości. Ale z drugiej strony żal nieograniczony ogarnia mnie, gdy patrzę na poniżenie tychże imion, i właśnie przez tych, co je noszą. Mamy kilka familii zgasłych rzeczywiście, a ileż jest zgasłych moralnie? Trudno wprawdzie żądać po naszych panach, a zwłaszcza tu w Galicyi, aby kontynuowali to, co ich ojcowie zaczęli, na drodze urzędów krajowych, w radzie państwa, na polu sławy, gdzie tamci okrywali się chwałą i zasługą, zarabiali na chwałę, mnożyli zasługę i dostatki. U nas ta droga urwała się zupełnie. Ale ileż jest innych dróg użyteczności publicznej, gorliwości obywatelskiej, uczciwej sławy, zacności moralnej, po której każdemu iść wolno, a jak mało przecież widzimy na nich wędrowców, ochoczych i pamiętnych na przeszłość! Byłem jeszcze bardzo młodym, kiedy, rozczytawszy się w historii, i obejrzawszy się w koło siebie, spostrzegłem ze smutkiem to grzeszne zaparcie się siebie samych w największej liczbie rodów dawnego, historycznego znaczenia. Nazwisko moje zastanowiło mnie. Ubogi chłopak, pozbawiony wszelkich środków, ale przejęty uszanowaniem dla swojego imienia, przyrzekłem sobie, że je postawię na straży moich czynności, mojego życia i dalszych usiłowań. Zająłem się więc nauką, zająłem się pracą, brałem się do przemysłu, do handlu, do rozmaitych uczciwych i korzystnych obrotów, zawsze w tym widoku, aby odbudować gmach, który runął, aby ożywić w pamięci ludzkiej to imię, nie

w dawnym jego rozgłosie i sławie, bo to już trudno, ale w zasłudze użytecznej, w przyczynieniu się do dobra ogółu, w reputacji pracowitości i nauki, czego i dziś każdy dostąpić może. Usiłowania moje uwieńczone zostały po-myślnym skutkiem, bo cel ich był dobry, bom nie trwonik za granicą dla głupiej i najczęściej wyszydzonej próżności skarbów zebranych w kraju, alem pracą, wytrwałością i szczęśliwemi obrotami, zbierał nawet za granicą, aby owoc mych trudów przyszedł do kraju. Dziś jestem bogatym, posiadam środki działania. Nie mam wprowadzić tyle, abym mógł stawiać takie zamki, jak ten, jak w Dąbrowicach i w Janowcu; ale mam tyle, że mogę kupić Firlejów z przyległemi mu wsiami, założyć tam użyteczne fabryki, napełnić go rękodzielnikami, których praca i przykład podniosą dobry byt mieszkańców; że będę w stanie rozwinąć przedsięwzięcia, które dadzą im zarobek, zachęcać do trzeźwości i przemysłowania o jutrze; że będę mógł wszędzie zaprowadzić szkółki wychowania i ochrony dla dzieci mieszczan i włościan, że w każdej gminie będzie stosowny do ludności szpital, z małą apteką i znającym się na chorobach ludu felczerem; że uporządkowane zostaną drogi i mostki, urządzone gospody, aby nie były miejscem pijaństwa dla ludu, a dla mnie źródłem występnego zysku, ale schronieniem podróżnych i placem trzeźwój wesołości w niedzielę i święto. Przykładem i staraniem zachęcę każdego mieszkańca, aby ozdobił swoją siedzibę, tak, jak ja ozdobię swoją, abyśmy wszyscy mieli w lecie cień i zieloność, pod którą każdy z nas odpocząłby po całodziennym znoju. I wierz mi pani, wystarczy mi na to wszystko, wystarczy na książki i obrazy, na kocz i wierchowca, na smaczny obiad i dobry kielich dla mi-

łego gościa; bo tylko próżność i próżnowanie rujnują, a u nas będzie praca i rachunek, wygoda i ozdoba, ale domowa, ale swoja, ale taka, jaką nam ta piękna i bogata ziemia da, a da obficie i hojnie.

— Ładna to poezya — rzekła Helena z uśmiechem, choć go z widocznym interesem słuchała — ale żeby tego wszystkiego dokazać, trzeba się poświęcić dla drugih, trzeba się wyrzec siebie, i oddać usłudze niewdzięcznych.

— Trzeba się poświęcić imieniowi, które się nosi — odpowiedział z mocą — trzeba taką pracą, takim oddaniem się uczcić swoją przeszłość i dalej prowadzić na tej drodze tę służbę kraju, której oddani byli przodkowie na innej, i która imię ich znakomitę i szanownę zrobiła. Imię to powinno być chorągwią każdego rodu, który się nim zaszczyca i pyszni. Opuszczać ją dla tego, że ona wymaga pracy i poświęcenia, uciekać z pod niej na pole próżnowania, zbytków i rozpusty, jest to dezercya nikczemna, za którą musi nastąpić jej pochylenie, jej upadek i wzgarda. Rzuć pani okiem w około siebie. Mamy wprawdzie i dziś kilku zacnych mężów, którzy godnie i z należytem pojęciem swojego położenia stoją pod tym sztandarem. Ale cóż robią inni, którzyby go powinni także trzymać w górze i od poniżenia bronić? Bawią się i expensują. Expensują życie, expensują zamożność, wysłużoną nie przez nich, ale przez krew i poświęcenie nadziadów. Niejeden z takich marnotrawców szanownego imienia, gdyby stanąć musiał przed ich sądem i zdać przed nimi sprawę ze swojego bytu na ziemi, cóżby odpowiedział na to straszne zapytanie: coś przez ciąg życia twego zrobił? Oto: urodziłem się w pałacu, wprowadziłem się do chodzenia na kobiercach, od najlepszego metra uczyłem

się tańczyć, od bardzo drogiego guwernera uczyłem się po francuzku, a od bony Angielki po angielsku. W swoim języku uprawiałem się mówić z lokajem i z garderobianą. Gdym wyrósł, pojechałem za granicę. Tam bywałem na balach, na teatrach i bawiłem się. Dla poprawy interesów wróciłem do kraju i ożeniłem się z hrabianką Zofią lub Matyldą. Potém oboje pojechalismy do wód, a ztamtąd na zimę do Paryża. Tam zrujnowawszy się i narobiwszy długów, wróciliśmy do kraju. Tu znowu bawiliśmy się, ale znudzeni prędko brakiem resursów, i zaciągawszy nowe długi, pojechalismy znowu za granicę. Tak żyłem aż do późnej starości. Potém umarłem, a spuściznę naszą kupił żyd. Wyobraź pani sobie teraz wyraz twarzy tych starych Wojewodów, tych Kasztelanów, tych Hetmanów i Prymasów, którzyby takiego zeznania potomka swojego słuchali.

— Jest w tém wiele gorzkiej prawdy — odpowiedziała Helena, której czoło okryło się zamyśleniem — ale jest i niesprawiedliwość. Dla czego pan takiego poświęcenia własnych przyjemności, takich trudów i ofiar wymagasz tylko od tych, którzy noszą piękne i szanowne imiona?

— Żądam go od wszystkich — odpowiedział — a od nich najprzód dla tego, że to jest jedyny środek, aby te imiona zostały pięknemi, aby w oczach obecnego pokolenia szanownemi być nie przestały; dla tego, że ci, co je noszą, jeżeli chcą się niemi pysznić, powinni to dobro, którem się chełpią, zrobić choć w części swoim własnem; dla tego, że w ich ręku jest największy kapitał kraju, który im się dostaje bez trudu, bez najmniejszej pracy, że zatém nie mają prawa marnować go wyłącznie dla siebie, bez użytku dla tego kraju, co im go daje, bez żadnego oglądania się na tych, co na niego robią. Jest to kontrakt

z przeszłością, którego trzeba dotrzymać, lub upaść w szacunku swoich, we wziętości powszechniej, do której tylko obywatel światły, pracowity i użyteczny ma prawo.

— To rzecz bardzo smutna — rzekła Helena, powstając — i może pociągnąć za sobą ciężkie konsekwencye.

— Dla tego téż właśnie trzeba podpieierać gmach tych pięknych imion, zagrażający upadkiem, póki jeszcze nie runął — odpowiedział z powagą. — Jeszcze ich wiele jest u nas takich, któreby się uratować mogły, gdyby tylko była chęć dobra. Środki są, brakuje tylko woli i odwagi wypowiedzieć wojnę modzie i próżności. Ja nie miałem nic, gdym tę myśl powziął, a przecież...

— Wydobędziesz pan imię, które od wieku znikło? — przerwała Helena.

— Przynajmniej postaram się, żeby o nim każdy wspomniał z szacunkiem — odpowiedział ze skromnością.

— I w tym celu pan jesteś w naszej okolicy i zwiędzasz ją?

— Wchodzę w układy o te dobra — odpowiedział — i oglądam je starannie, aby nie wyrzucić darmo pieniędzy, których nie nabyłem lekko i bez pracy.

— I pan myślisz tu zamieszkać? — zapytała takim tonem, jak gdyby ta okoliczność interesować ją zaczynała.

— Po obejrzeniu tego zamku — dodał z uśmiechem — tém prędzej skończę układ i zamieszkam.

— Szczerze mnie to ucieszy — rzekła, czerwieniąc się lekko — gdy się dowiem, że układ skończony i że okolica nasza zyska obywatela z takiemi, jak pan, zasadami i wiadokami. — Firlej ukłonił się, a ona dodała: — Może pan nie wiesz, że ztąd tylko półtrzeci mili do Dusanowa. Nie mogę z pewnością oznaczyć, jak długo jeszcze przyjdzie

mi tu pozostać; spodziewam się jednak, że się nie raz ostatni widzimy.

— Dziękuję pani — rzekł z grzecznością — żeś w téj mierze uprzedziła moję prośbę.

— Odwiedziny w tym zamku będą mi pamiętne. *Soyez en sur, monsieur.* Może skorzystam choć w części z tego, coś pan mówił.

Firlej uśmiechnął się i odpowiedział ukłonem. Ponieważ zaś kiwnęła mu główką z wdziękiem, jakby go żegnała, podał jéj rękę i do powozu odprowadził. Helena zasunęła się w głąb karety i, milcząc, myślała o téj nowej znajomości, tak osobliwym trafem zrobionéj. Rozum, sposób tłumaczenia się, energia charakteru, a nawet powierzchowny układ tego człowieka, zrobiły na niéj mocne wrażenie. Na chwilę zapomniała o celu swojej wizyty, a nawet obraz Gabryela zatarł się cokolwiek w jéj myśli. Czuła ona, jak szczęśliwą, jak bezpieczną byłaby kobietą, gdyby się opierała na ręce tak silnéj, i znajdowała się pod kierunkiem tak zdrowéj głowy. Zdawało się jéj, że jest lepszą po téj rozmowie, że przyszła niespodzianie do uznania pewnych powinności w życiu, jakichś celów zacniejszych i wyższych, niż te, dla których dotąd była na ziemi. Ale gdy potem przypomniała sobie surowość zasad, jakie objawił, słabość swą i niezdolność do takiego życia ofiar i pracy, jakiegoby takie zasady wymagały; gdy jéj przyszły na myśl wszystkie uciechy i rozkosze, bez których byt jéj cały byłby tylko męczącą podróżą, walką ustawiczną z sercem i pociągami, który zdawał się jéj wrodzonym; gdy do tego odmalował się w imaginacyi jéj obraz cudnego młodzieńca, który był jakby koroną całego tego szczęścia na ziemi: wróciła do dawnych chęci, do dawnych żą-

dań, i uczuwszy, że krew silniej uderza jej do głowy, wychyliła z karety twarz zarumienioną i płonące czoło. Droga była równa, konie szybko biegły i unosiły powóz. Wtém, zdało się jej, że słyszy za sobą silny tentent. Obejrzała się i spostrzegła w pełnym galopie jeźdźca, którego widok ją przeraził. Koń jego kary rozrzucił nozdrzami parę i pianę, grzywę jego rozwiewał wiatr, a potężne kopyta grzmiały równemi uderzeniami. Ogniste i czarne oko jeźdźca, którego migdałowy surdut, axamitną czapkę, twarz szpetną i szyderską już znamy, wlepiało się w przełęczoną Helenę. Chwilkę tylko trwał ten widok. Jakkolwiek bowiem konie Heleny szybko biegły, jeździec w mgnieniu oka dopędził karety, mignął się przed jej oknami, w tym przelocie rzucił jej do środka powozu zapieczętowany bilet, i, puściwszy się pędem strzały w pył i kurzawie, która się za nim podniosła, zniknął.

Gdy wszystko to przeszło, Helena, zakrywszy oczy dłonią, jakby je chciała osłonić od czegoś, co je razi, ciężko westchnęła. Wtenczas Karlina, której przestрах był nie mniejszy, zawołała:

— Otóż to widzi pani, to ten.

— Milcz — krzyknęła Helena, i odjąwszy rękę od oczu, spostrzegła na kolanach swoich leżący list, który rzucił. Długo nie śmiała go dotknąć. Nareszcie ciekawość przemogła. W liście tym, zaadresowanym do niej po francuzku, były te słowa w tymże języku: „Dziękuję pani, żeś „z dobrej woli i własnego natchnienia poznać mnie zapragnęła. Umieć cenić tę łaskę i przybędę.“—podpisano: T.

Zadrżała w głębi serca Helena, i zasunawszy się w kąt powozu, blada i znękana powróciła do domu.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

120214

Biblioteka WSP Kielce



0158759